JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI

I NIE WWÓDŹ NAS W POKUSZENIE...

WYDANIE II.

KRAKÓW MCMXI.
KSIĘGARNIA S. A. KRZYŻANOWSKIEGO.

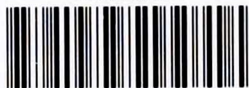
JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI

I nie wódź nas na pokuszenie...

SZKICOWANE WIZERUNKI
DUSZ WSPÓŁCZEŚNIE WYBITNYCH
NA TLE MYŚLI DZIEJOWEJ

KRAKÓW
KSIĘGARNIA G. GEBETHNERA i SP.
1911.





CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“.

Duszom, czuwającym na straży

u bramy Jedynej Świątyni Wyzwolenia,

oblężonej przez Ducha Mroków,

tę pracę poświęcam.

„Wziął Go zaś djabeł na górę wysoką bardzo: i ukazał Mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich.

I rzekł Mu: to wszystko dam Tobie, jeśli upadłszy uczynisz mi pokłon.

Tedy mu rzekł Jezus: pójdź precz, szatanie! Albowiem napisano jest: Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz, a Jemu samemu służyć będziesz.

Tedy opuścił Go djabeł: i oto Aniołowie przystąpili i służyli Jemu".

(Mateusza, IV. 8—11).

SŁOWO WSTĘPNE.

„Słowo jest czynu testamentem“. (Norwid).

Wizerunki wybitnie współczesnych dusz (mówiąc w stylu Norwida: pokłóconych z celnikami rzeczywistości o „rogatkowe myto“ — o marną zapłatę za przejazd do „krainy prawolności“ — jakaż to ironia!) — szkicuję myślą, uzbrojoną w czucie (intuicyę), na tle sumienia historyi...

Jedynym sprawdzianem tej szkicującej myśli mojej jest (niech to nie przeraża i tak już przerażonych maniaków wszelakich *anti — anti*) wiara, miłość i nadzieja (w pełnem tych słów — symbolów znaczeniu). O wartości dzieła naprawdę decyduje nie to, o czem autor umiejętnie, pięknie gada, lecz to tylko, w co autor święcie, niepokalanie wierzy, co ofiarnie miłuje, w czem pokłada swoją nadzieję twórczą — nadzieję zwycięstwa i tryumfu — słowem, tylko to, co formie artystycznej nadaje znaczenie świętości! Nihilizm moralny — jako sprawdzian — nie istniał, nie

istnieje, istnieć nie może (o sceptycyzmie nawet nie wspomnę). Jest rozkładem, gniciem woli twórczej. Pessymizm jest osobliwego rodzaju „religią samobójstwa duchowego“ — religią bez nadziei, bez której i miłość, i wiara więdną, gdyby rośliny, dżdżu i światła słonecznego spragnione... Sprawdzianem być nie może. Sprawdzianem twórczości jest tylko to, co twórczość ożywia, nie zaś ogranicza, niszczy! Sprawdzianem jest źródło woli twórczej! Zaraźliwie modna dziś „religia negacyi“ jest nieprawem dzieckiem pessymizmu i sceptycyzmu. Jest melodramatyczną deprawacyą idei sztuki, tragikomiczną licytacyą tych wartości, które sztuce i literaturze nadają znaczenie wieszcze, monumentalne, epokowe. „Pierrotyzm“ — oto tej „nieprawej religii“, wrzeszczącej „nego, nego“, jedyny sprawdzian!...

Obojętną jest dla mnie t. zw. „artystyczna obojętność“ — modne „po za i po nad wszystkiem“. Obojętnem jest dla mnie to żabie nadymanie się, by dorównać wołu! Szkicując wizerunki wybitnie współczesnych dusz, nie siedzę wszak w salonie w otoczeniu romansowych dam, nie flirtuję o literaturze i sztuce, nie nadymam się „znawstwem“, nie pieszczę się tanią frazeologią „krytyczną“, hojnie szafującą tytułami „wieszcz, mag“ i t. p. Z bałaganową krytyką nie mam nic wspólnego. Sztukę pasorzytniczego wygrzewania się w aureoli *ad hoc* sfabrykowanego „wieszcza“ pozostawiam „specyalistom“... Mówię prosto o rzeczach bardzo

prostych! Mówię o rzeczach, które nie tylko mnie, lecz i wielu bolą...

Twórczość bez wiary (choćby naprzekór niewierze, choćby w „niewiarę"), bez miłości (choćby naprzekór miłości), bez nadziei (choćby beznadziejnej) — bez tych darów, dzieło uświęcających, utrwalających — jest tylko bezwyznaniowem brzuchomówstwem, beznadziejnem gderaniem, pornograficznem wymyślaniem, bezideową tresurą, cynicznem plotkarstwem, jeżeli nie paszkwilem!... Li tylko *formalny* pogląd na sztukę i literaturę już się przerodził w osobliwego rodzaju oportunizm — w jakiś starokawalerski i staropanieński zachwyt nad lada frazesem literackim, pięknie brzmiącym. Wartością *formy* nie można mierzyć wartości *treści*. Piękno formy przenigdy nie usprawiedliwia obrzydliwej treści. Ideałem rzetelnego talentu była i jest *harmonia* formy i treści — harmonia piękna wewnętrznego i zewnętrznego! Uroczyście piękne gadanie o potwornie brzydkich sprawach jest tylko sztuką kuglarską, której hołdują ci zwłaszcza, co to mają dar łatwego pisania, nie mając *prawie nic do powiedzenia*. Można mieć wielki talent artystyczny i być człowiekiem nikczemnym! Piękno formy literackiej częstokroć jest maską nędzy moralnej i umysłowej. Sztukę pisania (dziś zwłaszcza) łatwo można posiąść, o ile się ma zdolności... grafomańskie. Wystarczy 20 razy przeczytać roczniki „Chimery" i „Życia"! — Atoli sztuki *tworzenia* za żadne skarby nie podobna nabyć:

dla tej sztuki trzeba się narodzić pomazańcem! Jakże często wybitnie współczesne dusze usiłują okłamać piękno wewnętrzne pięknem zewnętrznem, bogactwo treści bogactwem formy! Jakże często są zwyczajnymi kuglarzami sztuki! Konwenans „krytyczny“ nakazuje milczeć o tem. „Autorytety“ trzeba oszczędzać dla... interesu. Oto zadanie współczesnej staropanieńskiej krytyki literackiej, pragnącej zaślubić „autoryt“ z wielkim interesem... Nie mogę nie ironizować.

* * *

Po tylu wiekach iście męczeńskiej (zwłaszcza w Polsce) kultury artystycznej, pora już zrozumieć, że prawdziwa sztuka i literatura ma przecież znaczenie pedagogiczne — wychowawcze (oczywiście nie bez intencyi rzetelnych twórców). Zwalniam siebie od obowiązku uzasadniania wychowawczego znaczenia literatury. Nie przemawiam do głupców, lecz do ludzi, którzy mają inteligencyę po to, aby chcieli chcieć rzetelnie pojmować i rozumieć prawdę dziejową. Zresztą nie piszę arcynudnej, jałowej akademickiej rozprawy na oderwany od całości temat — fragment.

Jakie jest znaczenie wychowawcze współcześnie „modnej“ literatury polskiej? Wiem, że tem pytaniem „budzę śpiących... niegrzecznie“, że się narażam nawet na pośmiewisko tych, dla których literackie gadanie (byle „modne“) jest celem jedy-

nym. Na to pytanie odpowie sobie sam czytelnik, po przeczytaniu niniejszej książki. Jeżeli i nie odpowie; to przynajmniej zrozumie, że literat, artysta, poeta i t. d., którzy nie mają nic do powiedzenia ani sobie, ani bliźnim, powinni milczeć, aby nie wodzić na pokuszenie... głupstwa i kabotynizmu! W tych słowach streszczam się w całości. Literatura, która nic nie mówi, dla mnie nie przedstawia żadnej wartości, choćby nawet miała firmę powszechnie uznanego autorytetu. Nic nie mówiącą literaturę nazywam „pantominą dla głuchoniemych“. Nikt jej nie rozumie, nawet... głuchoniemy człowiek. „Istnieje, aby istnieć“ (kabotyńska parafraza „sztuki dla sztuki“). Miast „słów — czynu testamentów“, jakieś „słowne“ jęki, kwilenia, beki, wrzaski, syki, ryki, myczenia (oczywiście drukowane afiszowemi literami). Jeżeli „kociej muzyki“ nikt nie nazywa symfonią, to tem bardziej tego rodzaju „literatury“ literaturą nazywać nie będzie. Jest to osobliwa grafomania *sub auspiciis autoriteti!...* Rzeczy trzeba nazywać po imieniu. Z „krytykiem“ literackim, którego rozczula do łez już samo urojenie, że w utworze danego autora „coś tam w ukryciu kwili“ (może genialnie, może głupio — kto tam wie), polemizować nie będę. Atoli winienem otwarcie wyznać, że w literaturze polskiej za dużo „artystycznego brzuchomówstwa“ dzięki wydoskonaleniu „narzędzi językowych“! Za dużo jest ludzi piszących, lecz za mało myślących i czujących. Za dużo jest ludzi nie

poczytalnych na punkcie odpowiedzialności moralnej, za mało tych, którzy są „sumieniem narodu“ — solą ziemi narodowej!...

Literatura, wyrzekająca się odpowiedzialności moralnej za każdą wygłoszoną myśl, jest zbrodnią wobec sumienia historyi! Taka literatura dziczeje (Norwid), zwyradnia się, ciąży na sumieniu pokoleń, gdyby zmora. Jest przekleństwem epoki, w której się zrodziła...

Ażali powinienem posługiwać się „artystycznem brzuchomówstwem“, aby udowodnić, że właśnie tego rodzaju „literatura“ zaczyna dziś w Polsce „wolnościowo“ panować? Że tego rodzaju „literatura“, wyzwalająca się z „niewoli“ sumienia narodowego, chce „zbawić Polskę“, chce wychować lepszych od Jagiellonowych „rycerzy“?

Najwłaściwsze miano tej „literatury“: nadciągające chamstwo (Mereżkowski), wyzwalające się z kultury, pragnące zdziczeć!

Kto ma rozum, zrozumie, o kim mówię.

Uderzam w czaszki: pustka się ozwie, zdradzi. Pustka łaknąca zapełnienia już byle czem, bez wyboru, bo w niej, gdyby w kominie, „bies sobie hula“...

I zaprawdę nigdy tak potężnie, jak w tej oto chwili, nie wyrywał się z serca mego uświadomiony głos:

I nie wódź nas na pokuszenie!...

Zrozumieć tę „nową“ pokusę — znaczy zwyciężyć!

Tylko bez złudzeń. Maskę zdzierać bez miłosierdzia!

Uderzać w czaszki: pustka się ozwie.

Ta literacka pustka!...



OPĘTANIE.

„Każda dusza musi być czemkolwiek poruszana; jeśli nią nie ruszają rzeczy wielkie, to się będzie ruszać w niskości i podłości“.

(A. Mickiewicz).

Po wielu bardzo ciekawych doświadczeniach (wszak niedarmo przezwano mnie „szatanem“ z wymuszonym już przydomkiem „nawrócony“ — mimo protest zdrowego rozsądku) — po wielu doświadczeniach, doszedłem do tego niezłomnego przekonania, że każdy człowiek jest właściwie *medyum* dobrej albo złej potęgi — zależnie od *wolnej woli wyboru*. Każdy człowiek jest wolny tylko w wolnym wyborze. Wybór dokonany określa charakter człowieka. Stanie po za tym wyborem jest absolutnie wykluczone. Albowiem istnieje *mus wyboru*, który Grecy nazywali Fatum, zaś religia katolicka nazywa Przeznaczeniem. Ludzi, mówiących, że stoją po za tym wyborem, nazywam *szarlatanami*. Człowiek nie może być wolnym od przeznaczenia, które jest służbą dla jednej z dwóch potęg. Wolna wola człowieka — to wolność wyboru. Służba dla jednej z tych dwóch alternatyw jest *obowiązkiem*, *musem*. Człowiek, negujący wolną wolę, jest dramatyczny. Człowiek, zwalczający mus wyboru (przeznaczenie), jest tragiczny. Człowiek, zdeklarowany w wyborze, jest

bohaterem, prorokiem (oczywiście w kierunku złego albo dobrego).

Są ludzie, w wyborze świadomi i nieświadomi. Pierwsza kategorya ludzi (bardzo nieliczna) jest szczęśliwą panując. Druga atoli kategorya jest najnieszczęśliwszą w swem złudzeniu „niezależności". O urojonej wolności ich myśli mówi za mnie Schoppenhauer. Ja zaś ograniczam się na tem skonstatowaniu, które jest wstępem do „teoryi opętania". Źródłem opętania jest tylko urojenie o osobistej niezależności od nikogo — słowem, pycha. Autoadmiracya, spotęgowana do znaczenia bóstwa, jest osobliwego rodzaju „kleptomanią sił, utajonych w naturze". Pierwszą racyonalną ofiarą tej kleptomanii padli Fichte i Stirner. Ofiarą zaś Stirnera padł Nietzsche, pierwszy „męczennik ateizmu" w Zach. Europie (w stylu Iwana Karamazowa).

Biografia Nietzschego — to wspaniały komentarz do teoryi opętania. Biednemu Fryderykowi się zdawało, że jest „po za dobrem i złem", że wznosi się po nad wszystko, co jest człowieczem (urojenie latającej na miotle wiedźmy), że jest „detronizatorem i stworzycielem bóstw" — zależnie od swej „nadboskiej woli" i t. p. Lecz nigdy nawet mu się nie zdawało, że może być narzędziem tego, który kusił Chrystusa na puszczy, który filozoficznie neguje swe własne istnienie, aby okpić „niezależność" filozofów, który przywdziewa

nawet szatę kardynalską, aby przekonać n. p. Lutra, że jest „chrześciański“ i t. d.

Nietzsche — to najartystyczniej opętany artysta. Nietzscheanizm — jako filozofia — to antychrystomania, podniesiona do stanu obłędu. Biblijny kusiciel zaniósł biednego Fryderyka na szczyt najwyższej góry i rzekł: „Wszystko, co tylko widzisz, twoje jest!“ Fryderyk w ekstazie zawołał: „Mojem jest dziełem!“ Kusiciel zaśmiał się szyderczo, pogardliwie i strącił go ze szczytu w błotne niziny, wołając: „Moim jesteś niewolnikiem! Cha, cha, cha! Chciałem, abyś walczył ze mną, abyś walcząc ze mną był pokonany przeze mnie! Bez walki poddałeś się mnie, więc gardzę tobą! Precz! Cha, cha, cha!“...

Tragedyą Nietzschego był brak zdecydowanego wyboru. Chrystusowy albo Lucyferowy w wyborze dokonanym, Nietzsche byłby bohaterem. Atoli w pysznem urojeniu, że jest jedynym, który stoi „po za dobrem i złem“, był, jest i będzie tragicznie śmiesznym. Bez walki poddał się kusicielowi.

Najlepszym literackim wzorem opętania jest Hamlet. Hamletyzm — jako choroba — zaraził Europę na długie, długie stulecia. Dyagnoza tej choroby brzmi: brak zdecydowanego wyboru, ciągłe lawirowanie między dwoma alternatywami — ostatecznościami! Jedynem lekarstwem: Chrystus w sumieniu człowieka Europy!

Nietzsche, hamletowo opętany, doprowadził problemat sumienia kultury chrześciańskiej do absurdum. Na skrzydłach negacyi wzniósł się na szczyt (szczyty częstokroć są ironią), stracił równowagę myśli (z nadmiaru samochwalstwa, prowokującego rzeczywistą, nie urojoną, siłę) i runął w otchłań chaosu... Przecząc Chrystusowi, zaprzeczył samemu sobie. Nie chciał zrozumieć, że on, Nietzsche, oderwany od sumienia chrześciańskiego, nad którem panuje tylko Chrystus, w zwierza się przemienia (Nabuchodonozor żarł trawę, z nadmiaru pychy nie mogąc już odróżnić swej zwierzęcości od człowieczeństwa). Paradoksami i tanimi dytyrambami chciał zlicytować zupełnie nie tylko potęgę, lecz i chwałę Chrystusa. Z nadmiaru pychy zapomniał o czynie, zapominał, że nie jest zdolny ponieść nawet jednej tysiącznej części tej ofiary, jaką poniósł Chrystus, że jest zerem w czynie... Ujrzał tryumf Chrystusa w teraźniejszości i przyszłości i runął w otchłań chaosu. Kusiciel nie użyczył mu nadludzkich skrzydeł. Niestety!

Fr. Nietzsche jest ojcem artystycznego opętania, które — jako choroba — szerzyć poczyna straszne spustoszenie nie tyle w Europie, ile w barbarzyńskiej Rosyi i w tej biednej Polsce, której już „nie wystarcza Chrystusa“ (dytyramb A. Baumfelda) i A. Mickiewicza, która powinna wraz z żydami oczekiwać „prawdziwego Chrystusa“ i t. d. w stylu średniowiecznego opętania.

Antychrystyanizm Nietzschego jest bezwiedną apoteozą messyanizmu żydowskiego (vide Weiningera uwagi o żydach).

* * *

Opętanie jest parodyą natchnienia.

Być „polanem w dłoni P. Boga“ (Słowacki) wstydem jest dla tych, którzy pragną być „miotłą“, ujeżdżaną przez... wiedźmę. Niezawodnie.

Natchnionego męża litość przejmuje na widok bluźniących opętańców. Z nadmiaru litości rozgrzesza ich z nieczystości, której „kaplicą“ jest... „dusza“ świni.

Biada temu, który swą duszę upodobni „duszy“ świńskiej. Ujeżdżać go będzie lada czarownica, rozmiłowana w romansach z Lucyferem (à la Bazylissa Teofanu).

Każdy człowiek (zwłaszcza literat) może doprowadzić siebie do stanu opętania, jeżeli nie chce panować nad piekłem swego wnętrza.

Dante za życia przeszedł przez swoje piekło zwycięzko.

Współcześni poeci w swem przedpieklu paradizowo się urządzili; są bardzo wybredni z nadmiaru lenistwa myśli i czucia, aby chcieli się narażać na nieprzyjemności dantejskiej „podróży“... Przedpiekle nazwali *paradisum*. Wędrówka skończona. Zwycięstwo *à priori*.

Jaśń, uwięziona w chwilowości nastroju, traci swoją słoneczność. Staje się księżycem, upiornie romansującym z komety ogonem. Myśl artystyczna, zatopiona w kaprysach instynktu*) swawolnego, traci swe znaczenie władcze; przemienia się w ścierkę do wycierania „plam słonecznych, na kainowem sumieniu wyciśniętych“!...

Uleganie podszeptom instynktu jest początkiem opętania. Tylko sumienie jest pancerzem ochronnym — sumienie historyi. Instynkt — to piekło duszy człowieczej, w którem czuwa kusiciel człowieczeństwa. Nie masz prawdziwszego dyabła od tego kusiciela. On w człowieku, nie poza człowiekiem! Trzyma go na smyczy Wola — Wiara.

Natchnienie jednoczy myśl człowieczą z Myślą odwieczną. Natchniony człowiek jest uczestnikiem w Boskiej pracy „tworzenia świata“, który wszak stworzony jest *in potentia* (św. Augustyn). Natchnienie jest ciągłem, nieustannem, pracowitem wznoszeniem się w wyżyny — ku Bogu (bez powracania do stanów i kształtów, już przeżytych, już pokonanych, już przetworzonych — na przekór teoryi Nietzschego). Odwieczne *Cor cordium* jest celem ostatecznym natchnionego Męża.

Opętanie jest „tajnym spiskiem“ pychą zarażonej myśli i biesowskiego instynktu prze-

*) Instynkt jest pojęciem czysto zoologicznem; jest antytezą czucia — pojęcia czysto człowieczego.

ciwko Bogu (czytaj dzieła Böhmego). Opętany człowiek jest niewolnikiem instynktu niszczenia dla samej rozkoszy niszczenia. Rozkosz buntu i niszczenia jest „ideą" opętania. Rozkosz, płynąca ze źródła patologii seksualnej — jako negacya Miłości. Opętanie jest samozaprzeczeniem w ciągłości twórczej, jest rzutem „po za nawias" Ducha Tworzyciela — jest nieustannym powrotem do stanu Chrystusowo nieodkupionej zwierzęcości satanicznej (Nietzsche), jest karykaturalnym plagiatem Lucyferowego mytu oraz Adamowego upadku (średniowieczne sabbaty). Celem opętanego człowieka jest wieczny stan chaosu, zaś „filozofią" — wywrócone „z góry na dół" wartości: niebo jest piekłem, piekło — rajem; dyabeł jest bogiem, Bóg — dyabłem! Opętanie jest więc manią chodzenia na głowie, myślenia... piętami! Typowym przedstawicielem tej „filozofii" jest Strindberg, artystycznie chodzący na głowie artysta!...

Natchnienie jest ciągłym stanem łaski i miłości twórczej.

Opętanie jest ciągłym stanem klątwy i nienawiści bezpłodnej, bezsilnej.

W natchnionym Mężu przemawia Istota Najwyższa.

W opętanym pierrocie bluźni faun już nie Bogu, lecz Człowieczeństwu!

Aby być natchnionym, trzeba być przedewszystkiem czystym.

Pierwszym stopniem opętańczego „wtajemniczenia“ jest plugawa nieczystość serca, wstrętna niechlujność myśli!...

Zaprawdę niema straszniejszego dyabła od tego, który drzemie w bydlęcym instynkcie każdego człowieka.

Wyzwalanie tego dyabła z więzów Woli — Wiary (wola jest tylko wiarą) w imię „boskiej wolności i niezależności od nikogo“ (wężowe *eritis sicut deus*) jest wstępnem preludyum do opętania, t. j. do ujarzmienia Jaśni (harmonii) przez Instynkt (chaos).

Człowiek uczy się, kształci się, doskonali się po to, aby pokonać swoje człowiecze dyabelstwo. Tym kategorycznym imperatywem brzmią wszystkie religie świata.

Faust „wywołał“ swego własnego Mefistofelesa, zaczajonego w jego instynkcie. Kosztowała go ta „praca wywołująca“ bardzo tanio: wyrzeczenia się Woli — Wiary! Negacyjny sobowtór Fausta potępił pierwowzorowo twórczy sobowtór Boga. Tragedya Fausta — to bezowocna walka z tryumfującym instynktem bydlęcym (wciąż mam na myśli „zwierza apokaliptycznego“).

„Wywołać“ dyabła (choćby dla ciekawości) bardzo łatwo. Atoli opanować rozwścieczony instynkt sataniczny — jakże ciężko! Faustowe *hocus pocus* etc. już nie przeraża Mefistofelesa, który od czasów Goethego zmądrzał nie do poznania: już nie wierzy w moc „magicznych“ zaklęć (wszak kształcił się w bezwyznaniowych kolegiach)...

Mefistofeles więcej się boi wierzącej baby wiejskiej, niźli n. p. Andrzeja Niemojewskiego, z którym „awiacyjnie“ lata na „uczty Walpurgowe“ i pokpiwa z niego, mówiąc: „Autorytetem najprzód ubezpieczyć musisz, że twoja sztuka jest lepszą od innych!“...

Człowiek opętany — to świat, zburzony przez kometę...

* * *

Opętanie rozwija się tylko na tle manij religijnych (z nieodłącznem *anti*). Do granic szaleństwa spotęgowana mania religijna staje się opętaniem. Nie potrzebuję chyba dodawać, że opętanie — jako choroba — jest tak samo zaraźliwem, jak dżuma. Zaraźliwość opętańcza jest medyumicznie hypnotyczną.

Średnie wieki przeżyły epidemię opętania. Imiona Borgi'ów dreszczem przejmują. Nawet imię Savanarolli — „święcie opętanego“ męczennika! Walka dwóch realnie ucieleśnionych przeciwieństw, doprowadzona do absurdum, do nonsensu (nieszczęsna krucyata Savanarolli przeciwko sztuce), do społecznego i politycznego idyotyzmu, wycieńczyła, wyniszczyła wolę — wiarę masy ludowej do tego stopnia, że nawet kocim urokom podlegała...

Osobliwego rodzaju „zmartwychwstanie bożków średniowiecza“ odbywa się w chwili obecnej. Dzięki maniactwu zacierają się w „księdze mądrości“

święte wartości, zaś występują urojone „faunowe" i zabobonne wartości. Im więcej dziś szerzy się propaganda ateizmu (faunizmu), tem niebezpieczniej krzewi się zabobon nawet w warstwach inteligentnych, które już czarnego kota się boją. Święta idea religijna, zwłaszcza idea chrześciańska, gaśnie w mózgownicach licznych maniaków. Tryumfować już powoli zacznie faun, nimfo-faun (coś w rodzaju „androgyne") i zabobon. Nie prorokuję, lecz mnie się wciąż zdaje, że jesteśmy w przededniu „neo-opętania". Temu „neo-opętaniu" sprzyja nawet mania awiacyjna — ta sama, która w średnich wiekach uświęcała opętanie (biedny Leonardo da Vinci!) Uczeni już latają „jako bogowie" na aeroplanach; wnet się pojawią emancypowane z religii wiedźmy, latające na mężczyznach (już nie na miotłach, kozłach, baranach), oraz antyreligijnie eunuchowani młodzieniaszkowie, fruwający na prosiakach! Naturalnie będzie „wolnościowy sabbat" przed obliczem neo-fauna...

Nie ironizuję bynajmniej. Jestem tylko objektywnym sprawozdawcą tego „wolnościowego orgiazmu", który roi akurat te same „wyobrażenia — pojęcia", jakie rojono w średnich wiekach. Dla ujrzenia*) „wielkiego kozła" czarownica smaro-

---

*) Opętanemu człowiekowi zdaje się, że wszystko, cokolwiek pomyśli, już się staje faktem; dusza opętanego — to miraż jakiejś „pramistycznej" farsy (à la Ibsena „Peer Gynt" — scena w grocie).

wała się jakąś maścią (aby mogła lepiej wyobrażać sobie); współcześni (obojga płci) dla ujrzenia „polskiego narodowego fauna“ smarują się plwocinami myśli europejskiej. Podobieństwo zupełne. Kto nie wierzy, niech przeczyta ostatnie 6 zeszytów „Krytyki“ oraz elukubracye polskiego neo-massonisty, Niemojewskiego, wraz z komentarzami Szecha.... Naturalnie nikomu nie zalecam (nawet kard. Puzynie) palić na stosach tych „ksiąg neo-mądrości“, a tem bardziej ich autorów. Przezorny socyalizm dla walki z tymi autorami wybuduje wiele... domów zdrowia. Wszak po to zawzięcie burzy kościół Boży!

Miast kościoła Bożego, dom zdrowia: otoć tryumf opętańczej wolnowymyślającej, wolnoorgiazmującej się myśli i jej wyznawców!

* * *

Prawzorem średniowiecznego opętania jest Julian Apostata.

Wzorem współczesnego *moderne* opętania jest Nietzsche.

W historyi literatury wszechświatowej problemat opętania jest wszechstronnie poruszony. Brak tylko naukowej monografii (dotychczasowe studya są zbyt powierzchowne — raczej feljetonowe, niżli naukowe).

Teorya magii*) (białej i czarnej) opiera się li tylko na autorytecie czysto histerycznych, neurastenicznych (wogóle patologicznych) właściwości duszy człowieczej, najmniej naukowo zbadanych i dlatego łudzących pozorami „prawdy tajemnej“. Hypnotyczny urok magii polega na zdolności (częstokroć kuglarskiej) wywoływania chorobliwych wrażeń i złudzeń. Działa na umysł, jak haszysz. Urojenie jest celem eksperymentów magicznych. Im silniejsze urojenie, tem większa siła i plastyka chorobliwych wrażeń. Nawet współczesna massonerya posługuje się metodą wywoływania urojeń (zwłaszcza strasznych). Człowiek, ulegający wpływom magicznym, nie umie już odróżnić urojenia od prawdy. Magom właśnie o to i chodzi, aby nie umiano odróżniać wartości, aby było jak najwięcej medyów — narzędzi... Wyzyskiwanie li tylko patologicznych właściwości duszy, zaś zupełna bezsilność wobec rozumu krytycznego, rozumu twórczego, a zwłaszcza wobec sumienia, jest największą kompromitacyą magii, którą przyrównać można tylko do puhacza! Magia boi się światła słonecznego (biała magia chce okłamać słońce). Jest tylko spiskiem instynktu, w jądrze ziemi zatajonego, przeciwko Jaśni Kosmosu... Cała ta osławiona „nauka magiczna“ jest od *a* do *z* urojeniem, sprytnie (seansowo) wywołanem z wątpliwości rozumu człowieczego.

---

*) Mówię o współczesnej magii.

Z przenośni wątpiącego rozumu magia wyprowadza „pewniki“ w stylu sławnych paradoksów Nietzschego. Nie przeczę temu, że człowiek jest „konglomeratem wszelakich możliwości“. Atoli te „wszelakie możliwości“ nie stanowią jeszcze filozoficznego kryteryum. Magia, wyzwalająca te „wszelakie możliwości“ bez kontroli rozumu krytycznego, jest tylko mistyfikacyą wiedzy. „Księga mądrości“ nie jest zbiorem li tylko niebywałych paradoksów i dytyrambów. „Księga mądrości“ jest apoteozą szczytów rozwoju Jaśni człowieczej — szczytów, nieustannie zdobywanych w bojowaniu o prawdę!... Każda myśl „księgi mądrości“ jest warownią, ubezpieczającą dalszy zdrowy rozwój Jaśni człowieczej. Atoli każdy dytyramb magiczny — mimo hypnotyzujące pozory prawdy — jest budowaniem zamków na chmurach, jest nieszczęsną „manią awiacyjną“ z lekceważeniem równowagi. Mądrość prawdziwa jest owocem ciągłego bojowania — jest „trudem trudów!“ „Wiedza magiczna“ jest lenistwem myśli: kuglarskie wywoływanie urojenia nie jest pracą, trudem! Fabrykowanie niczem nieuzasadnionych, od ślepej wiary uzależnionych „pewników“ z materyału, jakiego dostarcza zwątpienie filoficzne — na przekór odpowiedzialności moralnej — jest tylko prowokacyą zdrowego rozsądku do choroby... „Wtajemniczonym można być przez samego siebie i dla samego siebie!“ Największym wrogiem wtajemniczenia jest popularyzacya.

Magowie współcześni, popularyzujący „wiedzę tajemną“ za bezcen, zupełnie się zdyskredytowali w świetle prawdziwej wiedzy, podkopując do śmieszności nawet resztki zaufania do tej ich „wiedzy tajemnej“. Taniość wiedzy zawsze budziła i budzi podejrzenie. Precz z tandetą wiedzy! Dosyć już tego „magicznego“ oszustwa!

Tyle miejsca poświęciłem magii dlatego, aby zwrócić uwagę czytelnika na czysto literackie źródła opętania (teorya magii jest tylko literaturą, nie zaś „filozofią“, jak chcą „neo-magowie“; ze stanowiska czysto literackiego mogę rozgrzeszyć magię z jej win wobec wiedzy; atoli ze stanowiska mądrości — przenigdy). Pod wezwaniem teoryi magicznej, pokłóconej z chrześciańskim porządkiem świata, w nowszych czasach rozwinęła się zwłaszcza literatura romantyczna („Manfred“ Byrona — to „zbzikowany mag“ — to Don Kichot wiedzy tajemnej), zaś później t. zw. literatura ezoteryczna, która zwłaszcza w chwili obecnej święci swoje nie tylko ideowe, lecz i myślowe bankructwo (ugrzęzła w werbalizmie dla werbalizmu — w maniactwie pięknego gadania o zabobonach i przesądach histerycznego umysłu). Niedoceniony w pewnej sferze krytyków Goethe jest jedynym po Dantem poetą-zwycięzcą, poetą-zdobywcą: on bowiem zdołał opanować „chaos literacki“ majestatem królewskiej, prawodawczej myśli! Goethe jest prawodawcą dla całej literatury europejskiej na długie lata. Wieszcza myśl

Dantego opanowała opętanie średniowiecza (tak jest zaprawdę); królewska myśl Goethego jest jedną z tych nielicznych twierdz, o które się rozbijają i rozbijać będą opętane żywioły, grożące Jaśni twórczej zniszczeniem. Dante i Goethe przeżyli te wszystkie „misterye piekielne“, te wszystkie orgiazmy duszy, a jednak nie ugrzęźli w błocie nizin, lecz się wznieśli w wyżyny słonecznie panującej Jaśni! W tem-ci ich zwycięstwo... Goethe chciał i umiał opanować swego Mefistofelesa, przeznaczając mu właściwą rolę „kusiciela do dobrego“... Okrzyczany „poganizm“ Goethego jest tylko katechizmowym zarzutem. Z punktu widzenia ściśle teologicznego Goethe naturalnie jest poganinem (jako i Mickiewicz, Słowacki). Atoli z punktu widzenia idei chrześciańskiej „Faust“ Goethego, kto wie, może jest jednym z najreligijniejszych od czasów Dantego tworów poetycznych. „Faust“ — to potępiona przez Mądrość literatura magicznych szarlatanów!... Bez komentarzy...

Dla polskiej literatury takim mężem opatrznościowym jest bezwarunkowo Mickiewicz, który wprawdzie nie wkroczył tryumfalnie do „Paradisum“ polskiego ducha, lecz przeszedł zwycięsko przez „piekło polskie“ do czyśca... Mickiewicz, blizki opętania w III części „Dziadów“, zdobył się na heroiczną pokorę (pokora jest zawsze heroizmem w przeciwstawieniu do donkiszoteryi magicznej), straszliwym — przed nim literaturze polskiej nieznanym — prometejskim wysiłkiem woli

opanował, ujarzmił „ciemne żywioły“ i wzniósł się na słoneczne szczyty myśli proroczej... Oto dlaczego twórczość Mickiewicza, mojem zdaniem, jest sprawdzianem literatury polskiej (zwłaszcza w chwili obecnej). Mickiewicz — to sumienie poezyi polskiej. Literacko-poetyczna rozwiązłość, nonszalancya, donkiszoterya, swawolność w imię płochej zachcianki, wyemancypowanej z woli twórczej, nie ma żadnego usprawiedliwienia wobec Mickiewicza (a także i Norwida), dla którego poezya jest sakramentalnym „trudem trudów“, uświęcającym duszę narodu! Opętańcze aspiracye współczesnych „neo-magów“ rozbiją się o tę Mickiewiczową twierdzę, wzniesioną na szczycie słonecznej Wiary i Miłości!... Śmiesznie daremne są wysiłki neo-Konradów i tej całej plejady dobrowolnie ekskomunikujących się z wiary narodowej błaznów!... O nich mówić będzie potomności specyalnie polski Mefistofeles — sprawca polskiego porewolucyjnego „sabbatu“...

* * *

Współczesne opętanie (jak już zaznaczyłem) rozwija się na tle manii antyreligijnej (bogopogromcy, apolliniści, poganiści etc.) pod wezwaniem Fr. Nietzschego. Bunt specyalnie przeciwko chrześciańskiemu porządkowi świata jest właśnie tym cyrografem na rzecz Mefistofelesa (bynajmniej

nie fantastycznego, owszem bardzo realnego — w postaci choćby redaktora).

Człowiek słabej woli w społeczeństwach zdeprawowanych jest zawsze narzędziem dobrze zorganizowanej, potężnie nikczemnej złej woli. „Tajemnica“ posługiwania się słabą wolą bliźniego dla celów „nieznanych“ (zamaskowanych) była już znaną kapłanom bramańskim i egipskim (tych ostatnich zdemaskował Mojżesz). W chwili obecnej ta „tajemnica“ święci naprawdę tryumfy. Posługiwanie się słabą wolą człowieka — jako narzędziem (wbrew Kantowi!) osiągnęło już szczyt wyrafinowania. Człowiek, choćby najsłabszy, przedstawia zawsze nieocenioną wartość — jako narzędzie (zwłaszcza zbrodniczej woli). Ileż to zbrodni popełniono właśnie tą metodą posługiwania się słabą wolą (hypnotyzm i suggestya na usługach zbrodniarzy)?! Więcej, znacznie więcej, niźli notują protokoły kryminalne. Są już i takie zbrodnie, o jakich się nie śniło nawet Scherlockom Holmesom; sprawcy zbrodni pełnią fukcyę... prokuratorów!

Pachnie średniowieczem — nie prawdaż?

Słabą wolę człowieczą w chwili obecnej świetnie wyzyskuje — jako narzędzie — genialnie zorganizowana zła wola w kierunku zwłaszcza antychrześcijańskim. Mam na myśli tajną organizacyę (właściwie „tajny spisek“) massoneryi — tego Judasza Różokrzyżowców, tego dekadenta epikureizmu i cynizmu, zamaskowanego „tajnością świętych aspiracyj“ („tajemniczość“ zawsze budzi strach

zabobonny). Aspiracye wolnomularskie w chwili obecnej (wolnomularstwo współczesne jest karykaturą wolnomularstwa dawnego) tak bezczelnie i cynicznie prześwieca dziurawa „tajność“, że cały „ideowy urok“ massonizmu pierzcha, odsłaniając moralne i materyalne parweniuszowstwo i dorobkiewiczowstwo. Od tej chwili, kiedy żydzi zajęli honorowe miejsca w loży, wolnomularstwo zaczęło handlowo podleć, przeradzając się tylko w przedsiębiorstwo finansowe, oczywiście i nadal zamaskowane „tajnością przedsięwzięcia“.

W walce z kościołem katolickim o „skarby tego świata“ wolnomularstwo posługuje się jeszcze w starożytności wypróbowanym środkiem: suggestyą! Pod pozorem „nowej religii“ (bezdogmatycznej), której nie wyjawiają, aby jak najdłużej łudzić i zwodzić, suggerują słabym jednostkom konieczność buntu przeciwko idei chrześcijańskiej, rzekomo deprawującej i duchowo, i materyalnie całą Europę. W niedalekiej przyszłości obiecują zaprowadzić iście paradizową religię, wyzwoloną z wszelkiej władzy, opartą na „wszechbóstwie“...

Łatwo sobie wyobrazić, jakie spustoszenie sieje tego rodzaju suggestya w coraz liczniejszych szeregach polskich malkontentów. Jesteśmy już świadkami zadziwiających objawów niepoczytalności, zwłaszcza wśród młodej inteligencyi, która, „odrywając się od sumienia historyi“, coraz więcej dziczeje, upodabniając się tym „świniom ewan-

gelicznym", w których wnętrzu znalazły przytułek legiony biesów.

Posługiwanie się bliźnim jako narzędziem zawsze prowadzi do zezwierzęcenia obyczajów. Podkreślając niedpowiedzialną niepoczytalność opętanych przez złą wolę słabych jednostek, jeszcze silniej podkreślam źródło tej nikczemnej operacyi na duszy człowieczej: wolnomularstwo! Mam tylko jedną dziwną wiarę: Chrystus, który przez tak liczne wieki cierpliwie milczał, znosząc obelgi i oszczerstwa, przemówi do opętanej rzeszy: „Rozgrzeszam was z nieczystości! Idźcie za mną!"...

Legiony biesów znajdą schronienie w jedynej wielkiej „świni", która nieczystością osobistą zaraziła dobre, choć słabe, serca milionów ludzi!...

A gdy ta wielka „świnia" utonie już nie w jeziorze, jeno w kloacznej jamie, świat chrześcijański odetchnie zdrowem powietrzem, ze szczytów górskich płynącem . . . .
. . . .

Komentarzem do powyższych uwag moich niech służą „Biesy" Dostojewskiego.

Tyle ludzi zniszczyć w Polsce, aby tryumfował „bies polski" — to żadna „praca wyzwalająca". To tylko eksperymentowanie na duszy narodowej nihilizmu Kiriłowa i Werchowenskiego — tylko „zaświnianie" myśli i serca!...

Ażali jeszcze mało ofiar, pożartych przez tę wielką „świnię"?

O jakże śmieszni są ci „filozofowie“, którzy walczą z kościołem w obronie tej właśnie „świni“, rzekomo pokrzywdzonej przez Chrystusa *in illo tempore*. Śmieszni są w swem rozżaleniu, że tracą autorytet „świni“...

Od sumienia historyi bezkarnie oderwać się nie można. Pókiż zobowiązania wobec tego sumienia spłacać będzie... mania samobójcza? Pókiż?!...

PROWOKACYA W LITERATURZE.

„Bagno należy osuszać pierwiej, nim zaczną się z niego unosić zabójcze wyziewy i opary“.

(A. Mickiewicz).

Przeciętnie mierną, niską duszę współczesnego literata zaprawdę porównać można do... prostytutki. Zwłaszcza duszę literata, który cynicznie reklamuje swoją antyreligijność — swój upadek!...

Przeciętnie mierny literat (który może być przez kilka dni nawet „sławnym“ — dzięki płatnej reklamie) tak samo, jak i prostytutka, posiada zarozumiałe „poczucie swej persony wdzięku“ — jako niezbędnej, ulicznie stosowanej „poezyi“, a nadto jeszcze chytre zrozumienie interesu, że przecież jego „zacna persona“ prawie zawsze „komuś jest potrzebną“... Oddaje się społeczeństwu (któremu zawsze na imię „ktoś“) za lada oklask, za całus powietrzny, za milutki uśmiech, a co gorsza: za pieniądze! Ma tylko jedną „manię literacką“: okradania bliźnich nie tylko z cnoty i czci, lecz i z podłości. Jego zaś ulubioną „formą literacką“ jest paszkwil, którym się posługuje zawsze — jako środkiem do osiągania celu albo załatwiania porachunków zemsty. Chcąc okraść bliźniego z cnoty albo grzechu (zależnie od charakteru bliźniego), genialnie udaje aniołka albo dyabełka (zależnie

od „sytuacyi dramatycznej“). *Post factum* pokazuje zdumionym bliźnim język i grozi... zdemaskowaniem. Dzięki temu okradaniu bliźnich jest zawsze „panem sytuacyi“, tolerowanym jako *malum necessarium*. Tych bliźnich, którzy się nie dają okradać, prowokuje takiemi sztuczkami, które zmuszają do nerwowego zdradzenia „tajemnicy“. Prowokuje „puszczając w kurs nadzwyczajne kawały“ o tych bliźnich (oczywiście drukowane, bo przecież on jest literatem, nie plotkarzem).

Przeciętnie mierny literat (który — jako *malum necessarium* — może być przez miesiąc sławnym nawet) jest zawsze „modnie“ świeży, wymuskany, wypieluszkowany, wyperfumowany, cieleśnie czysty. W towarzystwie jest zawsze „mile widziany“ — jako dostawca „artystycznych“ plotek i paszkwilów. Umie zabawić znudzone towarzystwo „genialną“ znajomością wszystkich bez wyjątku dziedzin myśli: i mistyki, i ateizmu, i pessymizmu, i racyonalizmu i t. d. W rozmowie z mistykami jest mistykiem, z poganami — poganinem... z pornografami — pornografem. Mózg jego posiada właściwości gąbki, zaś serce — właściwości muchomoru... Atoli myśl jego ma blizkie pokrewieństwo z kuplerstwem. Prowokuje, kradnie, skupuje, sprzedaje. Przedsiębiorstwo jego oczywiście ma złoty tytuł: „Pani Literatura“. Któż więc posądzi go o takie brzydkie „sprawki“? Chyba głupiec, który pragnie być paszkwilowo uwiecznionym w jakiejś „powieści“, płatnej po 20 groszy za wiersz!

Przeciętnie mierny literat (który — jako *enfant terrible* — może być przez pół roku nawet sławnym) każdą ideą (zwłaszcza najświętszą) posługuje się zawsze albo jako środkiem kokieteryjnym, albo jako narzędziem prowokacyi. Przez kilka dni umie być wyznawcą nawet św. Franciszka, lecz już siódmego dnia o świcie jest wyznawcą markiza de Sad! Sprowokuje jakiegoś młodzieńca, jakąś panienkę do wiary świętej w tym celu, aby w kulminacyjnie nastrojowej chwili cynicznie zakomunikować im, że jest wyznawcą... wolnej miłości n. p. W ten sposób zbiera „materyały twórcze" (ciekawe sytuacye psychologiczne, ciekawe przejścia od świętości do podłości i t. d.) i później pisze „gwiżdżąc na wszystko". Cóż go obchodzi los sprowokowanych i oszukanych młodzieńców! Niech sobie w łeb strzelą. Będzie miał temat do dramatu... Choć jest indyferentem, ma wszakże tą jedyną wiarę: wiarę w i n t e r e s jego persony ciągłego zapotrzebowania przez „kogoś". Dzięki tej wierze nigdy nie doprowadza siebie do bankructwa. W krytycznej chwili podejmuje się najobrzydliwszych nawet funkcyj (n. p. ideowego lokajstwa), choć woli być „stróżem — halabardnikiem" duszy narodowej albo zakrystyanem zaniedbanej kapliczki (jako ministrant służy do mszy „nowym prorokom", bo to dobry interes). Podejmuje się nawet roli ajenta policyjnego, aby wyśledzić „winy" narodu i publicznie je ogłosić... Ratuje się terrorem!... Całą siłą swej wątroby nienawidzi romantyzmu polskiego za jego Chrystusowość. Lecz

tą swoją wątrobianą nienawiść wyjawia tylko po pijanemu (chwali tylko siebie); na trzeźwo zawsze jest „z szacunkiem“ *(sic)* dla Mickiewicza, „z poważaniem“ dla Norwida, „z zachwytem“ dla Słowackiego (na przekór Puzynie), „z pogardą“ dla Krasińskiego (również na przekór Puzynie). O Towiańskim wyraża się „z mocnem zastrzeżeniem“ co do jego zdrowia. Natomiast na wspomnienie Wyspiańskiego zaraz klęka i mówi pacierz (choć w szynku urąga mu od idyotów).

*
* *

Szkicując wizerunek tej przeciętnie miernej, niskiej kreatury literackiej, raczej nie dosadzam, niźli przesadzam.

Przeciętnie mierna, suterenowa i sutenerowa literatura nie tylko w Polsce, lecz i w całej Europie (zwłaszcza w Rosyi), jest prostytucyą na wielką skalę. Bez wymieniania nazwisk autorów i tytułów dzieł można wiedzieć, że ta nikczemna literatura, uprawiająca kuplerstwo we wszystkich dziedzinach myśli bez wyboru, prowokująca najdostojniejsze, najszlachetniejsze uczucia, aby je skalać, spodlić, — dziś zwłaszcza deprawuje nie tylko młodą inteligencyę polską, lecz i lud polski. Zdaje się, że powracająca fala średniowieczego orgiazmu (zwłaszcza płci) już zalewa nikczemne niziny i suteryny. Lecz szczytów myśli i uczucia

ta fala nigdy niedosięgnie! Bezsilną jest wobec szczytów nawet w swym orgiazmie...

Nigdy nie widziałem, nie czułem w Polsce tak zawziętego kokietowania i prowokowania narodu, jak w chwili obecnej. Przeciętnie uznany literat czuje się dziś w prawie prowokować naród na swoją stronę — na swoją wiarę. Ordynarnie wymyślając narodowi za to, że nie chce się ochrzcić jego „nową zbawienną wiarą", wściekle reklamuje swój orgiazm — swoją nieodpowiedzialność umysłową. Chce nawet terrorem literackim zmusić naród do orgiazmowania się jego persony „nowem objawieniem". Gdyby zebrać te wszystkie „proklamacye", wymyślające Chrystusowi od „nędznych żydowinów", zaś reklamujące jakieś „nimfy polskie", zaprawdę można przez 3 dni bezpłatnie opalać lokal jakiejś biednej redakcyjki. A przecież autorowie tych proklamacyj są „przeciętnie zdrowymi" ludźmi — przeważnie kandydatami na kleryków w jakiemś dobrem seminaryum jezuickiem. Są do tego stopnia klerykalni albo rabinowi, że Machiavelli napewno odesłałby ich do... klasztoru albo synagogi. Całe ich nieszczęście w tem, że się minęli z powołaniem. Otrzymawszy dobre wykształcenie, może i byliby dobrymi kaznodziejami. Teraz zaś dla braku wykształcenia są tylko prowokatorami stanu kapłańskiego! Curiosum — nie prawdaż?

Orgiazmowo opętany literat uważa naród za nałożnicę swoich prowokacyjnych doktryn. Nie

on narodowi, lecz naród jemu powinien, musi służyć! Naród jest stary i dlatego głupi. On jest młody, nowy, a więc mądry. Logika bardzo prosta. Jeżeli naród nie chce go słuchać, to on go zmusi prowokacyą! Jak? Oto nieustannem wymyślaniem narodowi od gałganów i t. d., urąganiem wszystkim świętościom narodowym, przekazanym przez tradycyę, — wywlekaniem na forum publiczne wszystkich brudów narodowych i t. d. Doprowadzić naród do stanu najwyższego rozdrażnienia, do stanu niepoczytalności i zażądać, aby dla spokoju publicznego uznał przeciętnie miernego literata za wodza swego!... Otoć sztuka naprawdę prowokatorska...

Ażali nie w tej formie „literackiej" odbywa się dziś prowokacya duszy narodowej? Chyba w żadnym narodzie (naturalnie oprócz rosyjskiego) niema tak gromadnej liczby orgiazmowo rozwścieczonych na swój własny naród literatów, jak w narodzie polskim. Przeciętna większość literatów nic nie robi, tylko po literacku wymyśla Polsce (oczywiście reklamując siebie — jako przyszłych zbawców). Wszystko, co jest w Polsce najświętszego, ta przeciętna większość zohydziła, splugawiła do takiego stopnia obrzydzenia, że wrażliwe jednostki w łby sobie strzelają z nadmiaru wstrętu do swojej ojczyzny!... Natomiast wszystko, co już nawet we Francyi jest zakwestyonowane — jako „wybryk złego humoru", — wściekle reklamują — jako jedyne wyjście z tego polskiego piekła! Pókiż trwać

będzie to nikczemne zohydzanie narodu przez jej własnych synów? „Bagno należy osuszać pierwiej, nim zaczną się z niego unosić zabójcze wyziewy i opary“ — powiedział Mickiewicz. Już pora zacząć osuszać to wstrętne bagno literatury polskiej — już pora!

JUDASZOWE SREBRNIKI.

„Każda idea ma swego Judasza“.

Doktryna rewolucyi, urągliwie naigrawająca się z idei chrześcijańskiej, doznała na sobie ironicznie smutnej operacyi: oto została powieszoną miedzy dwoma niewinnymi „łotrami“, którzy jej przebaczyli; lecz ona nikomu nie przebaczyła: skonała przeklinając wszystkich i wszystko.

Nie powinienem chyba dodawać, że sprawcą tej „neo-Golgoty“ był neo-Judasz...

Wiek XX spotęgował walkę kapitału z Ideą religijną do ostatnich granic. Kapitalizm i religia — to dwa nawzajem się wykluczające pojęcia („przez ucho igielne przejdzie wielbłąd, lecz bogacz nie wejdzie do królestwa niebieskiego“). Pogodzenie nie tylko Chrystusa, lecz nawet Buddy Mahometa, Konfucyusza, Lao-Tse z Mamoną — jest marzeniem obłąkanego człowieka...

Atoli kapitalizm wynalazł sposób godzenia, odwołując się do tradycyi Judaszowej. Nie mogąc zwyciężyć idei religijnej, podniósł do godności proroka Judasza. Judasza zamianował ojcem idei religijnej!...

Tak samo kapitalizm postąpił ze wszystkiemi ideami — zwłaszcza z ideą proletaryatu, której

przeciwstawił płatne lokajstwo (lokaj wszak także proletaryusz).

Kapitalizm jest pieniężną realizacyą „idei“ Judaszowej.

Dla współczesnego Judasza 30 srebrników jest skarbem nieocenionym. Wszak zanim się powiesi (obowiązkowo!), świetnie się zabawi! Więc nie dziw, że ten współczesny Judasz taki płodny (płodniejszy od królika). Życie kosztuje go bardzo tanio!... Pozyskać zaufanie współczesnych ideowców łatwiej, niźli dawniej. Sztuka aktorska i mimiczna, wydoskonalona do ostatnich granic, ułatwia „zdobywanie szturmem“ serc i umysłów... Zdradzać dziś również łatwiej, niźli za czasów Rewolucyi francuskiej. Koleje żelazne, telefony bez drutu, aeroplany... Więc tylko ręce zacierać, szukać „proroków“, zgłaszać się do liczby ich wyznawców i... zdradzać, zdradzać z furyą za marny grosz, aby tylko się zabawić!...

Współczesny Judasz otrzymał świetne wykształcenie praktyczne, fachowe. Wychował się w środowisku, w którem od niepamiętnych czasów kwitnie „handel przekonaniami“, sprzedaż i kupno godności człowieka, — w którem rejestruje się „hypoteka myśli i serca“, panoszy się płatny serwilizm, synekuralne lokajstwo, hojnie zemerytowane plotkarstwo i oszczerstwo, a co najgorsze: odstępstwo ideowe za... większe honoraryum!... Wychowany w takiem środowisku neo-Judasz, jest nawet dumny ze swego „rodowodu“ (nazywa siebie „ofiarą warunków“)...

Sprzedawanie idei za srebrniki chyba nigdy nie było tak fenomenalnie potwornem, jak dzisiaj. Kapitalizm tryumfuje, wciąż podnosząc na giełdzie kurs „papierów ideowych". Zachodzi jednak słuszna obawa krachu: lada chwila kurs tych „papierów" może upaść poniżej ich wartości. „Ideowa giełda" może się przekształcić w trust amerykański, a wówczas biada „prorokom" i ich maklerom... Pełnić będą rolę parobków, aby spłacić różnicę kursu!...

„Ideowa giełda" jest tyranem cywilizacyi europejskiej. Judasze kradną „prorocze walory" i grają wyśmienicie w imieniu „właścicieli". W ten sposób XX wiek rozwiązuje ekonomiczną kwestyę religii i idei. Judasz jest „ekonomicznym" panem ideowej sytuacyi (Judasz biblijny był skarbnikiem uczniów Chrystusa).

Dzisiaj już niema niezdradzonej idei za srebrniki. Powiem więcej: niema nawet marnej doktryny, judaszowo niezrealizowanej! Są dziś i tacy „apostołowie", którzy sami — bez pośrednictwa Judasza — spieniężają na giełdzie swoje „idee"... Demoralizacya zupełna! Chodzą oto handełesy po miastach i wsiach i wykrzykują: „Sprzedaję — kupuję stare idee — ideały, stare, znoszone religie, zużyte sumienie, brudne dusze!... Proszę sprzedać — proszę kupić!"

Orgia cynizmu na tle szubienicznych kominów fabrycznych!...

* * *

Im więcej w Europie „proroków nowego życia“, tem więcej Judaszów „nowej zdrady“. Chrystus miał jednego tylko Judasza; każdy ze współczesnych „proroków“ ma aż 13 Judaszów! Przynajmniej w tym względzie jest widoczny postęp (zresztą niektórzy „neo-prorocy“ potrzebują Judaszów — jako reklamy). Dzięki Judaszom sprzedajność duszy podniosła się w cenie...

Współcześni „prorocy“ *) nawzajem się nienawidzą i... szpiegują. Więc muszą mieć „apostolską ochronę“, uformowaną z terminatorów. Ponieważ terminatorzy są kiepsko „opłacani“, więc zdradzają swych „majstrów“. Naturalnie robi się wielki galimatias... Interweniować musi nawet... policya!...

Na tle manii „proroczej“ rozwija się szpiclomania. Objaw zupełnie naturalny: każda mania rodzi kontr-manię! Idea dzisiaj ma znaczenie tylko ekonomiczne; więc nie dziw, że wielu jest amatorów zarobkowania na idei (zwłaszcza politycznej). Dziś stwarza się nawet fikcyjnych proroków, aby rozszerzyć sferę „ideowego zarobkowania“, aby przedłużyć „synekurę zdrady“...

„Legendę“ Młodej Polski zdradził Judasz.

„Legendę“ polskiej rewolucyi zdradził Judasz.

---

*) Są przeważnie zdrajcami, odstępcami jakiejś proroczej idei; judaszowo zakładają swoje własne „ideowe przedsiębiorstwa“; pierwiastek judaszowy we współczesnej literaturze polskiej jest wybitnie czelny...

„Legendę“ polskiej neo-Targowicy zdradził... Judasz.

Judasz zdradza siebie samego: oto kulminacyjny punkt judaszowego orgiazmu!

Judasz nie chce się wieszać, chce się nawrócić na wiarę „legend“, zdradzonych, sprzedanych za 30 srebrników! Judasz chce spieniężyć swoją „legendę zdrady“, aby żyć „ekspiacyjnie“ (tak przynajmniej zapewnia)... Oto zaprawdę „nowy problemat ideowy“, na który radzę naszym „neoprorokom“ zwrócić szczególną uwagę. Miast wysiadywać w starem jajku „nowe kurczę“, niech lepiej napiszą misteryum p. t. „Tragedya nawracającego się Judasza“ (ze szczególnem uwzględnieniem neo-Targowicy, która się różni od dawnej, szlacheckiej, tem, że jest... wychowanicą postępu demokratycznego)...

Jesteśmy w przededniu krachu „ideowej giełdy“.

„Neo-prorocy“ pójdą terminować w warsztatach starych mistrzów, zaś ich terninatorzy znajdą lepsze i uczciwsze, niżli judaszowstwo, zajęcie.

Judasz, choć się nawróci, bezwarunkowo się powiesi na szyi mamutowo olbrzymiego szkieletu „pogromcy bogów“. Na wierzbie zaś, którą zasadził w r. 1905. pierwszy „neo-prorok“ polski, wyrosną... gruszki.

Będzie wiosna i pogoda...

Judaszowej „legendy“ koniec.

W narodzie brzmieć będzie ta przestroga: „Ilekroć naród zdradza Chrystusa, tylekroć wywyższa Judasza — jako Mistrza swego!“

Owoce religijnej zdrady zbiera Judasz.

Z religijnej zdrady rodzą się wszystkie inne zdrady — jako nieunikniona konsekwencya.

DYSPENSA WOLNOŚCIOWA.

„Eritis sicut Deus“.

„Przekleństwo jest nierozłączne z każdą pogwałconą prawdą; każda prawda, narodzona krzywo i ironicznie dlatego tylko, że jej niedano narodzić się inaczej, — sądzi przez to samo społeczeństwo i jest to najsilniejszem siebie samego przekleństwem! Zaniepokój tak słowo prawdy, aby nie mogło w spoczynku i pogodzie dojrzeć, a ludzie się niem s t r u j ą o tyle, o ile zaniepokoili je...

(C. K. Norwid).

Od pamiętnego 1905 r. liczba malkontentów w Polsce niepomiernie wzrosła. Zwłaszcza w warstwach oświeconych. Zdradziwszy swoją niemoc w „chwili osobliwej“ lat minionych, współcześni malkontenci pragną wyeksperymentować osobistą „moc“ swoją w... zbaraniałej (zdezoryentowanej) „chwili osobliwej“ teraźniejszości. Mania odnalezienia „kozła ofiarnego“, odpowiedzialnego za ich niemoc i głupotę, za ich kabotyństwo i warcholstwo, — oto jedyny „cel“, który wydyma mózgi naszych malkontentów na wzór „baniek mydlanych“, dziecinnie puszczanych w nos... pedagoga... Uzbrojeni w iście baranią przekorność, nasi malkontenci z niedającą się opisać furyą rzucają się na każde niepodobne do nich stworzenie — jako na domniemanego „kozła ofiarnego“... Swoje „niewinne“ baranie serca i sumienia chcą oderwać od koźlego serca i sumienia (słusznie).

Po długich męczeńskich poszukiwaniach, nasi malkontenci złapali nareszcie „kozła ofiarnego“: ideę chrześcijańską (czemu nie „ideę talmudu“? — dziwna pomyłka!)... „Nareszcie mamy go! — wołają w ekstazie — mamy tego kozła!

Sprawimy mu takie „lanie“, jakiego jeszcze świat nie widział! Nawet inkwizytorów zadziwimy! Hajże na tego kozła! Rogami i kopytami! Bez żadnego miłosierdzia!... On jest sprawcą naszego poniżenia, naszego nieszczęścia, naszych cierpień i męczarni!“ i t. d. w stylu iście „baraniej logiki“...

Chcieli już wywrzeć straszliwy „gniew ludu“ na tym „biednym koźle“, lecz oto „niewinny kozioł“ przemienił się nagle w rumaka, potargał krępujące go więzy, kopnął w najczulsze miejsce herszta malkontentów i umknął za „siódmą górę, za siódme morze“...

Obraz, godny upamiętnienia w... kinematografie.

Biedni malkontenci! Nieudała się im „mistyfikacya Golgoty“...

Biedni malkontenci! Nie oni na „koźle“, lecz „kozioł“ (ulegający licznym metamorfozom) na nich swój gniew wywarł!

Biedni, godni politowania malkontenci! Chciałbym ich pocieszyć tem, że złapią nowego „kozła“; atoli wiedząc, że ten nowy „kozioł“ ma jeszcze niebezpieczniejsze właściwości nagłej „przemiany“, zasmucony milknę...

Biedni malkontenci! Chcą wywrzeć swój wściekły gniew (za swoje podłe kalectwo) na licznych „kozłach“, lecz te przeklęte „kozły“ umieją jakoś się wykręcić!...

Sytuacya naprawdę rozpaczliwa!

* * *

Do pamiętnego 1905 r. nasi malkontenci byli pasorzytnymi terminatorami nawet najgłupszych doktryn, na których „autorytecie“ dorabiali się uznania i... pieniędzy. Terminowali nawet w „warsztacie Nagiej Duszy“, ucząc się sztuki krawiectwa (przecież „Nagą Duszę“ trzeba artystycznie ubrać) i szewstwa (od pięknych bucików zależy piękna kibić „duszyczki“)... Byli nieprzejednanymi wrogami Nauki, której autorytet doprowadzał ich do wściekłości. „Artystyczne“ nieuctwo podnieśli do godności nauki, gardząc logiką i konsekwencyą — jako „wstecznictwem i ograniczeniem... sztuki“... Bezkarnie fabrykowali tandetne „prawdy“, których liczba pięciokrotnie przewyższyła liczbę mieszkańców trzech zaborów polskich!

Były to zaprawdę paradizowe czasy dla naszych malkontentów.

Wyzwalający się „parobek“ w 1905 r. „rewolucyjną miotłą“ zamiótł wszystkie „autorytety“ i „prawdy“ naszych malkontentów — jako śmiecie (czyżby przez pomyłkę?), — zebrał je, wywiózł i gdzieś tam spalił... Nasi malkontenci nagle pozostali bez żadnego „autorytetu“ — zupełnie „nadzy“ (ogołoceni z milionów tandetnych „prawd“). Od tej pamiętnej chwili datuje się straszna choroba naszych malkontentów: poszukiwanie „kozła ofiarnego“, odpowiedzialnego za takie ich poniżenie! Wyzwalającego się „parobka“ (odpowiedzialnego sprawcy nieszczęścia) nie mają odwagi obwiniać. I słusznie: „parobek“ nie żartuje; rozirytowany może jeszcze

ich, malkontentów, wymieść i gdzieś tam spalić — jako śmiecie... Z „parobkiem“ trudniejsza rada, niźli z „kozłem ofiarnym“. Więc lepiej pozostawić go w spokoju...

Pasorzytnicza dusza naszych malkontentów nie może istnieć bez „autorytetu“, usprawiedliwiającego krucyatę przeciwko „kozłom ofiarnym“. Więc nie dziw, że się podszywa pod autorytet Nauki*), która, odkąd istnieje, zawsze się wypierała i wypiera „współdziałania“ z pasorzytami! W imieniu Nauki nasi malkontenci rozpoczęli nagonkę na ukrytych w lesie „kozłów ofiarnych“. Nauce przeznaczyli rolę wytresowanego psa gończego, węchem odnajdującego legowisko „koźle“... Choć Nauka wszelkimi wypróbowanemi środkami walczy z tymi pasorzytami, nie może jednak ubezpieczyć swego autorytetu od złodziejswa. Nasi malkontenci przemocą, gwałtem „przywłaszczają“ sobie autorytet nauki w tym celu, aby naród polski przekonać, że „krucyata“ przeciwko „kozłom ofiarnym“ jest „nowym systematem filozoficzno-religijnym“, mającym wszelkie dane ku temu, by zyskać ogólny poklask...

Nie mam potrzeby bronić nauki przed pasorzytami. Nauka sama się obroni jakimś wynalazkiem najskuteczniejszego „proszku“.

---

*) Celem prawdziwej Nauki jest tylko prawda; naukowo opracowane kłamstwo nie jest nauką; nauka stoi poza sferą wszelakich „borb“, uświęcając tylko prawdę.

Biedni malkontenci! Nawet tej „przyjemności“ im się odmawia. Nawet tej „niewinnej zabawki“: okradania Nauki z powagi dla udrapowania „nagiej duszy“, drżącej z zimna i strachu...

Biedni malkontenci! Prawdziwi „ludzie bezdomni“.

Rozpłakałbym się, gdyby nie komizm sytuacyi...

* * *

„Artyzm“ pewnego specyalnego odłamu naszych malkontentów ma dużo wspólnego ze sztuką fryzyerską. „Obaczymy — mówi ślepy — jak się łysy fryzuje“ — oto motto tego „artyzmu“ (zaprawdę arcymagiczne). Zgodnie z opinią wyznawców tego „artyzmu“, Chrystus, naprzykład, na tle współczesnej (porewolucyjnej) epoki jest za mało „estetyczny, powabny“, zanadto „brzydki, rozczochrany, brudny, łysy, nie modnie ubrany“, a zwłaszcza... „chory“. Trzeba go najpierw „wyleczyć“ w Tatrach (w sanatoryum p. Micińskiego), a później „uperukować, ubrać po aryjsku“ (według fryzyerskich przepisów p. Nalepińskiego) i... pokazać całej Polsce, aby nawet „ślepi ujrzeli tę sztukę fryzyerską“... Wszyscy święci katoliccy (zdaniem tychże „artystów“) mają tylko „przydługie... uszy“ (zbyt wiele słyszą o tem, co się dzieje w państwie malkontentów). A więc trzeba redaktorskiemi nożycami p. Feldmana poobcinać te „przydługości“, zaś obcięte kawałki przyszyć do „przykrótkich uszu“ głuchych (na głos

sumienia zwłaszcza) malkontentów!... Wizerunki wszystkich bohaterów (zwłaszcza polskich) nie są „modern ucharakteryzowane“, odrażają swym „zacofanym wyglądem“. Więc trzeba je zgodnie z wymaganiami „mody“ ucharakteryzować na „bohaterstwo wyższego stopnia“... I tak dalej, i t. d. w tym „artystycznym“ sensie.

Estetyka „sztuki perukarskiej“, zastosowana specyalnie do żydów polskich oraz do osławionego niechlujstwa (ciała i duszy) polskich „bogopogromców“, miałaby nadzwyczajną zasługę wobec przyszłości. Atoli, stosowana specyalnie do tych, którzy świat cały nauczyli nie sztuki, lecz obowiązku czystości, jest taką samą manią, jak mania „ślepca, pragnącego widzieć, jak się fryzuje... łysy“...

Ironia zbyt bolesna — wiem o tem.

Atoli najwłaściwsza — jako kryteryum — w sztuce oceniania „wartości“, jakiemi operują nasi „artystyczni“ malkontenci, pomyleni na punkcie *canis* i *Deus*... Wiedzą o tem wszyscy, że tylko poważna treść dzieła nastraja poważnie. „Artystyczne“ dzieła, omawiane w tej chwili przezemnie (bez wymieniania tytułów), nastroić mogą tylko do pisania „nowych pereł humoru polskiego“ (à la „trąba jerychońska“). Więc proszę się nie dziwić, że ironię uznałem za wskazaną formę krytyki „arcydzieł literatury malkontentów“...

* * *

Tę formę krytyki (ironię) stosuję z całą bezwzględnością do siebie samego — do mojego już minionego, już przeżytego okresu literackiego. Byłem blizki opętania. Miłując Chrystusa, dla *rozkoszy* literackiego eksperymentu uzbroiłem się w nienawiść do Niego. Zapragnąłem *wyeksperymentować* w Chrystusie „nowe, lepsze objawienie". Wmówiłem w siebie, że tego objawienia, jakie On dał, mnie już nie wystarcza. Postanowiłem terrorem wymusić na Chrystusie to „nowe objawienie" (do tego już stopnia byłem szalony), zmusić Go, aby „raczył do mnie przemówić". W tym celu wezwałem na pomoc mojego... Mefistofelesa („utajoną we mnie siłę niszczącą" — jak się wyraziłem w „formule zaklęcia"). Lecz oto, gdy mój Mefisto zapukał do moich drzwi, przerażony odwołałem się do... Nadaremno! Cały rok mój Mefisto pukał do drzwi mojego serca... Byłem zupełnie bezsilny — mimo, iście szaloną wolę, choć aż nadto silny, aby nie chcieć „wejść w układ" z moim Mefisto...

Przekorna walka z Chrystusem skończyła się zupełnym moim pogromem. W chwili, kiedy już byłem blizki śmierci, zrozumiałem, że walczę tylko o... prawo „*honorowej* śmierci" (Nietzsche), że zwalczam nie Chrystusa, lecz moje *prawo życia*! Zrozumiałem, że jestem tylko „filozofem" samobójstwa — „chwalcą śmierci" — „apologetą Mefistofelesowego wyznania"... Tem zrozumieniem odzyskałem *prawo życia*, wzbudziłem w sercu potężny *akt pokory* (samosądu), bez której niema

ani radośnego życia, ani radośnej mądrości-wiedzy! Nie kierowała mną żadna niewolnicza obawa śmierci (właśnie byłem maniakiem śmierci: chciałem umrzeć na złość Chrystusowi)! Zbuntowałem się przeciwko mojej głupocie, przeciwko mojemu, idyotycznemu buntowi w imię poczucia godności osobistej, wystawionej na pośmiewisko larw... Zbuntowałem się przeciwko mojemu „błazeństwu mistycznemu"...

Zrozumiałem, że Chrystusowi zależy tylko na dobrej woli człowieka, że człowiek przecież nie robi Mu zaszczytu, służąc Jego Idei. Nikt z pośród ubóstwionych twórców religii nie uszanował wolnej woli człowieka tak święcie, jak właśnie Chrystus. Nauka Chrystusa*) jest jedyną, zbudowaną na wolnej i dobrej woli! Jedyną! Kto rozumie tę „wolność i dobroć woli", ten wie, że stosunek chrześcianina do Chrystusa jest tylko dobrowolnym (nie wymuszonym — jak chce Nietzsche i jego karykatura) aktem woli, jest tylko osobistą kwestyą życia — tragiczną lub radośną (zależnie od wahań — zwątpień tej woli). Chrystus jest jedynym Autorytetem serca i jaśni w walce z utajoną w jądrach nocy potęgą niszczenia i negacyi. Człowiek, odrzucający Chrystusa, traci ten właśnie Autorytet, dobrowolnie wystawia się na niebezpieczeństwo „ciemnych żywiołów", których pokonać absolutnie nie jest w stanie

*) Zarzucać nauce Chrystusa nietolerancyę znaczy świadomie kłamać.

(wyznania Jasnowidzącej z Prevost — jako komentarz). Ginie w hamletowej walce, albo wracając do stanu dziecięctwa, odradza się w akcie zwycięskiej, jasnowidzącej pokory!... Trzeciego wyjścia niema: sfera mistyczna kompromisów nie uznaje...

Nie mówię słów na wiatr. Nie jestem agitatorem, abym chciał kogokolwiek przekonywać. Nie o przekonywanie mnie chodzi, jeno o rozbudzanie w formie przestrogi. Mam moralne prawo do tego, bom przeżył takie piekło, o jakiem współczesnym „filozofom“ zaprawdę się nie śniło. Zbyt dumny jestem, abym chciał chcieć z prawdy moich przeżyć robić literaturę à la Edgar Poe (taką tylko literaturę mógłbym zrobić), płatną po 10 hal. za wiersz... Człowiek jest silny tylko nieujawnioną prawdą swoich przeżyć — wyrzeźbionym ręką Cierpienia wyrazem twarzy — stylem słowa, oczyszczonego w ogniu!... Człowiek, kupczący prawdą swoich przeżyć, mimowolnie staje się kuglarzem! Wyznanie tej prawdy w imię świętej idei oczywiście niekiedy jest konieczne, atoli kupczenie zawsze było, jest i będzie kuglarstwem... Obojętną jest dla mnie złośliwa obojętność czyhających na każde słowo moje malkontentów. Kto będzie miał dobrą wolę zrozumieć mnie, ten zrozumie. Wyrażam się jasno i konkretnie. Nauka chrześcijańska jest nauką o prawdziwej wolności. Chrystus nauczał: „kto chce być zbawionym, ten będzie zbawion!“ W nauce chrześcijańskiej właśnie to niewymuszone, niezniewolone chcenie — jako akt religijnej

dobrej woli — jest czynnikiem decydującym. Atoli w nauce chrześcijańskiej niema żadnego nakazu dla tych, którzy „chcą być zbawionymi“, aby zwalczali i tępili tych, którzy zbawienia nie chcą! Jest tylko wzmianka o „otrząsaniu prochu w domowstwach ich“... Czemuż więc — pytam — współcześni malkontenci, którzy nie chcą być zbawionymi, plugawią i zwalczają chcących zbawienia? W imię czego tak postępują? W imię „wolnej myśli“?! Wszak „wolna myśl“ dlatego nazywa się wolną, że nikogo do niczego nie zniewala! Trafiłem w samo sedno „wężowe“. Obojętny jest dla mnie w tej chwili wściekły syk gadów. Nie jestem ptaszkiem, abym uległ gadzinowej hypnozie. Demaskuję prawdą moich przeżyć.

Walczyć o „nowe nad-Chrystusowe objawienie“ i być zmuszonym do alternatywy przyjęcia „starego, przed i pod-Chrystusowego, Mefistofelesowego objawienia-wyznania“ — oto straszliwa ironia, która pysznie eksperymentującą myśl moją zmiażdżyła (każda ironia życia miażdży). Miałem do wyboru tylko jedno z tych dwóch „objawień“: odkupująco-zbawiającego i zaprzedająco-potępiającego. Trzeciego nie było nigdy, niema i absolutnie być nie może (o „trzeciem objawieniu“ mógł sobie artystycznie marzyć tylko Julian Apostata, opętany przez poganizm-mefistofelizm). W „złotym środku“ panoszy się duchowe chamstwo — „materyał na ludzi“ (mówiąc stylem Nietzschego). Nie chcąc „honorowo“ ginąc dla Mefistofelesowego „objawienia“,

kornie przyjąłem Chrystusowe — jako moje prawo życia. „Mitologię“ duszy mojej... „monoteistycznie“ ochrzciłem (kto wie zresztą, czy młodzieńczy bunt przeciwko Chrystusowi nie jest preludyum do... świadomego, dobrowolnego chrztu powtórnego). Mistyczne prawo do duszy człowieczej ma Chrystus albo Mefisto (Lucyfera zostawiam w spokoju) — zależnie od wolnej deklaracyi człowieka. W sferze złej woli człowieka panuje Mefisto, w sferze dobrej woli Chrystus. W Bogu jest ostateczne rozwiązanie tej mitycznej tragedyi woli człowieczej. Dziedzicznie panująca kultura chrześcijańska nie jest fikcyą. Najzagorzalsi wrogowie katolicyzmu są fanatycznymi katolikami w życiu rodzinnem zwłaszcza. Objaw zupełnie naturalny. Etyka bez autorytetu moralnego niema żadnego znaczenia; jest tylko fikcyą. Tak samo i kultura. Kultury grecka i rzymska nie miały żadnego autorytetu (oprócz *deus ignotus)*; pierwsza szybko zdekadenciała (choć tak pięknie marzyła, uwieczniając kształty bez... ducha), druga jeszcze szybciej zdeprawowała się (choć stworzyła genialne prawo bez... sprawdzianu). Kultura chrześcijańska dała światu Autorytet sumienia — Autorytet moralnego prawodawstwa! Z władzy sumienia nie wyzwoli się już żaden europejczyk; zdziczeje, lecz prawo sumienia przeklinając uzna (choć nie uszanuje). Chrystus panuje nie tylko w sumieniu historyi, lecz i w sumieniu człowieka. Oto Jego tryumf! Walka z Chrystusem jest tylko walką z sumieniem, której epilog zawsze

tragiczny — hamletowy. Współcześni malkontenci mogą się łudzić (naprzekór przestrodze nawet Przybyszewskiego), że zdołają podejść, oszukać, okłamać sumienie chrześcijańskie (ze zwycięstwa chytrze rezygnują), że potrafią je zmodernizować (malkontenci mojżeszowego wyznania mają do czynienia z Jehową). Ja atoli nie łudzę się i nikomu łudzić się nie radzę. Mieliśmy już dosyć tych „hamlecików“ polskich ku przestrodze.

Ja osobiście nie mogę sobie wyobrazić normalnego (nie patologicznego) rozwoju duszy europejczyka poza sferą sumienia chrześcijańskiego — tak samo, jak nie mogę sobie wyobrazić gruszki, rosnącej na wierzbie! Prędzej uwierzę w kaukazką rasowość murzyna, niżli w dokonaną antychrześciańską metamorfozę europejczyka. Tej wierze sprzeciwia się logika przyrodnicza: gatunek owocu można doskonalić, lecz istoty tego owocu zmienić nie można. Europejczyk — jako gatunek kultury — może się tylko doskonalić, albo dekadencieć; istoty swojej — sumienia — zmienić nie może przenigdy! W temci jest tryumf Chrystusa. Kto ma rozum, ten zrozumie.

Na kabotyńską uwagę malkontentów, że europejczyk ma jeszcze do wyboru buddyzm, mahometanizm, konfucyanizm i t. d., ironicznie odpowiem: Buddyzm jest także tylko sumieniem ściśle określonej kultury; w imię buddyzmu także nie wolno sumienia oszukiwać! Że gatunek kultury buddyjskiej w duszy europejczyka przyjąć się nie może, o tem

zadecydował największy ze sceptyków, Anatol France. Opinia France'a dla naszych niedouczonych w kwestyi religijnej malkontentów jest zaprawdę decydującą.

Niech marzą o... kulturze aryjskiej, odnalezionej w Tatrach (wraz z p. Nalepińskim). Może wymarzą jakiegoś bożka.

Tyle na usprawiedliwienie mojej ironicznej formy krytyki.

* * *

Ilekroć uczciwy człowiek broni uczciwej sprawy, splugawionej przez złą wolę, tylekroć słyszy z obozu malkontentów taką oto sentencyę: „Nie lubimy kazań!" „Hemplowi" *) kaznodzieje „nowego życia" nie cierpią krytyki, przeciwko której uzbrajają się w iście papuzie dzioby... Któż lepiej dziś potrafi kazać o „nowem życiu" od naszych „wolnowymyślających" malkontentów? Zaprawdę nikt! Chorzy na manię kaznodziejstwa malkontenci „nie lubią kazań". Dlaczego? Oto z obawy... konkurencyi. W swem maniactwie są już tak zaślepieni, że akt samoobrony uważają za konkurencyjne kaznodziejstwo. Znienacka człowieka ugryźć może lada „pies ideowy". Środki ochronne przeciwko możliwości tego rodzaju ugryzienia nie są przecież

---

*) Hempel -- po amerykańsku wyszkolony „kaznodzieja", wolnowymyślający Chrystusowi.

„kazaniem“. O tem malkontenci już chyba powinni wiedzieć. I o tem także, że nawet najmniej wybredny kapłan katolicki nie odważy się kazać w „zborze wolnowymyślających malkontentów“ — bez narażenia swej osoby na „wolną operacyę“. I jeszcze: ilekroć krytyk z punktu widzenia prawdy dziejowej ocenia wartość tendencyjnych utworów (t. zw. „partyjnej literatury“, drapującej się w zlicytowane szaty „Chimery“ — n. p. wartość „pepesowego wyznania“ Żeromskiego), z prawdziwą sztuką niemających nic wspólnego (oprócz niesłychanej pretensyonalności słowa i pochimeryzowanego stylu), — tylekroć słyszy z obozu malkontentów inną sentencyę: „Pan nie masz pojęcia o sztuce!“ (właściwe brzmienie: „pan nie wiesz, że artyście wolno o wszystkiem pisać nawet bez kwalifikacyi do wszystkiego“). Tak, zaprawdę, o „sztuce partyjnej“, tak modnej w chwili obecnej, nie trzeba mieć żadnego pojęcia. Tem bardziej o „sztuce wolnowymyślającej“. Albowiem te „sztuki“ same o sobie nie mają żadnego pojęcia (przeciwstawiają się „Chimerze“, będąc chimerycznemi córkami chimery).

Sztuka nie jest odbiciem (lustrzaną kopią, kinematograficzną parodyą) życia realnego, — nie jest wyrobnictwem (jak chce St. Brzozowski). Sztuka jest natchnieniem, na które trzeba zasłużyć. Sztuka — jako afirmacya religijnej tęsknoty duszy — jest ponad życiem realnem, choć jej promienie słoneczne uczestniczą w twórczej

tego życia pracy. „Słońce jest cieniem Boga“ (Michał Anioł). Sztuka jest „cieniem Myśli Bożej“. Promieniste ujarzmianie nizin, prometejskie zdobywanie wyżyn — oto wola sztuki! Radośny Hymn życia (biedny Nietzsche!) — oto miłość sztuki (św. Franciszek). Pojednanie serca ziemi z sercem niebios — oto nadzieja sztuki. Sztuka jest ciągłem usłonecznianiem się w mrokach. Jest „mistyczną strategią“ w walce z wyrafinowanym „zwierzem“... Niema nic wspólnego z „wolnowymyślaniem“. Głosi to tylko, co już zdobyła szturmem, co w jej sumieniu tryumfuje. Głosi tylko swój ciągły tryumf w imię Odwiecznego! Jest prawą, rzetelną aż do zaparcia się. Ujawnia się tylko w ciągłej konieczności Piękna. Kaprysem chwilowości gardzi... Sztuka jest „Legendą, którą Odwieczny śni w czystem sercu wybranego“... Sztuka jest „Legendą Boga!“...

Innej sztuki niema. Jest tylko literatura, parodya sztuki!

Tak pojętej sztuki wyznawcą był Mickiewicz (wolał „złamać pióro“, niżli być... literatem) i Norwid (wolał pisać „niezrozumiale“, niźli się sprzeniewierzać prawdzie, prawości i rzetelności). Tak pojętą sztukę zwalczają dziś nie tylko malkontenci, lecz nawet ci, którzy „legendę malkontencką“ potępiają (St. Brzozowski). „Protokolanci literaccy“, spisujący swoje „prawdy przeżyć“ (przeważnie fikcyjnych) — oto mistyfikatorowie sztuki. Utwory zwłaszcza Żeromskiego mają znaczenie „przedziwnych

aktów sądowych", przeznaczonych dla... Lucyfera-obrońcy (Słowackiego, „Samuel Zborowski"). Nie przeczę, że nawet świetnie spisane akta sądowe mają znaczenie epokowe choćby dlatego, że są przeznaczone dla tak wielkiej persony „mistycznej"... Tylko wątpię, czy Lucyfer-obrońca zdoła obronić tą „nową polską sprawę literacką", zainicyowaną nawet na przekór wierze Słowackiego (tak obłudnie dziś „umiłowanego" przez malkontentów).

O, jakże drogo kosztuje naród ta współczesna eksperymentalna, śledczo protokolarna, seksualnie prowokacyjna literatura! Drukują się dziś już nawet takie powieści (Kaz. Tetmajera „Gra fal"), na które najwięcej wyuzdany Rzymianin (oczywiście gdyby dzisiaj żył) splunąłby ze wstrętem. *Ex oriente lux* — postęp! Arcybaszew na „nadsamstwie" (parodyi nadczłowieczeństwa) dorobił się sławy i... pieniędzy; Andrejew na patologii kryminalnej dopracował się synekuralnej renty; Sołłohub, kacapizując saddyzm, mazochizm, homoseksualizm, „uwiecznił się" — jako „satrapa literatury rosyjskiej"... Czemuż więc polscy literaci nie mają czerpać „natchnienia" z tych samych rentujących „źródeł"? Wszak wpływ literatury rosyjskiej na polską jest „cicho" zapewniony, przemycany (większość utworów Daniłowskiego, Sieroszewskiego, Żeromskiego, a przedewszystkiem St. Brzozowskiego wybitnie zdradza ten „cicho" przemycony wpływ Andrejewa, Gorkiego, Garszyna, Łunaczarskiego, Kuprina i t. d.;

o p. Nalepińskim, komiwojażerującym z „królem Duchem“ Rosyi, pokłóconym z „kurą“ francuską“, nawet już Paryż wie).

Naród polski ma już tylu nawet „nadprogramowych“ katów i tyranów, że chyba ma jakieś prawo domagać się od literatury, aby była dlań ukojeniem — wyzwoleniem z tych podłości, które go dręczą i dniem, i nocą, — wiosną, odradzającą wycieńczone siły... Niestety! Zda się, na przekór temu prawu, współczesna literatura polska coraz więcej staje się „naczyniem osobliwej tyranii i wymyślania“ — poprostu „szkołą neo-tyranów“, nauczającą wyrafinowanej „sztuki“ dręczenia siebie i bliźnich tem właśnie, co każdy zdrowy człowiek energicznie zwalcza, potępia! Ulubionym tematem współczesnej literatury jest „artystyczna“ rola „policyanta duszy“, wyłapującego „ciekawe stany-przeżycia“ (wpływ Scherlocka Holmesa widoczny). Biedna dusza już nie wie, gdzie się ukryć; wszędzie ją ścigają, odnajdują, protokołują; jest już w stanie obłędu ze strachu i zmęczenia...

Bez obawy! Nie mam zamiaru stawiać granic („tamy przeciwko opilstwu literackiemu“) tej literaturze, ściganej, gdyby zając, przez psy wyzwolonej namiętności. Ta literatura jest już tak ograniczoną, że żadnej obawy o jej ograniczenie i być nie może (zbyteczne są studya nawet wybitnych krytyków o „nieograniczoności literatury“). Jej ograniczoność nie zna już granic — jest tak

wielką! Granicą piękna jest brzydota, światła — mrok, idei — tandetna doktryna, prawdy — kłamstwo, poezyi — proza, miłości — rozpusta... Współczesna literatura tych granic z nadmiaru ograniczenia oczywiście nie śmie uznać; musi być zawsze ciekawą „Mädchen für Alle“. Upaja się świętością, aby tem skuteczniej bluźnić; nadyma się pięknem, aby tem bezpieczniej tarzać się w bagnie obrzydliwości... Artysta zna granicę „duszy dostojnej“: umie odgraniczyć się od parszywości. „Wolnowymyślający“ literat tą granicą gardzi, odgraniczając się ograniczonością umysłu swego od wszelkiej dostojności. Tandetne produkty wolnowymyślających prawdzie, wolnoprowokujących piękno, wolnoszpiclujących „tajemnice“ duszy literatów zasypują rynek księgarski, wypierając poczytność nawet Wyspiańskiego. Zwłaszcza tandetnie filozofująca „naukowość“ wolnomyślicieli cynicznie ruguje prawą i dostojną naukę, udzielając dyspensy od „postu myślowego“ i uprawniając do iście prowokatorskich haseł: „Przyznaj się, Panie Boże, że i Ty, nie jesteś lepszy odemnie“ („Bożyszcze“, Katerli, sparodyowane „Deity“ Schelleya, doskonały komentarz).

Ażali można się dziwić, że dzisiaj z pojęciem „literat“ łączy się coś bardzo brzydkiego — p o d e j r z a n e g o? Czyjaż to zasługa? Oto tych panów literatów, którzy o zohydzenie swego imienia starali się, starają się i, zdaje się, starać się będą!...

Przesada! — słyszę ze wszech stron zarzuty.

Dla obojętnego człowieka prawda, dla ignoranta — nauka, dla tchórza śmiałe nazywanie rzeczy po imieniu, dla obłudnika demaskowanie — jest już przesadą.

Dla współczesnej literatury*) zaś przesadą jest jej własna... przesadność i przesądność, jej własna nadymająca się pretensyonalność na punkcie taniego autorytetu!...

*
* *

„Jeżeli zaprzesz się wiary ojca twego i matki twojej, jeżeli wzgardzisz tradycyą, na której podłożu wyrosła ta cała wstrętna kultura narodu, jeżeli się wyrzekniesz Idei, która cudownie ocaliła i ocala naród od koniecznej zagłady, jeżeli odrzucisz Chrystusa — jako „kusiciela do słabości niewolniczej", jeżeli potargasz więzy Wiary, Miłości i Nadziei, zaś uzbroisz się w miecz nienawiści, powiadam ci: zaprawdę będziesz wolnym bogiem na ziemi i w... przyszłym ziemskim raju bogów!" Oto „formuła kuszenia" oficyalnie zadeklarowana przez seansowo wywołanego Mefistofelesa XX wieku, który zbiera cyrografy wybitnie doczesnych literatów i poetów.

---

*) Z najwybitniejszych przedstawicieli „Młodej Polski" pozostali sobie wiernymi, czystymi, nieskażonymi tylko Kasprowicz, Staff, Przybyszewski, A. Górski; sztandaru sztuki nie zbrukali tendencyą rasowo-religijnej borby,

„Wziął Mefistofeles i zaniósł proroka malkontentów na górę wielką, którą zowią: Kozi Wierch. I pokazał mu nową Jerozolimę, odnowioną i odbudowaną, jako nigdy przed jej zburzeniem. I ukazał mu kopułę nowej świątyni Salomonowej, kąpiącą się w blaskach wschodzącego słońca, i rzekł: twojąć jest ta przyszła stolica, jeżeli padniesz i oddasz mi pokłon! A prorok ów padł i oddał mu pokłon głęboki, wołając: mojąć jest ta przyszła stolica świata, albowiem jamci z królewskiego rodu! I pasował go Mefistofeles na rycerza czarnego w zbroi koloru ognia: i rozgrzeszył go z win jarzma Chrystusowego i namaścił czoło jego krwią barankową; tchnął w niego czarodziejską moc swoją i rzekł tonem rozkazu: idź i czyń na chwałę moją!

„I stanął ów pasowany na rycerza prorok przed wielką rzeszą malkontentów i rzekł: udzielam wam, bracia moi, dyspensy od postów wszelkich: i od sumienia i od serca i od myśli chrześcijańskiej. Oto pasuję was na rycerzy-wrogów Chrystusa, który jest szatanem ojczyzny naszej. Chrzczę was krwią wolności i niepodległości: jesteście i będziecie bez winy na wieki! Wszystko, cokolwiek uczynicie w imię nienawiści, dobrem jest i tu i... tam“... (tu się rękopis pewnego „medyum“, zdradzającego tajemnicę „czarnej magii“, urywa; ja atoli dopowiadam do końca).

„Prorok ów mówił dalej: będziecie jako bóg, jeżeli zjecie wszystkie zakazujące przykazania sumienia, które wróg wasz, Chrystus, wymyślił na

udręczenie wasze; nienawiść wasza wszystko strawi i spali: pozbądźcie się wszelkiej miłości, bracia moi, i wszelkiej nadziei także, albowiem już się stało to, co wyście powinni dopełnić i wypełnić. Oto na wschodzie już świta korona „trzeciego królestwa“ świata tego, którą los przeznaczył nam, pierwszym męczennikom nowego świtu. Bądźcie zawsze wolni i niepodlegli, o bracia moi, w czynach waszych, niszczących i burzących świątynię kłamstwa, której na imię: kościół Chrystusowy! Bądźcie zawsze wolni, o bracia: ja was rozgrzeszam z chrztu niewoli!...

„I oto przystąpił do proroka owego pewien młodzian i rzekł: napisano jest w księdze żywota tego: nie będziesz kusił bliźniego twego! I jeszcze napisano jest: człowiek, pełen nienawiści, nie jest wolny od głupoty swojej! Jakoż kusić można głupotę człowieka, aby mądrość zabijała? Jakoż człowiek żyć potrafi bez mądrości, która jest słońcem duszy? Bez słońca życie ginie.

„Młodzian mówił dalej: onego czasu żył wielki mędrzec, który wszystkie jadowite gady i smoki straszliwe, pożerające ludzi tysiącami, zaklął mądrością swoją i zamknął w pieczarze górskiej. Uradowani i uszczęśliwieni ludzie ogłosili go królem swoim: panował im sprawiedliwie na chwałę mądrości przez długie, długie lata. Lecz oto jeden z ministrów jego, namówiony do złego przez ropuchę, która miłowała skorpiona skrzydlatego, zamknionego w pieczarze, zabił króla-mędrca, posiadł

klucz tajemniczy i wyzwolił z niewoli pieczary legiony gadów i smoków straszliwych: które — jako były głodne — rzuciły się na ludzi i wszystkich pożarły. Z mądrego królestwa nikt nie ocalał: smok pożarł nawet dobrodzieja swego — ministra!"...

„Młodzian mówił dalej: Ażali wasze „trzecie królestwo" nie jest takiem wyzwolonem państwem gadów i smoków? Jakoż wy możecie chcieć zabijać mądrość, która nam łaskawie panuje, ażeby wyzwolić ujarzmionych w mrokach nienawiści smoków? Zginiecie wszyscy...

„Młodzian nie skończył mówić: prorok uderzył go kułakiem w twarz i wrzasnął straszliwym zwierzęcym głosem: ukamienować! Rzesza malkontentów wyprowadziła młodziana za miasto, niemiłosiernie bijąc i katując: przywiązała go do słupa telegraficznego powrozami i ukamienowała. Sępy pożarły resztki jego ciała, porozrzucane na pustem polu.

„A uczyniwszy sąd ten straszny, wrócili do swego proroka, który rzekł do nich uroczyście: Krew jego niech będzie chrztem wolności naszej, nie cofniemy się już przed niczem!"...

Oto „legenda" początku XX wieku, której prawdziwość stwierdziła... „rewolucya" rosyjska...

* * *

Doktryna „wolnej myśli" jest właśnie wyzwalaniem ujarzmionych przez mądrość idei chrześci-

jańskiej gadów i smoków z „ciemnych trzewi“ duszy człowieczej. Utrupić w sobie ideę świętą bardzo łatwo; lecz na to, aby ją wskrzesić albo stworzyć na nowo, trzeba być „nowym“ Chrystusem! Atoli utrupiające samochwalstwo niema nic wspólnego z chrystusowością (zbawicielstwem) wogóle: jest tylko kainomanią! Nadzieją lepszego „prawdziwego“ messyasza można żyć — naturalnie, lecz na to trzeba być... żydem, który przez 1877 lat czeka na swego Rabboniego! Utrupiający chrystusowość europejczyk lub „aryjczyk“ — ze względu na pretensye aż nadto marnie krótkiego żywota swego — dłużej, niżli dwa lata, tą nadzieją żyć nie będzie (chyba się zarazi wiarą „rabina cudotwórcy“).

Idea gnije i rozkłada się w zgniłym organizmie. W zdrowym organizmie idea kwitnie! Zgniły organizm, rozkładający nawet marną doktrynę, nie jest autorytetem dla zdrowego organizmu, w którym wszystko kwitnie. Że idea chrześcijańska rozkłada się w gnijącym mózgu, w gnijącem sercu, to nie argument przeciwko Chrystusowi; ten fakt jest raczej argumentem przeciwko „wolnomyślącemu“ mózgowi, „wolnonienawidzącemu“ sercu...

Cożby się stało z drzewem, gdyby jakiś pomylony ogrodnik, chcąc je „uzdrowić i odnowić“, powycinał część jego korzeni? Niezawodnie zmarniałoby! Coby się stało z rzeką, gdyby jakiś pomylony inżynier zaprojektował, aby wypływała z innego, niźli naturalnie jej właściwego, źródła? Oto przestałaby być rzeką? Coby się stało z urodzajną

glebą, gdyby jakiś pomylony „amator Sahary i samumów“ uchwalił wyniszczyć, wysuszyć jej urodzajność? Oto przemieniłaby się w straszną pustynię!...

Czemuż więc — pytam — nasi malkontenci na swoich i bliźnich duszyczkach dokonuja takiej operacyi? Ażali łudzą się, jak ci pomyleni, że uszkodziwszy korzenie swoje będą mogli dojrzewać i „myślowo“ kwitnąć? Chyba nie... Niemożność kwitnienia — oto klątwa, niszcząca naszych malkontentów. Nie mogąc kwitnąć, marnieją z rozkoszą, giną w ekstazie samobójczej. I za swoje „nieszczęście“ czynią odpowiedzialnym Tego, który nauczył mądrości kwitnienia w słonecznej atmosferze Bożego Tchnienia! Już nie wiedzą, że w mrocznej zoologicznej atmosferze, przeciwstawionej Tchnieniu Bożemu, mogą tylko „honorowo“ (wobec zwierza) ginąć. Głodne bydlę pożera wszystko bez wyboru — nawet truciznę. Zdycha, lecz pożera. Takiem głodnem bydlęciem staje się człowiek, odrzucający chleb Mądrości chrystusowej...

Twierdzić, że Chrystus nie rozwiązał kwestyi socyalnej (kwestyi chleba) znaczy być obskurantem złej woli. Ażali nie w przykazaniu miłości bliźniego rozwiązuje się kwestya chleba codziennego? Co jest źródłem nędzy, jeżeli nie nienawiść? Gdzie nienawiść, tam i krzywda, wyzysk, gwałt, złodziejstwo, rabunek! Gdzie miłość, tam i zgoda, sprawiedliwy podział pracy i zarobku — tam zupełny komunizm! Gdzie krzywda, tam i zbrodnia. Gdzie

sprawiedliwość, tam i pokój, obrona prawna... Ażali mam jeszcze odpowiedzieć na kuszące słowa szatana, aby dostatecznie uzasadnić powyższe twierdzenie? Chrystus nie przemienił kamieni w chleby dlatego, aby człowiek, opętany przez złą wolę, nie przemienił tego chleba w kamień! Sapienti sat... „Będziesz orał w pocie czoła, albowiem bojowaniem jest żywot człowieczy, a nie próżnowaniem!“

* * *

Nasi malkontenci, kwestyonując istnienie wolnej woli, proklamują myśl wolną! Jakaż to idyotyczna sprzeczność! Z niewolnej woli wyprowadzać myśl wolną? Monstrum logiczne. Myśl człowieczą usiłują wyzwolić nie z tego, co ją gnębi, więzi, lecz z tego, co ją koi, wyzwala! Sami wiedzą, że nie o wszystkiem wolno mówić, że są rzeczy, o których nawet im się nie śniło, a które, gdyby je im powiedziano, niezawodnie zdruzgotałyby ich... A jednak... Człowiek ma tyle wolności, ile siły. Tyle prawdy, ile rozumu. Ani mniej, ani więcej. Równowaga musi być zachowana. Nasi malkontenci, ignorując tą prawdę, niepoczytalnie kuszą bliźnich do takiej nawet wolności, która w ich mózgownicach nie może się pomieścić bez narażenia na chorobę obłędu. Prowokują do takich „stanów duszy“, w których się rodzi tylko mania samobójcza. Człowiek ma tyle szczęścia, zachwytu, radości, ile intuicyjnej, dobrej naiwności

dziecięcej. Pozbawić człowieka tej naiwności dziecięcej — znaczy zatruć mu żywot aż do śmierci. Tą prawdę psychologiczną ignorują nasi malkontenci, usiłując nawet dzieci „górnie i dolnie uświadamiać“. Tem „uświadamianiem“ zabijają wrodzoną dzieciom poezyę, wpajając analityczną manię węszenia wszędzie wroga „wolnej myśli“... Widok tych „uświadomionych“ dzieci zaprawdę jest godny politowania. Robią wrażenie pochyłych wierzb, na które kozy skaczą...

Prawdziwa wolność — to siła ciągłego pokonywania przeciwieństw — to ciągła równowaga! Chcąc się wznieść w górę, trzeba opanować ciążenie ku nizinom. Nasi malkontenci chcą pokonać ciążenie (tęsknotę) ku wyżynom, aby stać na nizinach — jako bogi! Mówiąc dobitnie: uroili sobie, że spadanie z góry na dół jest tylko wniebowzięciem! Astronomicznie rehabilitują... Lucyfera...

* * *

Wolnomularstwo jest tym *spiritus movens*, który wyrafinowanie kuglarskiemi sztuczkami — „ideowym haszyszem“ — podnieca, prowokuje chrystyanofobię. Jedynym celem wolnomularstwa (w chwili obecnej), podszywającego się pod najszczytniejsze hasła (nawet hasło „niepodległości polskiego narodu“), uzurpującego nawet szczyty

myśli ludzkiej — jako domniemany „twór wolnomularstwa“ *), — jest Autorytet (t. j. zdobycie katedr naukowych w uniwersytetach, utworzenie trustu oświatowego i pedagogicznego w kierunku tylko antychrześcijańskim, podporządkowanie sztuki, literatury i nauki swoim świetnie zamaskowanym celom i t. d., i t. d.). Autorytetowi Chrystusa (tylko!) massoni chcą przeciwstawić Autorytet... (czyj? „tajemnica“, proszę czytelników, „tajemnica“, wyzierająca przez dziurawy łachman-zasłonę). Wolnomularstwo — jako hypnoza i suggestya na wielką skalę — konsekwentnie prowadzi do opętania średniowiecznego (vide „Opętanie“). Jest niczem więcej, tylko „giełdą ideową“. Kapitały masońskie są niebezpiecznie zaangażowane we Francyi, Italii i Hiszpani (ta ostatnia może „spłacić długi“ bankructwem nie tylko tronu, lecz także kultury narodowej). W imię „obrony“ tych kapitałów massonerya wszczęła arcyniebezpieczną akcyę, która zaprawdę może się skończyć katastrofą dla Europy...

Massonerya — jako Judasz Różokrzyżowców — bez Judasza nie może się obejść. W tym celu „zaprosiła“ do swego przedsiębiorstwa ...żydów wraz z ich kapitałami (za pieniądze można kupić —

---

*) Kuglarską metodą massoneryi jest suggerowanie naiwnym ludziom, że najwybitniejsze umysły świata były... na usługach wolnomularstwa. Jest to znana jeszcze w Egipcie sztuczka.

przekupić „ideę“). Za mało miała „furyi antychrześciańskiej“, więc nie dziw, że zawarła kontrakt z żydowską furyą antychrystową, która daje gwarancyę zwycięstwa. Zresztą potrzebowała maklerów i hochstaplerów doktryny massońskiej, wyszkolonych na „sztuce“ kaptowania „żywego towaru“... Żydzi (bankierzy zwłaszcza, rozmarzeni o „panowaniu nad światem“) są nieocenionym nabytkiem dla massoneryi, której los jest zadecydowany: zdradzi ją Judasz! Bez komentarza. Judaszowe przedsiębiorstwo zawsze kończy się zwycięstwem Judasza!... Tego nas uczy historya. Tak!

Im więcej Kościół katolicki tracić będzie swój autorytet w warstwach większości inteligencyi europejskiej, opętanej przez wolnomularstwo, tem więcej zyska na autorytecie w sercu masy ludowej. Bezsilność massoneryi wobec tego serca masy ludowej — oto „furor massonicus“, przeradzający się w obłąkanie. Idyotycznem złudzeniem jest, że serce masy ludowej można okłamać, podejść. Nawet tendencyjnie antykatolicka oświata nie zdoła ujarzmić prawa serca — nie! Prometejskie przywiązanie serca ludów do Tronu Chrystusowego — oto zapowiedź zupełnego pogromu massoneryi bez odwołania się do... inkwizycyi. „Tajemnicę“ massoneryi znam o tyle, że pozwalam sobie tak, a nie inaczej wnioskować. Massonerya panicznie się boi Golgoty. Bez Golgoty niema Autorytetu — przenigdy! Autorytet massoneryi,

oparty li tylko na kuglarstwie i prowokacyi nikczemnych instynktów (w imię „szczytnej idei“ oczywiście) — jest tylko bańką mydlaną, imponującą neurastenikom, malkontentom, wogóle psychopatom.

Kuglarstwo nie obaliło żadnego kościoła. Kuglarstwo massoneryi, opierające się nawet na autorytecie Fichtego (*sic!*), jest tylko tragikomiczną farsą (naturalnie niebezpieczną dla zdrowego rozsądku).

* * *

Współudział w „wolnościowej krucyacie“ antychrześcijańskiej żydowskiej doktryny messyanicznej (nawet postępowo desynfekowanej, modernistycznie wyperfumowanej) jest uroczyście zapewniony. Dokonał się „tajny, kabalistyczny spisek“ polskich „aryjczyków“ z polskimi i niepolskimi „semitami“ przeciwko „fałszywemu prorokowi“ — Chrystusowi (wyrok jerozolimskiego Synedryonu pozyskał w w. XX „naukowe“ znaczenie). Ironicznie trawestując fatalnie lekkomyślny paradoks Katerli („Róża“): „na szczycie kultury polskiej stoi szpicel“ — pozwalam sobie powiedzieć: „na szczyt kulury polskiej usiłuje wdrapać się... Rabin (niecudotwórca) przy pomocy polskich malkontentów“... Pozwalam ten mój paradoks opatentować bez żadnego honoraryum.

Rabinów (zwłaszcza postępowych), usiłujących wdrapać się na szczyt kultury polskiej, w Polsce coraz więcej. Większość tych „rabbonich" opolaczyła się językiem (niektórzy nawet wyznaniem), aby wzbogacić ideę narodowo-polską kabalistycznym messyanizmem hebrajskim, dyszącym dziedzicznie synedryonową, kajfaszową manią zemsty za... „Machabeuszów XX wieku", pełniących rolę bankierów i hochstaplerów, miast roli messyaszów!... Znam pewnego młodzieńca, który mojżeszowe wyznanie zmienił na katolickie po to, aby już jako katolik miał prawo powiedzieć narodowi polskiemu, że „Chrystusa już nie powinno narodowi wystarczać" — mówiąc prosto: że Polska powinna oczekiwać nowego messyasza (naturalnie żydowskiego, bo tylko żydzi oczekują messyasza), większego od Chrystusa!... Bez wymienienia nazwiska i tytułu „pracy" tego młodzieńca, który naprawdę lepiejby zrobił, gdyby przechował swoje hebrajstwo, swoje żydowstwo, oczekujące swego zbawiciela z klątwy! Tak, zaiste.

Czyżby na polskiej myśli narodowej klątwa ciążyła, że — jako i szlachcic — bez pachciarza nie może się obejść (nawet szlachcic Wyspiański nie mógł się obejść bez pachciarza)?! Pachciarzenie myśli narodowo-polskiej — jako fakt stwierdzony — budzi poważne obawy — już choćby ze względu na to, że nawet eks-zakonnicy polscy zarażają się „messyanizmem" Annasza i Kajfasza, policzkującego Chrystusa. „Rabini" w szacie polskości stopniowo,

systematycznie przemieniają duszę polską w kramik, karczmę — w tandetne przedsiębiorstwo, gdzie za bezcen już dziś można kupić antyczny ideowy łachman...

Quousque tandem? Głos przestrogi Weiningera, genialnego znawcy duszy żydowskiej, musi w Polsce wywołać oddźwięk w kierunku samoobrony przeciwko wszelkiemu pachciarstwu!

* * *

Chyba nigdy dusza narodu polskiego nie była w tak groźnem niebezpieczeństwie, jak w chwili obecnej. Pozbawiono naród polski niepodległości politycznej, teraz oto usiłuje się pozbawić naród niepodległości kulturalnej — usiłuje się uczynić go „nowym żydem tułaczem“, żebrzącym jałmużny „messyanicznej“ nawet u żydów! Naród chcą oderwać od sumienia historyi, zaś duszę jego uczynić nałożnicą lada doktryny, cynicznie „zabierającej się do samej rzeczy!“... Nie mówię słów na wiatr! Bezgraniczna rozpacz ogarnia mnie, Litwina, na samą już myśl o Polsce współczesnej, która ma niezaprzeczone przez historyę powołanie na Wschodzie zbarbaryzowanym — jako straż ochronna, — od której moralnego odrodzenia zależnym jest przedewszystkiem los Litwy, wydanej na łup chuligaństwa rosyjskiego, — o Polsce, która dziś oto bezsilnie, gdyby ptak, boryka się w sidłach, zastawionych

przez jej własnych synów — tak, przez jej własnych opętanych synów!... Nie jestem sentymentalnym dewotem, abym chciał kusić Chrystusa do cudu, jeno z głębi ogniem bojowania płonącego serca wołam: „Więzy rwać, póki są jeszcze słabe, póki się nie zacieśniły! Więzy rwać i iść naprzód za głosem sumienia historyi!“...

Ten cały szkic piszę krwią milczenia długoletniego, męczeństwem odkupionej wiary, miłości i nadziei. Nie chcę być nauczycielem, ani wodzem narodu — nie! Spełniam tylko obowiązek sumienia — spłacam dług Polsce ja, Litwin, wychowany na jej kulturze, na której szczycie stoi Mickiewicz, której świeci słońce Idei Chrystusowej.

„Nie nauczam, jeno rozbudzam“...

Rozbudzam, aby zrozumiano, że Idea Chrystusowa nie jest latarnią miejską, którą się gasi w północ — w „godzinie duchów ciemnych“, opętujących przerażoną jaśń człowieczą...

Rozbudzam w duszy wielką burzę, która błyskawicami czyści stęchłą atmosferę, zaś piorunami tępi podłe, nikczemne dusze...

Sobie zostawiam spokój sumienia, wobec którego bezsilnem jest zdekadenciałe, znihilizowane prawo „liberum veto“ naszych malkontentów.

KONSTYTUCYA DLA... PODŁOŚCI.

W Rosyi wolnym jest tylko człowiek podły.

Najjaśniejszy wszechwładca Rosyi raczył najmiłościwiej udzielić swobody konstytucyjnej (większej, niżli w Zach. Europie — naturalnie)... duchowi podłości i nikczemności, który był przez długie lata w „carskiej niewoli moralnego prawa“ — w niewoli Idei chrześciańskiej!... Uczynił tak prawdopodobnie nie z własnego przekonania (wszak jest „pomazańcem bożym“), jeno tylko z musu (ulegając hypnozie „idei opriczników“ — woli czarnej setni). Musiał, zdaje się, odwołać się do żywych w duszy narodu rosyjskiego tradycyj Iwana Groźnego, którego autorytet o tyle był skuteczny, o ile był opętańczo groźny!...

Najjaśniejszy wszechwładca Rosyi najmiłościwiej raczył nadać temu duchowi podłości specyalne przywileje prawno-polityczno-moralne (zwłaszcza przywilej „inożerstwa“), a zarazem wyrazić życzenie, aby nie tylko anticarską, lecz i szczerze chrześcijańską literaturę hojnie polano gnojówką seksualną... Fenomenalnym manifestem zarządzono konfiskatę wszystkich kulturalnych zdobyczy wieków XIX i początku XX, zaś nakazano forsowny powrót do epoki Iwana Groźnego (Maluta Skura-

tow — najlepszy kanclerz). Wolnym może być tylko człowiek nikczemny aż do szpiku kości (nieobawiający się nawet „rewizyi senatorskiej“); dla ludzi uczciwych, którzy chcą być „inaczej“ wolnymi, zaprowadzono „stan wyjątkowy“ (wzorowany na Tamerlanizmie) oraz skuteczną opiekę „opriczyny“, mającej na celu *wytorturowanie* z ducha uczciwości ducha podłości! Człowiek — według rosyjskiej ustawy konstytucyjnej — tyle wart, ile jest warta jego nikczemność. Innej wartości człowieka ta konstytucya „na razie“ nie przewiduje.

„Szeroka natura“ rosyjska ma wspaniałe usprawiedliwienie swej racyi istnienia w tej właśnie konstytucyi, której „prawo“ o tyle jest zbawienne, że lada „chałuj“ może dziś *bezkarnie* „szeroko sobie pohulać“. W ciemnej masie narodu rosyjskiego (nie licząc 1⅓% wyniszczonej, zdeprawowanej inteligencyi na 134 miliony mieszkańców) nie podobna wykrzesać innego *pojęcia wolności*, jak to, które się streszcza w tych dwuch słowach: „*szeroko pohulać*“ (jak rosyanie „szeroko hulają“, o tem wie już świat cały). Tą prawdę nawet Herzen ostatecznie zrozumiał, zaś wodzowie „rewolucyi“ (r. 1905.) wypróbowali ją na swem sumieniu!... Kamaryla najjaśniejszego wszechwładcy lepiej poznała duszę „wiernopoddańczego“ narodu, niżli wyznawcy „zemli i woli“, „narodników“ i „eserów“: opracowała właśnie taką konstytucyę, która daje ujście *instynktom* „*szerokiego hulania*“, zaś bezwzględnie tępi *wolę szerokiego myśle-*

nia i czucia... Rozdmuchiwać najpodlejsze instynkty duszy człowieczej — oto kamień węgielny tej konstytucyi. Jeżeli się nie da rozdmuchać, to się da wytorturować w „ochranach“ przez „opriczników carskich“... Brak poszanowania dla prawa (którego w Rosyi nigdy nie było) w szerokich masach narodu rosyjskiego uprawnia „opriczynę“ do prawnego bezprawia (tautologia w stylu iście rosyjskim). Samowładne bezprawie caryzmu jest apoteozą wewnętrznego bezprawia duszy narodowo-rosyjskiej — jest gloryfikacyą „mistycznej anarchii“ (Leontjew). Mówić w Rosyi o prawie znaczy być skończonym idyotą (dla nielicznych oczywiście mądrym). Człowieka, mówiącego w Rosyi o prawie, nie tylko „opriczniki“, lecz i szerokie masy ludu (mające „poczucie sprawiedliwości“ tylko w Dniu Zmartwychwstania Chrystusa) zjedzą z apetytem. „Szeroka natura“ nienawidzi żadnego prawa! Kocha aż do szaleństwa „szeroko pojęte“ bezprawie — aż do „inożerstwa i bogożerstwa“... Oczywiście nie mówię o wyjątkach, istniejących „na indeksie życia“, nie mających dziś żadnego innego znaczenia, oprócz tego, jakie im przymusowo nadano: „jurodiwych“ („święcie zidyociałych“). Tołstoj, Mereżkowskij, Berdiajew, Trubeckoj i in. — to „jurodiwyje matuszki Rossii“. Toleruje się ich z nadmiaru „mistycznej obawy“ kary...

Konstytucya rosyjska — jako gloryfikacya „szerokiego hulania“ — jest najfenomenalniejszą z fenomenalnych konstytucyj świata (mieli racyę

„es-ery“, że Rosya napewno „zadziwi Europę“ swoją konstytucyą). „Prawodawczość“ tej konstytucyi konsekwentnie dąży do rozorgiazmowania tych instynktów, które zahartował Iwan Grożny, zaś zmodernizował Piotr Wielki.

Oto w myśl specyalnego ukazu carskiego zakonserwowano w słojach i odesłano do cesarskiego „muzeum osobliwych wybryków rosyjskiej natury“ w Moskwie (Kreml) następujące „embryony prawdy, wolności i prawa“, wyhodowane pod wpływem „zgniłej Europy“ i przedwcześnie w Rosyi poronione: pod Nr 113. (w katalogu) figuruje Tołstoj jako *baccilus protestanticus*, pod Nr 932. Wł. Sołowjew tako *baccillus catolico-papicus*, pod Nr 17. D. Mereżkowskij jako *baccilus neobysantinicus-messianicus*, pod Nr 352. Herzen jako *baccilus antinicolaicus*, pod Nr 93. Berdiajew jako *baccilus hereticus*, pod Nr 782. Trubeckoj — jako *furor renovaticus*, pod Nr 11. Rodiczew jako *furor antipuriszkevianicus* i t. d., i t. d. bez końca. Nadto ufundowano specyalną „katedrę embryologii“ przy temże muzeum w tym celu, aby niebezpieczeństwo tych „embryonalnych wybryków szerokiej natury rosyjskiej“ naukowo uzasadnić i narodowi rosyjskiemu wpoić. Mówią nawet o wynalazku „surowicy antyembryonalnej“ dla szczepienia ochronnego dzieci od tej „strasznej zarazy“ (prawdy i prawa).

Nadzwyczajnym nakazem carskim zaprowadzono powszechny obowiązek nauczania sztuki łajdactwa (w stylu mongolsko-bizantyńskim — wzory:

Leontjew, Katkow, Iłowajski i Puriszkiewicz) w tym celu, aby Polak się nauczył gardzić Polską jako „wieczną intrygą szlachty i jezuitów“, aby Litwin i Ukrainiec nauczyli się obwiniać Polaka za to, że rząd rosyjski gniecie i upadla ich ojczyzny (fenomenalnie!), aby wszystkie narodowości, tworzące państwo rosyjskie, posiadły „tajemnicę“ bestyalskiego nacyonalizmu, nakazującego nawzajem się tępić i pożerać, zaś zapomnieć o rządzie, i t. p. W tym kierunku reformuje się już państwowe szkolnictwo rosyjskie oraz wyższe zakłady naukowe. Mówią nawet, że tekę ministra oświaty otrzyma Puriszkiewicz.

Nadnadzwyczajnym reskryptem carskim zniesiono przywilej godności osobistej, przysługujący nawet ministeryum sprawiedliwości, zaś zaprowadzono powszechny obowiązek 3-letniej służby w „ochranie“ w tym celu, aby stworzyć „rosyjską opriczynę“, która potrafi się załatwić nie tylko z Japonią, lecz i z „Europą zgniłą“...

Ponadnadzwyczajnym ukazem wdrożono dochodzenie karne przeciwko „marzeniu o konstytucyi polskiej“ oraz definitywnie skasowano konstytucyę finlandzką — jako „straszną pokusę do uczciwej i kulturalnej pracy“... Nadto zagrożono wszystkim narodom, które nie zechcą nawet nikczemnie marzyć, starciem z oblicza ziemi rosyjskiej (strategią „szerokiego hulania“).

Ukazy carskie sypią się, jak bilety wizytowe z rękawa magika. Już przebąkują coś o specyalnym

reskrypcie carskim na imię Puriszkiewicza, który ma podobno otrzymać taką misyę: na czele „czarnej seciny“ zdobyć i zburzyć doszczętnie Rzym — jako „źródło cholery europejskiej“...

Konstytucya rosyjska jest tak fenomenalnie humorystyczna, iż niepodobna nie pisać o niej satyry — niepodobna!...

* * *

To, co się dzieje w „matuszce“ Rosyi, ma wszystkie znamiona średniowiecznego, w stylu iście rosyjskim, opętania. Rosya przeżywa dopiero wieki średnie Europy! Więc nie dziw, że tak zawzięcie manifestuje wobec Europy tę swoją różnicę stopnia kultury (pod każdym względem) — jako domniemaną wyższość. Nie tyle forma kultury rosyjskiej, ile nizki stopień kultury czysto ludzkiej nakazuje „istinnym“ reprezentantom Rosyi zwalczać „zgniły Zachód“, manifestować tylko swoją kulturalną bezsilność... Prawie tysiącletnia niewola duszy rosyjskiej dokonała tego, że ciemne masy ludu i mieszczaństwa rosyjskiego nie mogą już sobie wyobrazić idei narodowej (nawet sfery oświecone identyfikują ideę narodową tylko z ideą państwową, odpowiednio do wymagań czasu zdemokratyzowaną), nie mogą zrozumieć prawa indywidualnego rozwoju człowieka. (Osławiony „uniwersalizm“ inteligencyi rosyjskiej, tak chwalony przez Mereżkowskiego, jest tylko nadzwyczajną

zdolnością naśladownictwa, iście dziennikarsko-feljetonową „formą inteligencyi“, pozbawioną nadewszystko świadomości twórczej; inteligent rosyjski jest niezrównanie silny w odtwórczem reagowaniu na wpływy zachodnie — w chciwem przeżywaniu tego olbrzymiego materyału kultury zachodniej, któremu nie umie nadać narodowo-rosyjskiej formy kulturalnej; jest przeważnie umysłem dziennikarskim — gadatliwym w nieskończoność — nieopanowanym, rozwiązłym, bezstylowym, drobiazgowym, analitycznym; brak mu przedewszystkiem indywidualnej formy twórczej, co zresztą niedwuznacznie i Mereżkowskij stwierdza; indywidualizmu inteligencyi rosyjskiej bez anarchizmu niepodobna wyobrazić; Turgienewy stanowią fenomenalne wyjątki nawet w środowisku najoświeceńszych umysłów: o kwiecie inteligencyi rosyjskiej, który zlatynizował się w atmosferze kultury romańskiej, musiałbym pisać specyalny rozdział).

W przeciętnym Rosyaninie nie może dojść do świadomości indywidualizm człowieka kultury (chrześciańskiej). Dusza jego jest jeszcze w stanie stepowości („bosiaczestwa“); myśl społeczna nie sięga poza obręb stadowości koniecznej (instynktowej); stosunek do świata jest przeważnie negacyjny, wynikający ze strachu. Dusza rosyjska — to osobliwego rodzaju bierność, która albo z musu-rozkazu, albo pod wpływem alkoholu się rusza — „hula“ — i to przeważnie

w kierunku negacyi. W Rosyi współczesnej nie da się pomyśleć organizacya indywidualności, świadomych celu i pracy twórczej. Da się pomyśleć tylko organizacya stadowa ludzi biernych, opanowanych albo manią zemsty i niszczenia, albo utopią ściśle abstrakcyjną, niedającą się nigdzie na ziemi urzeczywistnić. W organizacyach rosyjskich zawsze święci tryumf demagogia, doktryna; o idei twórczej (w zachodniem tego słowa znaczeniu) i mowy być nie może. Tą prawdę stwierdziła sławna rewolucya rosyjska, która — walcząc z caryzmem o autorytet władzy — popełniła te same błędy, jakie ciążą na samowładztwie od lat 500! Destrukcyjnej woli caryzmu zdołała przeciwstawić tylko destrukcyjną wolę niedającej się ani narodowo, ani politycznie zorganizować się masy: nie zdobyła się na żadną ideę pozytywną, oprócz tanich, naśladujących zwłaszcza zach.-europ. rewolucye XIX w., haseł i utopij...

Oto dlaczego znękana dusza Rosyi współczesnej szuka ukojenia w „orgiazmach“ serca i rozumu — szczególnie w „orgiazmach płci“, których doskonałym wyrazem jest współczesna literatura rosyjska, będąca zupełnym zaprzeczeniem literatury (Mereżkowskij, rozważając ten smutny objaw, dochodzi nawet do wielce pessymistycznego wniosku, twierdząc, że „literatury rosyjskiej nigdy nie było“).

Literatura rosyjska w chwili obecnej (z wyjątkiem nielicznych „jurodiwych“ autorów) zaprawdę jest „wyperfumowanem miejscem ustępowem“

(w myśl osławionej zasady: „mnie wsio rawno - w nużnikie ili w cwietnikie“ — „mnie wszystko jedno, czy ja w miejscu ustępowem, czy w ogródku“). Tak ordynarnie „artystycznej“, dziegciem śmierdzącej, pornografii chyba żadna literatura świata nie zna. Można się pocieszać, że to objaw przejściowy, lecz niepodobna ignorować źródła zarazy opętańczej. „Orgiazmowe“ czynniki „szerokiego hulania“ biorą górę nad zdrowym rozsądkiem, doprowadzając młodzież do stanu obłędu i manii samobójczej, która w państwie rosyjskiem jest już taką epidemią, jak cholera. Patologiczne majaczenia Andrejewa, homoseksualne ekstazy Sołłohuba, nadsamcze „proroctwa“ Arcybaszewa, „orgiazmy płciowe“ pani Hippius, „czarne magizmy“ W. Iwanowa, mazochiczne i saddystyczne „nosacizny“ mniej uznanych poetów i poetek, sodomizmy byłych rewolucyjnych pisarzy, „azefszczyna“ (jako temat) partyjnych autorów i t. d. — oto współczesna literatura rosyjska, której koroną jest „literatura“ szkoły MEńszikowa et cons. Reakcyjność tej literatury przewyższa nawet reakcyjność rządu...

Dziś już wszystko w Rosyi rozważa się pornograficznie. Nawet zagadnienie idei! Czy „matuszka“ Rosya jest „świnią“, czy też... pegazem? Oto jak była niedawno postawiona „kwestya messyanizmu“ literatury rosyjskiej! Na ten „temat“ nawet Mereżkowskij debatował — nawet Mereżkowskij!...

Nie mam zamiaru przeczyć temu, że w Rosyi są dostojnością promienne duchy. Atoli po raz

wtóry stwierdzam, że te duchy figurują w katalogu „muzeum osobliwych wybryków ros. natury“ jako „bakcylusy“. Wspomnę tylko o Wł. Sołowjewie, którego nawet ta osławiona inteligentna Rosya uznała za „bakcylusa“. O uczniach Wł. Sołowjewa wzdragam się nawet wspominać: są przedmiotem drwin nawet w postępowych redakcyach! W Rosyi współczesnej posiada mir tylko wielki łotr bez względu na to, czy jest „czarnosecinny“, czy „postępowy“, czy „eserowy“...

Oto dlaczego najmiłościwiej udzielona „konstytucya dla podłości“ najmiłościwiej przyjmuje się w narodzie. Trzeba „szeroko pohulać“, nie zaś ideowo „pościć!“ Tać tylko „prawda“ obowiązuje.

Nie człowieka z władzy bydlęcia, jeno bydlę z władzy człowieka wyzwalać — oto „konstytucyjna“ metamorfoza „rewolucyi“ rosyjskiej.

*
* *

Fatalnem nieszczęściem Polski i Litwy jest to, że z „matuszką Rosyą-świnią“ muszą żyć pod jednym państwowym dachem. Zaraza „konstytucyjnie świńskiej“ nikczemności rosyjskiej jest tak potężna, że gwałtem się wdziera nawet do zahartowanego organizmu. Ma wiele wspólnego z cholerą azyatycką. Słabsze organizmy w Polsce i na Litwie ulegają tej zarazie już na ławie szkolnej (już jest dużo malkontentów — polaków i litwinów, wymyślających

Polsce w stylu Iłowajskiego). Silne organizmy wciąż wymiotują tą zarazę!...

Wiedząc, jak wiele zdrowia kosztowało mnie zwymiotowanie tej obrzydliwej zarazy, nie łudzę się ani na chwilę, że walka z tą zarazą jest tak łatwą, jak twierdzą niektórzy polscy historycy literatury (mówiąc o wpływach literatury ros. na polską). Zaraza rosyjska nie tyle na umysł, ile na żółć, na wątrobę, na żołądek działa. Jest bakcylem organicznego rozkładu: serce i mózg gniją! Jest epidemią rozkładu!...

Walka z tą epidemią rosyjską musi być obowiązkiem człowieka kultury. Dla jej skutecznego zwalczenia trzeba odnowić szczepienie romańskiej kultury — szczepienie wypróbowanych już w wiekach średnich i w epoce odrodzenia „leków“. „Alchemią“ romańskiej kultury trzeba tępić „alchemię chamstwa“ rosyjskiego. Jest to jedyne skuteczne lekarstwo. Żadna bowiem z kultur niema takiej siły „mistycznego uroku“, jak właśnie kultura romańska.

Najjaśniejszy wszechwładca Rosyi, najmiłościwiej udzielając wszystkim poddanym narodom powyżej objaśnionej „konstytucyi“, nakazał im rozwijać się tylko w atmosferze nikczemności, uszlachetniać się teoryą „wszechżerstwa“.

Bądźcie podłymi i nikczemnymi, a będziecie wolni! Gryźcie się między sobą, tylko mnie oszczędzajcie — zostawcie w spokoju! Upajajcie się pornografią, tylko o moralności nie myślcie, ani marzcie!...

Oto „bajeczny“ komentarz, który każdy poddany naród winien w swej duszy „dośpiewać“.

...Rosya — to bizantynizm „epilogicznie“ się rozkładający.

Bizancyum przekazało Rosyi (w spadku) te wszystkie swoje nieodkupione winy i zbrodnie, które tylko do skandalicznie haniebnego upadku prowadzą: swoją kulturalną i polityczną hańbę wobec Mahometa Zdobywcy!

Rosya jest definitywnym upadkiem — ostateczną likwidacyą politycznej i kulturalnej „legendy Bizancyum“ — legendy „Cara — pomazańca bożego“, ongi strzeżonej przez zdrajców-mnichów, dziś zaś przez żandarmów... W sferze tej rozkładającej się „legendy“ niema odrodzenia; jest tylko jedna jedyna alternatywa: ta, którą z nieubłaganą konsekwencyą wskazał Wł. Sołowjew!...

Tragedyą Rosyi jest hańba Bizancyum, którą można odkupić tylko wyższą, niżli bizantynizm, formą kulturalną i polityczną! Rosya, nogami i rękami broniąca się przed tem widmem „wyższej formy“, skazaną jest — jako państwo i cywilizacya — na pewną śmierć! Powtarzam: odrodzenie religijne i polityczne Rosyi w sferze „legendy Cara-Boga“ (kultura prawosławna bez autorytetu Cara nie istniała, nie istnieje i istnieć nie może, jak to udowodnił już jeden z „prawowiedów“ rosyjskich) jest niemożliwą niemożliwością! Rewolucya, odrzuciwszy cara, musi

odrzucić i prawosławie. Konsekwencya? Rewolucyjna Rosya „naga na nagiej ziemi ruskiej“ (Andrejew).

Mam przeczucie, że się spełni smutne proroctwo Wł. Sołowjewa. Co do Rosyi nie mam już żadnych złudzeń.

Niech Mereżkowskij i jego wyznawcy czekają na „ostatnie słowo“ Rosyi, zadziwić mające świat cały.

Mojem atoli zdaniem, sumienie ujarzmionej Rosyi wypowiedziało się w genialnych dziełach Wł. Sołowjewa, zaś myśl polityczna oficyalnej Rosyi w konstytucyi dla podłości!

Więcej Rosya już nic nie jest w stanie powiedzieć (chyba plagiaty „zgniłej Europy“).

Albowiem jest tylko przyspieszonym rozkładem słowa!

Jej odrodzenie jest fikcyą, dla której obrony nie warto poświęcać ani energii, ani czasu...

Może Niemcy potrafią ją „wymusztrować“. Może...

DZIERŻAWCY DUCHA.
(P. WILHELM FELDMAN I JEGO SZKOŁA)

„Gdyby tym, co gadają o twórczości, kazano śpiewać tak, aby kamienie się składały w mury miasta, to każdy z nich palec by w atramencie umoczył i... wąsy sobie zrobił“...

(C. K. Norwid).

„Kto nie umie budować, ten woli dzierżawić; jest przynajmniej... dziedzicem“...

„Prawda nie lubi wrzawy“ (E. Hello).

Są literaci zaprawdę osobliwego rodzaju nietylko w Polsce, lecz i na całym świecie. Zawierają cichy kontrakt z nieograniczoną poręką z pewnym wyśmienicie rentującym (oczywiście tylko w danej chwili) „duchem czasu“ na pewien „okres“ (na które się dzieli literatura) i, eksploatując tego „ducha“ wszelkie możliwe i niemożliwe możliwości („duchowi“ można przecież przypisać wszelkie właściwości) robią „nadzwyczajne“ literackie interesy (odpowiednio zatytułowane w katalogach). Jeżeli „duch czasu“ starzeje się powoli, kontrakt się odnawia wciąż (przy rocznym bilansie); w razie zaś choćby błahej niedyspozycyi (sygnalizowanej na giełdzie) tego „ducha“ kontrakt natychmiast się zrywa... Jeżeli jakiś „okres“ ma dwa, trzy „duchy czasu“, to się zawiera ze wszystkimi kontrakt — bez względu na ich przeciwieństwa, które się godzą rachunkiem „Ma“ i „Win“... Osobliwy popyt mają synowie „ducha czasu“ (zrodzeni „w czepku“ bez względu na prawość lub nieprawość łoża), mianowicie: t. zw. „nowe cudowne talenty“ („cudowne dzieci“). Kontrakt z nimi zawiera się natychmiast „bez zastrzeżeń“ (miło wprowadzać „nową gwiazdę“

do salonu pani Literatury) w imię kupieckiej zasady: „Ręka rękę myje. Reklamujmy się nawzajem. Kochajmy się jako bracia, liczmy się jako żydzi. Ty chwal moją firmę, ja zaś chwalić będę twój towar, będący u mnie na składzie. Chwalmy nawzajem nasze chwalenie się. Zrobimy dobry interes — zabudujemy „dziedzinę duszy“ czynszowymi domami!“...

Naturalnie robią się bajeczne interesy, bo naród lubi być ideowo i artystycznie oszukiwanym (nie lubi prozaicznego oszustwa), a nawet chętnie wydzierżawia „niezabudowane place“ swej duszy tak pożytecznemu przedsiębiorstwu, budującemu... łazienki „poetyczne i literackie“...

Właśnie tego rodzaju dzierżawcą i poddzierżawcą*) jest p. Wilhelm Feldman wraz z całą swoją szkołą, która się zowie „krytyką mądrego rozumu“ (dowolna trawestacya kantowskiej „krytyki czystego rozumu“).

Iluż to „duchów czasu“ p. Feldman dzierżawił w ciągu swej jubileuszu oczekującej działalności literackiej! Ileż to „pustych placów“ duszy zabudował „chajderami“ pod wezwaniem „krytyki rozumu!“

Niestety! Ze wszystkimi „duchami czasu“ musiał zerwać kontrakty (giełda wciąż była rozdrażniona na niepogodę), zaś wszystkie „chajdery“ musiał

---

*) Dzierżawcy „ducha czasu“ trudnią się także wydzierżawianiem dzierżawy — podnajemstwem.

zdemolować (były zbudowane na „fortyfikacyjnych placach“).

W temci jego jedyny tragizm życia.

Na dzierżawie socyalizmu zarobił, lecz i stracił. Na dzierżawie rewolucyi zbankrutował (z tego powodu miał ostre starcie z „duchem“ socyalizmu). Na dzierżawie „Młodej Polski“ wyszedł najlepiej, lecz już na dzierżawie Wyspiańskiego ośmieszył się, zdradził się, zachwiał się. Za to powetował sobie na dzierżawie „monopolu postępówki“, rehabilitując swoją firmę. Na dzierżawie mistyki omal nie został zlicytowany (cofnął się w porę); uratowała go dzierżawa Tadeusza Micińskiego. W ostatniej chwili wydzierżawił „wolną duszę“, lecz, zdaje się, interesy źle idą, bo się strasznie zaczyna irytować. Podobno, ulegając zdrowej opinii „szewca idei“ (proletaryusza wniebowziętego), skłonny jest wydzierżawić suterenv „ducha czasu“ w tym celu, aby założyć „ideową caffé“ (karczmę) dla spajania zbyt religijnych (zwłaszcza zbyt katolickich) umysłów. „Po pijanemu psiekrwie — są słowa tego „szewca“ — będą przynajmniej wymyślali Chrystusowi, a tak to nie są warci nawet mojego kopyta!“ W ostatniej chwili p. Feldman jest tak wojowniczo poirytowany, że wymyślanie Chrystusowi uważa za „nowe objawienie lechickiej religii“ -- za „najwyższą religijność“ przed i po Mickiewiczu, Towiańskim, Norwidzie, Cieszkowskim (vide „Krytyka“ za r. 1910). Gdzie jest przyczyna tego rozdrażnienia, przeradzającego się w niepoczytalność „krytyczną?“

Zdaje się, w obawie o całość interesu!... Dzierżawa dziś już się nie opłaca. Trzeba mieć swój „własny kąt“ w sercu Literatury! A wszak to trudna rada. Z sercem niema żartów. Serce nie „rozum krytyczny“...

* * *

Są ludzie i literaci, których poważnie brać nie można. Można być ateistą, mistykiem, anarchistą i t. d., a jednak nie być śmiesznym. Śmieszność p. Feldmana w jego ciągłem „wąchaniu“ i kokietowaniu „duchów czasu“, w jego ciągłej postępowo-lawirującej „bigoteryi“, w jego zakrystyańskiej ciągle nowo odkrywanych synagog i świątyń, w jego zupełnej niezdolności umiłowania na seryo choćby jednej „duszyczki czasu“, w jego ciągłych „przygodach romansowych“ w różnych dziedzinach myśli... We wszystkich „duchach czasu“ pozostawił „znaki interesu“, lecz nigdzie nie zostawił stygmatu myśli (Norwid). Nie wszedł do żadnego z tych „duchów“; oglądał ich „z wierzchu“, oceniał metodą kupiecką. Na podstawie kilku frazesów, które wygłaszał skonfundowany „duch czasu“, urabiał o nim literacką opinię. Więc nie dziw, że się zawsze mylił, choć nigdy pomyłki nie odwoływał. Zawsze miał i ma gotowy początek „nowego rozdziału literatury“ bez względu na koniec „poprzedniego rozdziału“. U Feldmana „końce“ same się wiążą. Koniec nie myśli o początku i odwrotnie. Arcywy-

godna praca! Kończy się „norwidowo“, zaczyna się wolnomyślnie. I odwrotnie. „Każda rzecz ma swój koniec“. Genialnie prosta filozofia!

Cała dotychczasowa „krytyczna“ działalność p. Feldmana z końcami i początkami, szumnie zatytułowanymi — to arcysprytne lawirowanie między „ziemskiem niebem i niebieską ziemią“ (oj, ten Mereżkowskij). Jego „Literatura polska“ niezawodnie ma wielką „baedeckerową“ wartość: jest przewodnikiem w muzeum literatury polskiej, pięknie skatalogowanym; informuje tendencyjnie, ale informuje; nauczyć się można... literatury! Atoli jego późniejsze (po „Literaturze“) i współczesne „studya krytyczne“ postępowo kapcanieją, przeradzając się w jakowąś „bałaganowość“ (wychwalanie „nowych talentów“ kosztem sławy nawet Buddy, Platona, Sokratesa — kosztem sławy zdrowego rozsądku). Jego „dzierżawna mość“ jakoś się skurczyła, najeżyła, nasrożyła... Chwilami jest zaprawdę „straszny“: palnie coś, że aż uszy zatykaj! A palnąć umie, kiedy chce pokazać, że jeszcze jest „silny“ — ojoj, jeszcze jak! Ongi palnął tak silnie, że aż „Naprzód“ nie wytrzymał i coś niecoś bąknął o „ośle, kopiącym lwa skrępowanego“. Potrafił być „rewolucyjnym“, likwidując „interes rewolucyi“. Dziś już potrafi być „rewolucyjnym“, zakładając interes „wolnomyślnie antychrześciański“. Już mniej się boi palnąć, czując za sobą siłę wolnego wymyślania! Odważny jest aż do... „szaleństwa“ (cóż Byron na to?). Budda, Sokrates, Platon — to

„wielkie nic“ w porównaniu z „duszami czasu“, które on odgrzebuje i wydzierżawia, na które nakłada ceny, nie obawiające się żadnej konkurencyi! Interes pójdzie dobrze, giełda albowiem sygnalizuje „pogodę“ (w Hiszpanii wielkie „hurra“).

Wystarczy przeczytać 4 roczniki „Krytyki“, aby uświadomić sobie „historyę dzierżawy literackiej“ — to cudownie lekkie lawirowanie między niebem a ziemią. Dziwię się, że p. Feldman nie wynalazł jeszcze... aeroplanu w tym celu, aby przezeń wydzierżawione „dusze czasu“ jeździły po natchnienie, miast do Zakopanego, na księżyc (przydałaby się krytyka „Zwycięzcy“ J. Żuławskiego). P. Feldman zaprawdę awiacyjnie umiał i umie się „przejmować“ wszystkiem, co ma w danej chwili specyficzny „smaczek“ literacki. Wyłapywał i wyłapuje w atmosferze „duchów czasu“ same tylko przysmaczki. Oto dlaczego jest zawsze „młody“, zawsze „świeży“, zawsze „modny“... Lewą ręką umie zawsze głaskać socyalizm (spolszczony odłam), zaś prawą potrafi wolnowypisywać na różne zakontraktowane z „duchem czasu“ tematy. W tej robocie jest „genialnie“ niezrównany, niemający chyba sobie równego w całej Polsce. Umie nawet równocześnie „przejmować“ się Norwidem i... Marksem, Słowackim i... „wolną myślą“... Umysł niezrównanie wszechstronny, wtajemniczony w „alchemię“ mieszania wina kapłańskiego i... zwykłego alkoholu tak, że ta mieszanina nikomu nie szkodzi, owszem nawet sił dodaje „brzuchomówstwu ideowemu“.

Zadziwiający umysł, dalipan! Według swego „bilansu rachunkowego“ ocenia wartość literatury polskiej. Tych, z którymi miał „Ma“, chwali, tych zaś, którzy mu „Win“, karci bardzo stylowo, dyalektycznie. O swoich osobistych „Ma“ i „Win“ dyskretnie milczy, choć już nieraz przez „anti-ducha czasu“ do tego był zmuszony. Przysłużył się literaturze polskiej powieściami i dramatami z życia żydowskiego. Atoli zraził do siebie tą literaturę walką z „trzema muszkieterami“, która się skończyła... „szabasem“. Wstępnymi artykułami w „Krytyce“ od kilku lat święci już taki „szabas“, że istotnie zachodzi już potrzeba... n i e d z i e l i (w Norwidowem tego słowa znaczeniu). Niestety! p. Feldman wszczął z niedzielą walkę, która budzi poważne obawy o jego los „krytyczny“... Lecz to do mojej krytyki nie należy: dla p. Feldmana chcę być nie k r y t y c z n i e (w znaczeniu katastrofy), lecz ironicznie usposobionym. Albowiem jestem zbyt chudy, abym chciał się narażać na katastrofowo-krytyczne razy p. Feldmana...

*
* *

P. Feldman — jako Redaktor — jest tak samo „dzierżawny“, jak i krytyk (oczywiście mutatis mutandis). Umie redagować w jednym zeszycie „orgiazmy płciowo-religijne“ p. M. A. Walewskiej i „pedagogiczne cnoty“ A. Baumfelda, sławę Słowackiego i niesławę Krasińskiego (Anhellego i Pan-

kracego myśli), chrześciańską wiarę Słowackiego i antychrześciańskie wymyślanie „zakrystyanów wolności“ — słowem, nawzajem się zwalczające przeciwieństwa, które zaprawdę „dzierżawnie“ godzi (i Słowacki cały i wilk syty). Redagując zwłaszcza Wyspiańskiego naraził się na przykrość: Wyspiański z „za grobu“ zakpił z niego (tak, jak te „kpiny“ udowadnia Lack*) w swych licznych o Wysp. studyach). P. Feldman redakcyę Wysp. musiał... zredukować (Norwid) do minimum „ducha obecnego czasu“, który wyłonił z siebie, zdaje się, większe, niźli Wysp., „nowe talenty“... Zresztą p. F. wszystko redaguje tak, aby ostatecznie zredukować do poziomu swojej „dzierżawnej dzierżawy“. Jest zbyt „postępowy“, aby nie chciał uznawać „wolnej konkurencyi duchów czasu“. Na redukcyi „starego ducha czasu“ zyskuje „nowy duch“, który dla niego jest ciągłym autorytetem (tylko „nowość“ dziś popłaca). Redakcya p. Feldmana jest zredukowaniem duszy narodowej do tego poziomu, na którym się wygodnie — bez obawy — „chodzi za interesem“, choć wielki miłośnik „aryjskich“ Tatr, p. Miciński, protestuje przeciwko takiej redukcyi. Atoli p. F. nawet protesty umie zredukować z wygodą dla siebie. „I Słowacki cały i wilk syty“ — oto jego dewiza, która „całość i sytość“ zaspakaja. Z mistyki zawsze

---

*) W tym sensie, że Wysp. poszukiwał tylko aktorów do odegrania napisać się mającego dramatu.

potrafi wyprowadzić program partyi P. P. S., zaś z tegoż programu — mistykę n. p. Norwida. Jest fenomenalny w tej zdolności wyprowadzania „programów na przyszłość“. W Żeromskiego „Dziejach grzechu“ potrafi odnaleść „pierworodny, nieodkupiony grzech narodu polskiego“, zaś w „Dziejach cnoty“ n. p. św. Franciszka z Assyżu — „klerykalne wstecznictwo“. Po prostu „genialnie“ redukuje geniusz narodu do poziomu swego interesu. Wyrazem tej redukcyi umysłowości polskiej jest jego „krytyka mądrości“, mająca na „giełdzie ideowej“ zawsze normalny kurs, który idzie nagle w górę, gdy p. F. odnajdzie „nowy talent w trzewiach ducha czasu“.

P. Feldman — jako Redaktor — jest reklamatorem już wydzierżawionych kilku naraz „duchów czasu“; jako reduktor — jest demolatorem autorytetu „starych duchów czasu“, na których dzierżawie wiele stracił, wiele ucierpiał. Jest nieubłaganie wojowniczym w stosunku do tych „duchów“, których w żaden sposób nie mógł i nie może wydzierżawić, a które żyją na złość jego personie. Krasińskiemu nie może darować za... Pankracego, który jest demaskującym autorytetem dla współczesnych „wolnomyślicieli“ polskich; Chrystusowi nigdy nie przebaczy tego, że „zdradził messyanizm Kajfasza“; Mickiewicza ignoruje za to, że Boga nie ośmielił się nazwać „carem“ albo „nędznym żydowinem“, że uległ wpływowi „klechy“ Piotra i t. d., i t. d. Albowiem „interes ducha czasu“ sprzeciwia

się tym nonsensom „sumienia historyi“. Dla skaptowania Norwida chciałby napisać skargę na „pomniejszycieli olbrzymów“, lecz się boi „sumienia Norwidowego“, z którem niema już żartów: można się sparzyć i w szpitalu dogorywać! W obronie wydzierżawionej „rewolucyjności“ Słowackiego („byłaś pawiem i papugą“) mógł się pojedynkować z prof. Tretiakiem w czasie „rewolucyi rosyjsko-polskiej“, atoli w obronie „pomniejszonej mistyki“ Słowackiego niema odwagi nawet z p. Micińskim walczyć. Pomniejszenie dla p. Feldmana dość często ma wartość powiększenia. Pomniejszyć „chrystusowość“ romantyzmu dla powiększenia „wolnomyślności“ socyalizmu — znaczy dlań „ocenić prawdziwą wartość“. P. Feldman walczy właśnie z „pomniejszycielami powiększonej wolnomyślności“ romantyzmu polskiego. Spełnia tylko obowiązek interesu...

P. F. — jako polityk i działacz społeczny — jeszcze „genialniej“, niźli jako Redaktor-reduktor, umie zwalczać konkurencyjne „dzierżawy“. Wizerunki „polityków polskich“, przezeń wyrzeźbione, mogą być ustawione w kancelaryi Pani Literatury — jako ozdobne biusty. Są tak wdzięcznie — *con amore* — rzeźbione, że zaprawdę dziwić się można, że p. F. nie powołano jeszcze do komisyi parlamentarnej, mającej rozstrzygać sprawę żydowsko-polską w Galicyi i Lodomeryi (nie mówiąc już o sprawie rusko-polskiej).

P. F. — jako miłośnik sztuki — jest wyznawcą tej utylitarnej teoryi, która artyście każe być tylko

„ilustratorem duchów czasu“. Sztuka, pokłócona z „duchem czasu“, budzi w nim uzasadnione podejrzenie: odrywa uwagę społeczeństwa od tego, na co p. F. chce skierować! Teatr polski powinien być „budowaniem i burzeniem Polski współczesnej w teatrze“ (oj, ten Wyspiański), zaś malarstwo polskie powinno pełnić funkcyę dekoratora i kostyumera teatralnego. Oto ideał artystyczny p. Feldmana.

Nikt chyba tak boleśnie, jak Wyspiański, nie zakpił z p. Feldmana, który już zachorował na teatralną manię „budowania i burzenia“ Polski z wiarą w tego, którego może wyzwoli „dziewka bosa“ po to, aby z tych ruin jakąś możliwą synagogę zbudował... Szczyt „messyanizmu“ p. Feldmana.

Dopóki p. F. siedział na karkach licznych „duchów czasu“, można było ciekawie się ubawić tą „teatralną koncepcyą“. Atoli gdy p. F. usiłuje wdrapać się na szczyt kultury polskiej — jako jej dzierżawca — trzeba stanowczo zawołać: „Wara, p. Feldman! Tu niema dla pana miejsca! Pańskie miejsce w kancelaryi pani Literatury przy stoliku buchaltera!“

Wydzierżawić można tylko „nastrój“ Tatr...

Na szczytach kultury polskiej panuje... Ukrzyżowany i Wniebowzięty!

Dla ludzi, panicznie obawiających się krzyża, nawet u podnóża szczytów Polski miejsca niema!

Polska jest krzyżem! Ich miejsce w kancelaryi... Piłata albo Kajfasza. Sapienti sat.

* * *

Że rabini oczekują swego „Rabboniego“, nie dziwię się wcale. Lecz że p. Feldman wymyślając Chrystusowi od „nędznych żydowinów“ (choć sam jest żydowinem), zaś rabinowi „od nędznych katolików“, wierzy i prorokuje przyjście „nowego Rebi“, niepomiernie ironicznie się dziwię, jako i p. A. Baumfeldowi, którego towianizm już tak zżydział, że śmie twierdzić („Polska myśl messyaniczna“), iż „Polsce już nie wystarcza Chrystusa“, który nie umiał rozwiązać modnie dziś aktualnej „kwestyi orgiazmu płci“, nie umiał pogodzić Dyonizowego fauna z... aniołkiem! P. Baumfeld zbankrutował na „dzierżawie towianizmu“, więc nie dziw, że chce powetować straty w ten sposób, że sam siebie już wydzierżawia „prorokowi, którego już wystarczy“... P. A. Niemojewski, choć jest konsekwentny (nie wierzy w żadnych messyaszów i przyjścia żadnego messyasza nie prorokuje — sobie nie życzy), jest „głupim szlagonem starej daty“ (jakby powiedział pachciarz): nie zna się na interesie dzierżawy! Lecz zato pp. Feldman i Baumfeld znają się dobrze na interesie: p. Feldman wydzierżawił możliwość przyjścia „nowego messyasza“, zaś p. Baumfeld wydzierżawił siebie tej możliwości. P. Feldman drukuje afisze o „przyjeździe nowego

messyasza", p. Baumfeld te afisze rozlepia — jako „nowy Jan Chrzciciel"...

Szczyt curiosum! Dalej iść nie podobna...

P. Feldman powinien odnowić w „Krytyce" rubrykę p. t. „Los wydzierżawionych geniuszów".

* * *

Wygodną jest praca na t. zw. „rachunek przyszłości" — na rachunek „nowego życia". Taka praca już à priori usprawiedliwia lenistwo myśli, wyłącza myśl dyletancką z pod kontroli rzetelnie prawej krytyki, daje pole bezkarnym popisom mózgowej „wolnomyślności"...

I co się u nas, w Polsce, już nie pisze na ten biedny „rachunek przyszłości!?" Oto wszystko, co na Zachodzie już dawno wyrzucono na śmietnik, czem się dziś bawią w karczmie znudzeni sceptycy...

„Dzierżawcy ducha" w Polsce oszacowali bajecznie wysoką ceną wszystkie wartości karczemnej duszy. Wydzierżawili tylko alkoholicznie i haszyszowo upajające mózg „legendy czasu", deprawując młodociane umysły tak samo, jak karczmarz deprawuje chłopa. Natomiast zawzięcie zwalczają (jako „ograniczenie wolności") takie przykazania myśli, które żądają czystości duszy, panowania nad sobą, kształcenia woli i charakteru... W orgiazmie duszy odnaleźli „zbawienie".

Historyę narodową traktują tak, jak redaktor traktuje nieudolnie napisany artykuł. „Ktoś“ nieudolnie układa dzieje, a oni korygują, poprawiają, wykreślają, dopisują, uzupełniają, dopełniają według swego upodobania. Dusza narodu dla nich jest tylko początkującym literatem, żebrzącym reklamy, uznania. Oni udzielają twórczości narodowej duszy swego „imprimatur“.

Wygodna praca na „rachunek przyszłości“ — nie prawdaż? Można przynajmniej dzierżawić i żyć bez troski — orgiazmowo!

* * *

Dusza współczesnej „wolnomyślnej“ inteligencyi polskiej podobną jest do pogorzeliska, wydzielającego trujące opary i wyziewy. Neo-Herostrates podpalił (dla sławy) świątynię tej duszy w noc ciemną i burzliwą: spłonęła doszczętnie. Sterczy oto śmierdzące pogorzelisko. Gdy płonęła, polewano ją... wódką i alkoholem!...

Ironia w stylu Norwida.

Na dzierżawie tej duszy nie tylko p. Feldman, lecz i jego wyznawcy, wyjdą, jak „Zabłocki na mydle“.

MISTYCZNA MISTYFIKACYA.

(W. LUTOSŁAWSKI — T. MICIŃSKI).

„Od wielkości do śmieszności jeden tylko krok". (Napoleon).

„Z karafki napić się można, uścisnąwszy ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło".

(C. K. Norwid).

Nieszczęściem naszych neo-mistyków jest to, że — jako organizacye psychiczne — są monstrualnem połączeniem wielkości i śmieszności — jakąś przedziwną „alchemią cierpienia i naigrawania“. Nie wiadomo, gdzie się u nich kończy wielkość i gdzie się zaczyna śmieszność. Nawet linia kontrastu „mistycznie“ zatarta — „subtelnie“ wyskrobana. Na Golgocie umieją i „hymnowo“ śpiewać, i kabaretowo tańczyć! Z Kazalnicy potrafią kazać o „nowem życiu“ i opowiadać „perły humoru polskiego“. Są dziwnie podobni do „jurodiwych“, którzy w swojej ojczyźnie, Rosyi, spełniają „urząd proroków“.

Nasi neo-mistycy śpiewać zaczynają na nutę trenów Jeremiaszowych, lecz nagle — „ni stąd, ni zowąd“ — wpadają w „styl“ pierrota, dając folgę naigrawaniu się i ze swoich osobistych, i z cudzych (bliźnich) bólów i smutków!... Ich myślom i uczuciom brak zdecydowanego tonu, a zwłaszcza tła mistycznego (ton i tło decyduje o wartości nie tylko koncepcyi malarskiej, lecz także i koncepcyi literackiej, artystycznej). Zresztą ton i tło dla naszych mistyków — to rzeczy obojętne. Byle jaką (aby

pustą) płaszczyznę (tło) można przecież „zajeroglifować i wykanwować mozaikowo“. Na byle jaką nutę (ton) można przecież zaintonować hymn („Jeszcze Polska nie zginęła“ na nutę „Mein lieber Augustchen“). Z panią Wyobraźnią rozkosznie można tańczyć w „mrokach niebieskiego pałacu“ na głowach parkietowo ułożonych gwiazd (przecudowny obraz „mistyczny“ — nie prawdaż?) Sercem można gryźć nawet rzepkę z ogrodu Wenery, zwłaszcza jeżeli dusza „niewdzięcznego“ narodu jest twarda, jak kamień węgielny. Można nawet kumać się z Daimonionem (o romansach z tegoż pana żoną zamilczę), aby urządzić „noc rabinową“ Chrystusowi, który jest skąpy w obdarzaniu „synekurami proroctwa“. I jeszcze można nawet przekonywać „świat polski“, że kij polski napewno zakwitnie różą, jeżeli wszyscy nabożnie nań dmuchać będą prawą dziurką nosa... Na byle jakiem tle, na byle jaką nutę można zawsze „mistycznie zatańczyć“ i w stanie epilepsyi „prorokować“...

* * *

Chorobą, straszliwie niszczącą ducha polskiej literatury i sztuki, jest urojenie — mania, że od każdego trochę wybitniejszego literata i artysty naród oczekuje (ba, nawet żąda) objawienia. Więc nie dziw, że w Polsce się napłodziło tak wiele „proroków“ i „ministrantów“ (którzy „nietotowym“

dymem okadzają szaty prorocze), że się założyło tyle „przedsiębiorstw religijnych“ (na tle maryawickiem).

„Twórcze“ nadymanie się w Polsce jest patologicznie fenomenalnem zjawiskiem. Nie tworzyć, na co stać każdego, lecz właśnie tworzyć, na co nikogo nie stać — oto hasło tego nadymania się. Kto nie może być prorokiem, ten pragnie być przynajmniej „nalepką na proroctwo“ (na której, zdaje się, wypisuje się cenę towaru), aby tylko nie być zwykłym, przeciętnie zdrowym i śmiertelnym literatem...

W. Lutosławski, nadymając się apostolstwem, ośmieszył, zmarnował (kto wie, może największą w Polsce) wiedzę filozoficzną. Miast nauczać, prorokuje, improwizuje na dowolnie przez się postawione tezy. Wiedzę filozoficzną obniżył do poziomu przesądu i zabobonu. Nawet swoją duszę nagiął do gminnego kultu. Stanął na stanowisku pośredniem między katolicyzmem a maryawityzmem. Na żadną formę myśli religijnej nie mógł się zdobyć. Ugrzązł w mule przesądów i zabobonów (specyalnie polskich). Jako umysł — dziś jest niedozwolym kompromisem wielkości i nizkości!... Jedyna jego „zasługa“ (jako mistyka) — to ośmieszenie Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Towiańskiego, zaś uczczenie (korne) wszystkich zabobonów duszy gminnej i ciemnej!...

T. Miciński, nadymając się apostolstwem, również ośmieszył, zmarnował swój wielki talent poetyczny (liryczny). Miast być „poetą z Bożej łaski“,

zapragnął być prorokiem choćby nawet „z łaski Lucyfera“ (do którego w ostatnich czasach coraz więcej się umizga). Zaczął „Tannhäuserową“ wycieczką „do źródeł duszy polskiej“, w drodze zaawanturował się na pokładzie „Patiomkina“ ze Schmidem, stracił wiarę do „tych źródeł polskich“ (są dlań już zanadto szlacheckie, jezuickie i klerykalne) i oto dzisiaj „kończy“ taternickim sportem w „Tatrach myśli polskiej“, gdzie założył swoje „sanatoryum mistyczne“. O „źródłach duszy polskiej“ mniemał, że są tylko karafką, z której bardzo łatwo można się napić „uścisnąwszy za szyję i pochyliwszy ku ustom“; był i jest aż nadto dumnym „magiem, szydzącym z rozpaczy gwiazd“, aby chciał uklęknąć i pochylić czoło! Swemu rozgoryczeniu do „źródeł polskiej duszy“ dał wspaniale ordynarny wyraz w „Nietocie“ (wstrętna scena na Wawelu). W Tatrach odnalazł „prawdziwe źródło polskiej magii“, opatentował je i sprzedaje tą „wodę źródlaną“ zwłaszcza „kandydatom na magów“... Tą „wodę źródlaną“ nawet Chrystus przyjdzie pić... tak, przyjdzie!... Niepodobna nie pisać o nim satyry! Już zaprawdę niewiadomo, gdzie się u Micińskiego kończy poezya, a gdzie się zaczyna proza; gdzie się kończy „poetyczne niewiniątko — poczciwiątko“, a gdzie się zaczyna awanturnicza „chrzcicielska janowość“...

I Lutosławski, i Miciński chcą wymódz na swych biednych duszach „proroczość — magizm“ — kosztem nawet zdrowego rozsądku, który przecież mówi,

że trzeba się narodzić prorokiem. Oczywiście *de gustibus non disputandum est.* Atoli w tych „gustach“ jakże mało smaku artystycznego — dostojności duszy!...

* * *

Mistyczna mistyfikacya naszych neo-mistyków polega na tem, że z historyi literatury mistycznej przywłaszczają sobie tylko jej epigramatyczną, nadgrobkową, albumową, anegdotyczną, znachorską, gawędziarską, bajkową treść oraz werbalistyczną formę. Nie mają żadnego zrozumienia historycznie twórczej myśli mistycznej, nakładającej wielkie obowiązki na sumienie. Duchowi mistyki przeciwstawiają „epilepsyę mistyki“ — tak samo jak ci, którzy księżyc przeciwstawiają słońcu! Zachwycają się tylko „szatą, nastrojem i rytualizmem“ mistyki. Estetyczny formalizm mistyki doprowadzili do idyotyzmu. Gniją w tym formalizmie — jak rośliny w wodzie stojącej. Są poza treścią mistyczną, która jest „ciszą ciągłej burzy, ciągłego bojowania“...

Nasi neo-mistycy bezwiednie wzorują się na Maryawityzmie, który Kościołowi katolickiemu nie przeciwstawił żadnej „wyodrębnionej“ formy religijnej, a tylko bezkształtność, chaotyczność mistycznej zabobonności i przesądności ludu (który nie jest mistycznym, lecz mistycznie przesądnym),

umiejętnie wyzyskanej dla niejasnego celu; formę religijną Maryawityzm z czasem „pożyczy sobie“ od kościoła wschodniego (o tej formie marzą i starokatolicy). Nie rozumieją, że myśl religijna (mistyczna) bez zdecydowanej formy twórczej jest niczem (chwilowo może być „czemś“). Kościół jest zbudowany na Prawie Prawdy, a nie na przesłankach zabobonu. O tem trzeba pamiętać.

Mistyka — w istocie swojej — jest prawdziwie wolną i niepodległą formą twórczości, wyzwolonej z instynktu sfery niskiej, plugawej! Jest wolną w ciągłej komunii z Bogiem — jako źródłem wszelkiej twórczości. Jest wtajemniczeniem tylko osobistem, gardzącem popularną formą literatury.

Mistyka jest sztuką wybranych, do której świątyni plebs niema wstępu. Prawdziwi mistycy Indyj, Egiptu i Grecyi odgraniczyli się od motłochu, chciwego taniej, tandetnej wiedzy oraz taniego śmiechu, linią zaklęcia. Choć ofiarą wściekle demokratyzującego się motłochu (tak samo, jak dzisiaj) padły największe świątynie Myśli, atoli mistyka tryumfowała i tryumfuje w tej Jedynej Świątyni, której nikt, oprócz Boga, zburzyć nie może (Pankracy jest wściekle bezsilny): w Świątyni wtajemniczenia Prawdy wszechpanującej — Chrystusowej!

Jedyną cechą twórczości mistycznej jest jej monumentalna królewskość — jej moralne prawodawstwo!

Daremnie szukałbyś śladów tej „moralnej prawodawczości“ w utworach Micińskiego i Lutosławskiego. Znajdziesz tam, czytelniku, tylko „kronikarskie westchnienia“ do nazw i nazwisk, do aforyzmów i paradoksów „mistycznych“, różne „waryacye“ na tematy dawno oklepane (w literaturze zach.-europ.) oraz „rytualiczne eksperymenty“ na biednej logice człowieczej!... Wyszywanie „mistycznych dywanów i ornatów“ — „alchemiczne“ sporządzanie złotych kielichów z miedzi — znachorskie preparowanie „leków“ — eleuzyjskie „posty“ i misteryjne „uczty“ — prorocze toasty i wiwaty, skargi i pocieszenia — oto tych utworów „forma pracy i odpoczynku“ (jakby niezawodnie powiedział St. Brzozowski).

Największym mistykiem chrześciańskim jest św. Franciszek z Assyżu.

Jedynym „moralnym prawodawcą“ dla Polski był, jest i będzie Mickiewicz! Tego autorytetu, który męczeństwem zdobył na „polskiej Golgocie“, nie wydrze mu nawet dziś tak „przebóstwiony i przelicytowany“, uznany nawet za „świętego“ (przez Lutosł.) Juliusz Słowacki...

Najpiękniej uczcił ten autorytet Mickiewicza Norwid w wierszu „Cóż ty zawinił, Mickiewiczu“?...

Każdy rzetelny mistyk polski zawsze wołać będzie: „My wszyscy z niego — z Adama!“ Atoli każdy fałszywy mistyk ubliżać będzie duchowi Słowackiego, posługując się nim — jako „mistycznem“ narzędziem — przeciwko Mickiewiczowi. Tych

falsyfikatorów już za życia swego skarcił sam Słowacki, lecz ich bezczelność graniczy z niepoczytalnością. Słowacki był i jest prawodawcą estetyki polskiej — estetyki romantyzmu polskiego!...

* * *

Lutosławski uwziął się na Słowackiego, aby go ośmieszyć. Niedość, że „Genezis z ducha“ zrobił „objawieniem teoryi ewolucyjnej“ („nikomu“ w tym sensie nieznanej przedtem), chce go jeszcze zrobić „świętym polskim“ (plagiatyzuje Comte'a). Wogóle nie szczęści się „Julkowi“ nawet po śmierci. Apologia jego imienia dziś zwłaszcza dokonuje się takim kosztem, który już à priori budzi podejrzenie. Każdemu wybitnemu poecie można przypisać niebywałe i niesłychane właściwości (Wyspiańskiemu aż za wiele przypisano kosztem choćby n. p. Kasprowicza). Przypisywanie atoli nie jest rzetelną oceną pracy twórczej, nakazującą oddać każdemu to, co się mu należy. Nikt nie wywyższa (chyba głupcy) Mickiewicza kosztem Słowackiego i Krasińskiego, więc poco wywyższać Słowackiego kosztem Mickiewicza i Krasińskiego? Niech Słowacki sam — jako żywy twórca — w Polsce się wywyższa, niech rośnie w duszach — jako Autorytet moralny!... Mickiewicz sam się wywyższył w narodzie — sam swoją potęgą!...

Słowacki — jako organizacya twórcza — miał bardzo wiele wspólnego z Chopinem (dlatego też żywili ku sobie wzajemną niechęć). Mistyka Słowackiego — jako muzycznie-poetyczna „waryacya“

na tematy mistyczne, już dawno znane i artystycznie skomponowane (vide legendy szkockie, starogermańskie, bramańskie, arabskie, nauki tajemne Egiptu i Indyi i t. d.) — jest raczej improwizacyjnie odtwórczą, niźli w głębokiem znaczeniu twórczą. W mistyce Słowackiego góruje fantazya, która pod wielu względami mistykę dyskredytuje, obniżając jej wartość. Zresztą rozśpiewany, rozgadany, rozanielony sentymentalizm Słowackiego jest antytezą mistyki — jako formy twórczości, — którą cechuje groźny dla tłumu majestat powagi — monumentalność słowa! Nie ubliża to bynajmniej Słowackiemu, który przedewszystkiem był prawdziwym poetą „z łaski Bożej". Natomiast ubliża się Słowackiemu, jeżeli jego fantazyi, artystycznie i mistycznie improwizującej, nadaje się miano wieszczej! Metampsychiczna ewolucya „Króla Ducha" ma lepsze pierwowzory choćby w indyjskiej literaturze świętej — lepsze pod względem formy ujęcia i opanowania; polskość „Króla Ducha" nie jest jeszcze objawieniem (jak chcą ignoranci). Historyk literatury polskiej nie może lekceważyć historyi powszechnej: musi rozważać twórczość danego artysty na tle dziejów myśli! Zaskorupianie się w polskości jest tylko świadectwem ubóstwa intellektualnego... Mistyka Słowackiego, rozważana na tle dziejowej myśli mistycznej, wiele traci na treści, a często nawet i na formie, przeładowanej nadmiarem słów i wciąż się powtarzających porównań! Jest zanadto

opisową, jeżeli się wyrażę, pejzażową... Jest silną fragmentycznie, słabą — jako całość (wezbrane fale słów unoszą myśli tak szybko, że nie mogą się wypowiedzieć; szum tych fal zagłusza dość często głos myśli, która wciąż wraca — powtarza się)...

Kult Słowackiego, przez neo-mistyków protegowany, oprócz agitatorskiego (w „pewnym" celu) ma jeszcze i to uzasadnienie, że uprawnia do „waryacyjnej improwizacyi" na różne tematy (nawet swawolne). W imieniu autorytetnej mistyki Słowackiego daje się dyspensę fantazyi od „postu", t. j. od artystycznego panowania nad chaosem myśli i wyobraźni (Mickiewicz, Goethe, Wagner).

Lutosławski i Miciński raczyli dać swoim fantazyom zupełną dyspensę od panowania nawet nad głupstwem (choć Lutosławski swoich „elsów" obarczył zbyt uciążliwą dyspensą „fizyczną"). Więc nie dziw, że ich „waryacyjne inspiracye mistyczne" arcymistycznie tańczą (na nutę „polek, krakowiaków i góralaków"). Z pępka ziemi na pępek Wenery, z pępka Wenery na Kozi Wierch, z Koziego Wierchu na górę Ararat, z góry Ararat na Monte Cavo, z Monte Cavo na Tenerarifa, z Tenerarifa na głowę Sfinksa, z głowy Sfinksa na głowę kościoła, z głowy kościoła na krater (tu się zaczyna paniczna ucieczka do Tatr i Kossowa)... Wysoko tańczą, nie prawdaż? Lecz czemuż tak często nizko chadza (pełza) ich myśl „zbawcza"? Pytanie bez odpowiedzi.

Lutosławski z mistyki polskiej wziął tylko specyficznie pachnący zabobon zaś z mistyki wschodu —

rytualizm (wdychanie jedną — wydychanie drugą dziurką nosa, stanie na jednej nodze przez 6 godzin, zaklinanie obiadu i kolacyi od złego ducha, głodomorstwo — jako próba woli i t. p.). W ten sposób powstał rytualizm polskiego zabobonu o tyle śmieszny, o ile jest popisowy publicznie!

Miciński z dziejowej myśli mistycznej wziął tylko wszystkie imiona własne różnych „duchów“ i nazwy różnych „rzeczy“ oraz wszystkie aforyzmy, anegdotki, bajeczki, paradoksy i t. p., któremi nadziewa swoje utwory tak, jak kucharz nadziewa ciasto rodzynkami!... W tej pracy zaprawdę jest mistrzem „encyklopedyi mistycznej“, z której układa „bajońskie“ mozaiki (w stylu „sztuki stosowanej“), w którą oprawia swoje dzieła... Mistyka Micińskiego do tego stopnia jest „stosowaną“, że wszędzie, gdzie się da, potrafi się wścibić. Tyle w niej uroku, ile uroku posiadają „hocus-pocusowe“ imiona i nazwy własne, aforyzmy i anegdoty mistyczne...

Czy potrzeba jeszcze większej mistyfikacyi?

Nawet mistyczna erudycya Micińskiego i Lutosławskiego budzi uzasadnione podejrzenie, skoro daje dowody takiej niedopuszczalnej rozwiązłości i swawolności. Można umieć doskonale grać na fortepianie i nie być muzykiem. Można znać alfabet mistyczny (mamy aż za dużo „podręczników“) i nie umieć stylem mistycznym pisać (nie mówiąc już o tonie i ortografii mistycznej). Mistyczny styl Micińskiego jest (zwłaszcza w ostatnich czasach)

tak ordynarny, poprostu chamski, że chwilami „uszy więdną“ („Madonna syfilityczna“ jest koroną „mistyki“ M.). A ortografia? Boże zachowaj — wolę milczeć!...

Zdaje się, Miciński zanadto się pokumał z kabałą (przeważnie arabsko-hebrajską), której mocą „wróży“ swoje utwory. Twórczość M., przeładowana jeroglifami, których sam nigdy chyba nie odcyfruje (Boże, tyle mają znaczeń!), usiana (gdyby pole makiem) różnymi Elokim, Astaroth, Belzebub, Trismegista i t. p. jest tylko „wróżeniem“ — kładzeniem „mistycznych passyansów“ — hocus-pocusowem wywoływaniem „duchów“ — doradców i t. d.

Przed pięciu laty „mistykę“ M. ożywiała jakaś dziwna somnanbuliczna, seansowa „tęsknota“. Czytając jego utwory, można było czuć się przynajmniej „seansowo wywołanym“ jeżeli nie na planecie Venus, to napewno w pałacu jakiegoś Radży — można było przynajmniej pogadać „seansowo“ z ciekawymi osobami...

Dzisiejsza mistyka M. kabalistycznie kręci się dokoła nieszczęsnego Koziego Wierchu w Tatrach, gdyby chmura, marząc o Himalayach (niestety!). Pociesza się proroctwem pewnego „ministranta“ swego, który głosi, że orzeł aryjski (może indyjski) uwije sobie gniazdo na Kozim Wierchu (pfuj! jakaż to brzydka nazwa — już nie mogę) i z pelikanowego jaja, desynfekowanego ambrozyą, wysiedzi specyalnie polskiego aryjczyka-Maga, wobec którego „nędzny żydowin“ i t. d. (dopowie p. Feldman).

Jaka szkoda, że Polska już niema swego morza! Wyprowadziłbym M. z Tatr nad morze i, kto wie, może, wyleczyłbym go z manii tatrzańskiej (nawet jako symbolu)...

Ostateczna mistyfikacya mistyki, która jest jasno zdecydowaną, konkretną formą twórczości, z kabałą niemającą nic wspólnego! Mówić o „jasności" Mic. znaczy to samo, co mówić o plamach na księżycu: niejasność jest M. potrzebną i basta (nie będzie bez niej mistycznym)! Również nie warto się wdawać z M. w dyskusyę na temat „aryjskości" duszy polskiej (ostateczny wybryk „mistyki" M.) Zaprowadziłoby to nas do ostatecznej śmieszności (choćby ze względu na popularny „semityzm" duszy polskiej, „postępowo" propagowany).

Iść dalej za mistyfikacyjną mistyką M. niepodobna. Brnęlibyśmy po kostki w mule wyschniętego „jeziora mistyki" (i takie „bajki" się zdarzają).

Pora już powiedzieć M., że jego stosunek do mistyki jest tylko stosunkiem kupca do towaru. M. nakłada kabalistyczne ceny na „pojęcia" mistyki i... sprzedaje (oczywiście w księgarniach). Utwory „mistyczne" M. (w rodzaju „Nietoty", której pewne realistycznie traktowane miejsca są niezawodnie piękne) robią wrażenie „towaru mistycznego", wystawionego na sprzedaż. Począwszy od biżuteryi indyjskiej, a skończywszy na „kielni masońskiej" — wszystko można dostać. W jakim celu? Niewiadomo.

M. nie uznaje teoryi kontrastu. Różnice przeciwieństw, na zabój się zwalczających, zaciera jakąś

farbą osobliwej „syntezy“ (czemś w rodzaju „poza dobrcm i złem“). Zdaje mu się, że w tem jest wielce tragicznym. I jeszcze mu się zdaje, że jest gotyckim. Jest tylko melodramatycznym i barokowym (z przybudówkami). Tragicznym można być w walce z Losem-Przeznaczeniem, zaś gotyckim w potężnej religijnej, świadomej celu swego w wyżynach Woli!... Wszakże mistyka jest wrogiem wszelkiego tragizmu; jest bowiem twórczością wyzwalającą — jest historyozofią missyi człowieka — jest hymnem na cześć Mądrości Odwiecznej! W sferze mistyki niema tragedyi: jest pogoda słońca!...

Chrystus Ukrzyżowany był pogodniejszy od słońca, które się zaćmiło...

Ojcem tragedyi nowych czasów jest Lucyfer.

Igraniem z tragedyą jest magia (nawet biała): wszystkim magom dyabeł głowy poskręcał (słusznie lud twierdzi). Zwłaszcza temu, który był doradcą carów!...

* * *

Lutosławski jest człowiekiem nawpół swego tragizmu świadomym. Jego dziecinna naiwność rzuca czasami rozbrajający krytykę urok. Na brzegu morza-życia wciąż odnajduje „muszelki prawdy“ i bawi się niemi — jako dziecko — i innych zaprasza do zabawy. Wciąż mu się zdaje, że przeceniając małe, zaś niedoceniając wielkie wartości życia, ufunduje

specyalnie polski kościół. Z małych rzeczy chce zrobić wielką rzecz, zdaje się, już nie wiedząc, że największa ilość małych rzeczy jest tylko małością! Wszystko funduje (swoje liczne „klasztory“) na małych rzeczach, łudząc się, że będzie wielka rzecz... Niestety!

Duch Polski (mimo wściekłe protesty) żywie w Idei Chrystusowej. Żywie i kwitnie. Nie da się już wydrzeć z korzeniami z gleby, krwią męczeńską, w imię Chrystusa przelaną, użyźnioną... Obumrze, lecz się odrodzi z większą wolą. Upadnie, lecz się podniesie...

Jedyny Pasterz i jedna owczarnia być musi.

Nacyonalizowanie religii prowadzi do dzikich a barbarzyńskich walk religijnych. Dzisiaj już tylko jedna jedyna Idea Chrystusowa jednoczy narody i ludy świata, na zabój poważnione. Rozbicie tej ostatniej Idei, jednoczącej świat, na wielość idej groziłoby straszliwą katastrofą (którą zresztą pessymiści przewidują).

Oto dlaczego jestem zdecydowanym wrogiem t. zw. kościołów narodowych, odseparowanych od Władzy Naczelnej. Kościół musi być jeden jedyny! Państw może być wiele, jak i narodów. Kościół — jako Idea — jest ponad państwem i narodem, a nie w państwie i w narodzie!

Kościół prawosławny, który się oderwał, jest narzędziem złej woli.

Protestantyzm, który się oderwał, jest lodownią, w której się mrozi ogień religii, aby nie

mącił trzeźwego dorabiania się wygody nawet gwałtem i przemocą (Prusacy).

O innych sektach nie wspomnę.

Lutosławski wie o tem lepiej, niźli ja. A jednak marzy o zaprowadzeniu „kościoła polskiego“ o przeforsowaniu „świętych polskich na każdy dzień“, kusząc i siebie, i bliźnich do złego...

* * *

Miciński chyba lepiej odemnie zna historyę mistyki. Wie, że mistycy „nascuntur“ — jako i poeci, że ani poezyi, ani tem bardziej mistyki rozumowo „wytłumaczyć“ niepodobna. Mistykę, oprócz wspólnej z poezyą idei piękna, obowiązują większe kryterya, niźli literaturę: idee prawdy, miłości i sprawiedliwości, idea „służby Bożej“, idea doskonałości twórczej, idea dostojności... Mistyka jest sumieniem poezyi...

Oczywiście muszę odróżnić mistykę od magii *), która dzisiaj zwłaszcza (z małym wyjątkiem) —

*) Magia historyczna de facto jest „wtajemniczonem dyktatorstwem“ — uzurpacyą „władzy tajemnej“; ma tą cnotę, że dla tłumu absolutnie nie była dostępną. Magia współczesna jest do tego stopnia „zdemokratyzowaną“ i sprostytuowaną, że lada zbrodniarzowi daje „magiczną“ broń do ręki, aby „tajemnie“ umiał zabijać! Motłoch, wykształcony na „sztuce magicznej“, już grozi Europie wandalizmem: zniszczeniem Wiedzy prawdziwej! „Magowie“ współcześni są przeważnie „piratami myśli“.

dzięki osobliwej manii „wtajemniczania“ nawet idyotów (liczne popularne podręczniki magii) — przerodziła się już w kuglarskie przedsiębiorstwo!

Mistyka jest ciągłym stanem „inspiracyi i łaski Bożej“. Magia jest ciągłym stanem zaklinania, prowokowania i wyzywania Ducha Św.

Sprawdzianem mistyki jest natchnienie; sprawdzianem magii jest sztuka wywołania „cudu“... Człowiek natchniony gardzi wszelką „sztuczką“ — zwłaszcza wywołującą złudzenie „cudu“, halucynacyę słuchową i wzrokową. „Robienie cudu“ (już wiemy, jak się to robi: hypnozą i suggestyą) jest czynem, niegodnym powagi Męża Bożego. Albowiem cudownie przeobrażającem jest już każde słowo natchnione, ujawniające się prosto — bez żadnej tendencyi „cudoróbstwa!“ Cuda dokonują się bezwiednie i niepostrzeżenie: cuda Boże!

Magia jest ciągłem szpiclowaniem Ducha Św.

Mistyka atoli jest inspiracyą św. Ducha i wolnem „narzędziem“ Woli Bożej („bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi“).

Skłonny jestem zaliczyć Micińskiego w poczet „czarnych“, zaś Lutosławskiego w poczet „białych magów“ współczesnych.

Albowiem i jeden, i drugi zbyt często są prowokatorami Woli Bożej, której przeciwstawić

usiłują swoją „dyktaturę“ w sferze duszy polskiej...

* * *

W jednej z prześlicznych nowel syberyjskich A. Szymańskiego czytamy o szewcu, który wysyła swego wiernego psa na dwór, mówiąc: „idź i nawymyślaj Panu Bogu!“

Te słowa można wziąć za motto do „żywota i czynów“ naszych „bogopogromców“. Jakiś „kosmiczny szewc“ (lud nazywa go prosto biesem, czortem) kazał im „wymyślać P. Bogu“, więc oto wymyślają ludzkiem szczekaniem, tworząc nową hipotezę, że „człowiek od psa pochodzi“...

Dopóki specyalistą „bogopogromstwa“ był tylko A. Niemojewski (o Radlińskim zamilczę), można było ironicznie się uśmiechać: stare grzeszne żarty polskiego szlachcica, pomylonego na „deus“ i „canis“... Atoli gdy na tą samą „specyalność“ zachorował T. Miciński („największy mistyk“ w Polsce, „największy umysł religijny“ w Słowiańszczyźnie i t. d.), trzeba się chyba... przeżegnać!...

Od „źródeł duszy polskiej“ do „źródeł duszy zwierzęcej!“ Dziwna ewolucya! Co się stało?

Oto nagle ogarnęła M. szewska pasya śmieszności! Nie mogąc być wielkim w „wielkości“ swoich przeżyć literackich, chce być wielkim przynajmniej w śmieszności (do której tylko jeden krok). Zapieprzyć (pieprznym dymem) katolicyzm, aby

Papież i kardynałowie kichali — to nie wielka sztuka (lada wisus-urwisz to potrafi). Lecz uczciwie i mądrze zwalczać tego „wroga“ swojego M. już nie umie. Wielkość śmieszności zbyt silnie go ukochała, aby mógł się wyrwać z jej rozkosznych uścisków... Dziś umie tylko mścić się na „kozłach ofiarnych“ za to, że nie jest „magicznie“ uznany (choć prawie zawsze sam się staje czyimś „kozłem ofiarnym“). Najwięcej „zawinił“ Kościół katolicki, więc huzia na niego!...

Dopóki M. pisał liryczne wiersze i liryczne treny „o źródłach duszy polskiej“, miał jeszcze „mistyczny urok“. Lecz gdy zaczął ze swego zawiedzionego liryzmu (który nie znalazł w osobie Polski godnej oblubienicy) robić „tragedyę religijną“ (wraz z „kozłem ofiarnym“), stał się przykro niesmacznym nudziarzem i w końcu śmiesznym pierrotem!...

*
* *

„Zbawcze“ myśli Lutosławskiego i Micińskiego — to „mistyczne kaduceusze“ (Wyspiański), którymi mącą i tak już strasznie zamąconą „kadź narodową“ („źródło i sumienie“ duszy polskiej). Tą ich „kaduceuszową“ manię mącenia tem tylko można wytłumaczyć, że M. i L. panicznie się boją przyjrzeć się sobie w czystej zwierciadlanej wodzie źródła! Tak jest, niestety!

Lecz już dosyć tego „kaduceuszowego“ mącenia źródeł — dosyć! Zamącone źródło duszy polskiej

musi się ustać — oczyścić. Gdy to źródło się oczyści, będzie zaprawdę strasznem zwierciadłem, w którem się odbije ta cała śmieszna karykaturalność neo-mistyki polskiej, uzbrojonej w „kaduceusze“ przeciwko Bogu i zdrowemu, czystemu myśleniu!

Mistyka nigdy nie była chorobą.

Mistyka św. Franciszka jest źródłem religijnego zdrowia!

Współczesna neo-mistyka polska (i rosyjska) jest zaprawdę chorobą umysłową! Jest śmieszną mistyfikacyą mistycznego zdrowia duszy w jej wędrówce ku Bogu — do źródeł duszy odwiecznej!...

PATOLOGIA NIEWOLI.
(STEFAN ŻEROMSKI).

„Nawet dużej miary talent może być wyrazem nie tylko wzrostu i potęgi życia, lecz także wyrazem ubóstwa i rozkładu życia“. (St. Pieńkowski)

Trzeba chcieć poznać człowieka w artyście: oto pełna forma krytyki literackiej i artystycznej.

Dusza, uwięziona w trzewiach, gnije: jej myśli są majaczeniem obłąkanego.

Aby mieć prawo oskarżać naród, trzeba być Skargą, a nie członkiem jakiejś partyi.

Kto nie dotknął swem sercem serca narodu swego, ten nie wnijdzie do przybytku wybranych: potknie się o próg żółci i upadnie; a nie będzie, ktoby go podniósł.

Historyą P. P. S. nie można mierzyć historyi Polski.

Nawet wybitni krytycy polscy, oceniając twórczość Żeromskiego, wpadają w jakiś konwenansowo-sentymentalny nastrój, szepcąc do ucha czytelnika: „Żeromski — to tragedya! Cicho — sza!“... Robią wrażenie przeczulonych doktorów u łoża śmiertelnie chorego człowieka...

Że Stefan Żeromski od dnia swoich „literackich narodzin“ jest tragicznie chory, o tem już chyba nikt w Polsce nie wątpi. Wszakże robić z tej „tragicznej“ choroby coś w rodzaju „apologetyki artystycznej“ — znaczy krytycznie się ośmieszać. W życiu prywatnem jednostek (autorów) jest już za dużo „tragedyi“, atoli w literaturze i sztuce są tylko tej „tragedyi“ melodramatyczne strzępy i... łachmany!... Tak jest, niestety. Tragiczna nietykalność — jako sprawdzian artystycznej wartości dzieła — jest curiosum... Tragedya nie potrzebuje ani reklamy, ani obrony: sama mówi tak potężnie, że nawet największych gadułów krytycznych zmusza do milczenia! Reklamy i obrony potrzebuje tylko tragikomedya, pragnąca być conajmniej tragedyą Prometeusza. O tem nie trzeba,

zdaje się, zapominać, pisząc liczne historye literatury polskiej.

Są „tragedye“ i tragedye. Są „tragedye“, od których człowiek ze wstrętem się odwraca; i są tragedye, których groza duszę człowieczą w biblijne „słupy solne“ przemienia! Termin „tragiczny, arcytragiczny“ — jako określenie pewnej formy twórczości, prawie nic z istotą tragizmu niemającej wspólnego, jest tak samo tanim frazesem, jak i ta forma twórczości. Zresztą frazes „tragiczny“ niczego nie tłumaczy, jeżeli dzieło sztuki melodramatycznie jęczy...

Stefan Żeromski — jako organizacya twórcza — jest zanadto melodramatyczny, aby mógł być tragicznym. Siebie samego przeciwstawia sobie samemu: Żeromski-literat walczy z Żeromskim-człowiekiem! Oto „filozofia“ tego melodramatu...

Żeromski nie może wyjść ani ze swojej ciasnej formy sztuki, ani ze swego ciasnego światopoglądu: i jako artysta, i jako człowiek jest uwięziony, beznadziejnie szamocący się z niemocą, z niewiary płynącą! Jest dziwnie zaczarowany w błędnem kole: nie może już nawet przeciwstawić siebie samego — jako twórcę — swemu Przeznaczeniu, swemu Fatum! O tragicznej walce prometejskiej tylko wściekle marzyć może, mszcząc się na samym sobie metodą zaprawdę inkwizycyjną...

Walka Żeromskiego-artysty z Żeromskim-człowiekiem jest tak wyrafinowanie okrutną, drobiazgowo

mściwą, uparcie zawziętą, że robi wrażenie ciągłego stanu epilepsyi albo szału. Ilekroć w nim zwycięży artysta, tylekroć szlocha, ryczy człowiek: w pięknej formie artystycznej ryczy i szlocha pohańbiona (zwyciężona) treść! Ilekroć zwycięży człowiek, tylekroć biada artyście: ordynarna mściwość bierze górę nad estetyką formy! „Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma“ — można bardzo poważnie (bez intencyi naigrawania się) zawołać... Dusza Żeromskiego jest ciemną areną, na której niewidzialnie walczą dwaj Gladyatorzy; jego forma sztuki jest ciągłą relacyą — bulletinem przebiegu walki! Księżycowo ponura, sentymentalna, „zdradliwa“ (jak mówi Hamlet o promieniach księżyca), podstępna, chytra, antysłonecznie mściwa jaśń Żeromskiego nie może już sobie wyobrazić świata (nawet sztuki) inaczej, jak tylko w postaci areny, na której walczą dwaj Gladyatorzy (Aryman i Ormuzd). Tragedye wielkich dusz przerabia na ton i nastrój swego melodramatu wnętrznego. Sułkowski w jego księżycowem oświetleniu — to „godny miłości Ormuzdzik“ (właściwie Hamlecik polski), pokrzywdzony (tu już tragikomedya) przez podłego, nikczemnego, w magię arabską wtajemniczonego Napoleona — „Arymanika“ (właściwie Otellika, zazdrosnego o Sławę Desdemonę)... Mówię o „koronie“ jego melodramatycznej twórczości, którą sam nazywa „tragedyą“ (dlaczego?). Chcąc mówić o innych bohaterach Żeromskiego, zaprawdę musiałbym chyba się znać na sztuce wiwisekcyi i okrucieństwa,

graniczącego z patologią. Niema w polskiej literaturze tak okrutnie w okrucieństwach rozmiłowanego autora, jak Żeromski. Saddystycznie i mazochicznie pieści się nie tylko okrucieństwem ziejącemi wizyami, lecz i „stanami przeżyć“, robiącymi wrażenie „orgij piekielnych“. Jest chory na „furyę okrucieństwa“ — na manię samodręczenia! Jego „tragiczne“ obrazy (choć są zawsze złagodzone łzami szlochów i sentymentu), gdyby się dały tak, jak on chce, namalować, byłyby postrachem dla Idei piękna, zaś przedmiotem manii prześladowczej dla artystów malarzy! W swoim realizmie albowiem są tak brutalne, dzikie i barbaryczne, że mogą rywalizować tylko z patologiczną wyobraźnią L. Andrejewa...

Melodramatyczna forma twórczości Żeromskiego jest tym „grzybem“ (rozpaczy), który mury świątyni zjada. Mówię to świadomie, nie wyrzekając się odpowiedzialności moralnej! To zemstą dysząca, to sentymentalnie szlochająca — to dobrodusznie torturująca, to inkwizycyjnie pocieszająca — to satanicznie nabożna, to nabożnie mściwa — zawsze anty-słoneczna, słoneczność demaskująca twórczość Ż. sprawia już to, że współcześnie zdezoryentowana dusza zaczyna gardzić nie tylko sobą, lecz i narodem! Żeromski „artystycznie“ obrzydza „świat polski“, wydzierając z jego wnętrza nawet zarodki „ułudy-idei“ („embryony słońca“)... Pokazując nikczemnie owrzodziałą, bezczelnie cyniczną nagość tego „świata“, nawet łachmanem „litości“ nieokrytą,

hypnotyzuje przestraszonych ludzi tak, jak okularnik (wąż) potwornością pyska swego hypnotyzuje króliki i ptaszęta!... Przestrach obrzydliwości przeradza się w straszną chorobę — w obłęd na punkcie „wszechobrzydliwości“. Grzyb obrzydliwości zjada dusze panicznie zahypnotyzowanych ludzi; żyją w rozpaczliwym strachu aż do śmierci!...

Oto co nazywam w twórczości Ż. „grzybem rozpaczy“: tą manię „artystycznego“ obnażania obrzydliwości duszy polskiej, manię rozkosznego grzebania się w trzewiach, w suterenach, w rynsztokach, w śmietnikach — w specyficznie pachnącym nawozie polskim, — zaś iście sataniczny lęk na widok Świątyni Ducha, wzniesionej na szczytach (na chwałę narodu), paniczny strach, aby „ktoś“ nie zaprowadził do wnętrza świątyni i nie „zmusił“ uklęknąć i pomodlić się za tą biedną, nikczemnie udręczoną duszę Polski!...

Oto dlaczego, powtarzam, nazywam twórczość Ż. grzybem, który zjada mury Świątyni. Sapienti sat!

W utworach Ż. są opisy iście zoologicznej inkwizycyi, na duszy człowieka i duszy natury dokonywanej, atoli niema w tych utworach ani miłości, ani przebaczenia, ani modlitwy! Gdy się czyta jego utwory, ma się wrażenie, że „ktoś artystycznie obgryzuje kawałki duszy“... Po przeczytaniu, ma się ochotę zadeklamować: „ja podlec, ty podlec, on podlec i my podlecy“ i t. d. aż do

ostatecznego wniosku: „podłym jest ten, który świat i człowieka stworzył!“ Dalszą konsekwencyą jest zdecydowany obłęd...

Jeżeli z utworów Ż. (z „Walgierza“ także) wyrzucimy opisy okrutnych scen i obrazów, to niezawodnie stracą cały swój urok artystyczny i wartość literacką. Talent Ż. ubezpieczył się tylko w okrutnej sceneryi i obrazowości! Bohaterowie Ż., jeżeli nie są przez wrogów obgryzieni, to sami się obgryzują: pozostaje tylko „żywy szkielet!“

Oto „fenomen“ twórczości Ż.: „żywy, chodzący, myślący szkielet“ człowieka na szkielecie ziemi!...

* * *

Myśl artystyczna Żeromskiego na tle myśli dziejowej ma wszakże to usprawiedliwienie, że jest kwiatem, rozpaczą niewoli kwitnącym w atmosferze rozkładającego się, gnijącego pozytywizmu. Źródłem nieszczęścia, jakie nawiedziło chwilę obecną, nie jest „rozkład katolicyzmu“ (jak twierdzi St. Brzozowski), lecz — przeciwnie — rozkład i gnicie pozytywizmu, który swego czasu (przed laty 25) mógł być skutecznym lekiem przeciwko obłędowi, wywołanemu ciągłem rozmyślaniem na temat 1863 roku, lecz dzisiaj nie może już mieć żadnego znaczenia, oprócz chyba znaczenia „bzikometru“ i „szałometru“ (miary do mierzenia bzika i szału). Pozytywizm krzewił się — gdyby chwast — kosztem nie tyle już romantyzmu, ile

inicyatywy twórczej — inspiracyi artystycznej (tylko pozytywizmowi zawdzięczamy, że o Asnyku naród zaprawdę „dziwnie“ zapomniał). Przygłuszył w duszy kwiat rycerskiej kultury, sam zaś zakwitnął kwiatem kultury mieszczańskiej, wprawdzie przedsiębiorczej w sferze materyalnych dóbr, lecz za to wyrafinowanie ostrożnej w sferze duchowego rozwoju. „Lepszy wróbel w garści, niźli kanarek na dachu“ — oto cała „filozofia“ tej mieszczańskiej kultury, na której podłożu wyrósł pozytywizm. Mrożąca krew trzeźwość pozytywizmu odmroziła narodowi nie tylko tradycyę historyczną, lecz i... mózg: naród lodowato (à la Świętochowski) myślał nawet o „ognistych świętościach“, zaś na romantyzm („rozczochrany“) rzucił niemal cyniczną anatemę. Z biegiem lat „nastrój“ pozytywizmu ciągle się psuł, aż wreszcie objawił się w formie niezadowolenia z siebie: oto pewien odłam pozytywizmu zadeklarował, że przecież bez romantyzmu „jakoś nudno żyć na tym szarym świecie“... Od tej chwili datuje się postępowy rozkład pozytywizmu...

Żeromski - człowiek jest ofiarnym „kwietnym chwastem“ pozytywizmu; Żeromski-artysta chce być neo-romantykiem, kwiatem neo-rycerskiej kultury, istniejącej dopiero — jako projekt — w programie P. P. S. Ze „starorycerską“ kulturą jest pokłócony na zabój: uznaje ją tylko warunkowo, t. j. jeżeli zadeklaruje swoje przejście na „nową wiarę“. Chwast pozytywizmu głuszy kwiat neo-

romantyzmu — oto melodramat Żeromskiego. Im większy jest rozkład pozytywizmu w duszy Żeromskiego, tem patologiczniejszą jest jego neo-romantyczna myśl, nie znajdująca przytułku ani w przeszłości, ani w teraźniejszości — jako fikcya, urojenie, majaczenie! Żeromski, wychowany bez i na przekór tradycyi narodowej, podziela los tych licznych synów Polski, którzy — jako ziarna — nie przyjmują się na glebie narodowej. W temci jest jedyne nieszczęście Żeromskiego, że jest pokłócony z sumieniem dziejów narodu, któremu chce dyktować swoje „liberowetowe“ prawo!...

Jako ofiara pozytywizmu — Ż. zaprawdę jest godny usprawiedliwienia na rachunek oczywiście pozytywizmu. Atoli — jako twórca, pragnący być narodowym, — zdradza tyle złości i mściwości w ocenianiu historyi ojczystej, że usprawiedliwionym być nie może. Historyą P. P. S. nie można mierzyć historyi narodu! Polska „szlachecka“ niezawodnie zawiniła, że nie tylko Ż., lecz i jego „koledzy pióra“, są kwiatami niewoli. Lecz jakże przykro słuchać, gdy oto kwiat urąga glebie! Łatwo umyć ręce i wydać Piłatowy sąd na „Polskę szlachecką“. Atoli jakże ciężko odwołać, kiedy się już rozumie, że naród nie sądu, lecz mocy pragnie!...

Kwiat niewoli, zbuntowany przeciwko glebie niewoli, przestaje rosnąć — gnije, rozkłada się. A przecież i na glebie niewoli rosną kwiaty wolności! Żeromski, zbuntowany przeciwko tradycyi rycerskiej — jako „glebie niewoli“, którą „proletaryzując“

jeszcze więcej uboży, — żyje tylko w programie na przyszłość — jako możliwość. Stąd jego rozpacz, granicząca z obłędem. Nie módz rosnąć i kwitnąć — tylko rozkładać się! Los straszny...

Chcąć rosnąć i kwitnąć w imię wolności trzeba serdecznie umiłować „glebę niewoli" taką, jaką była i jaką jest — bez podziału na „wczoraj" i „dziś" (nie istniejące w ciągłości rozwoju — jako przeczenia). Żeromski należy do takich organizacyj psychicznych, które są tylko albo sentymentalne, albo okrutne, albo sentymentalnie okrutne. Najwięcej sentymentalni ludzie są najwięcej okrutni. Ż. wobec Polski (idei) jest sentymentalnie usposobiony, atoli wobec jej historyi — okrutnie. Rozczula się nad przyszłością Polski, mściwie się zapierając jej przeszłości. Sam utworzył między „było" i „będzie" próżnię, kfórą wypełnia samym sobą... Robi z siebie ofiarę, której nikt nie żąda (o ile ma zdrowe zmysły).

„Kto miłuje, ten zgaduje" — powiedział E. Hello. Takim „odgadywaczem" prawdy narodowej był Mickiewicz... Żeromski, chcąc rozwiązać swój melodramat, bezwarunkowo musi umiłować naród bez żadnych zastrzeżeń co do przeszłości, której wszak ekspiacyą jest ciągła teraźniejszość twórcza „pierwszych w narodzie". Tylko miłując, Ż. odgadnie moc zwycięską narodu bez odwoływania się aż do... „cudo-Danów" i t. p. rozpaczliwych fikcyj... Zrozumie, że wolność wyrasta i zakwita tylko z ziarna wolności, którem trzeba zasiać (z wiarą,

miłością i nadzieją) łany „niewolnej duszy“, które trzeba starannie pielęgnować przy sianiu i zbieraniu; że kto nie orał ani zasiewał duszy polskiej myślą wolności — jako aktem religijnym (nie zaś programowo partyjnym), ten nie będzie zbierał owoców wolności nawet w wolnym narodzie...

Tenci zawsze będzie chciał wytorturować w niewolnej duszy wolną niewolę patologią myśli, w patologicznej atmosferze beznadziejnej, przekornej niewoli zrodzonej!...

Tego zawsze „rozdziobią kruki i wrony“, albowiem jest bezsilny nawet wobec... indyka!

* * *

Patologię myśli Żeromskiego potęgują często powracające (zwłaszcza z wycieczki w krainę „Dziejów grzechu“) i powtarzające się rozmyślania na temat: „coby to mogło być, gdyby w latach 1794, 1830, 1863 było i t. d.“ Wówczas daje folgę swoim mściwym iluzyom i domysłom, założeniom i wnioskom i pisze „historyozoficzne“ *qui pro quo* (n. p. o naiwnym marzycielu Sułkowskim, który, gdyby nie Napoleon, byłby Napoleonem, który — gdyby nie brak woli — byłby zbawicielem Polski)... Śmieszne „gdyby“ jest alfą i omegą „historyozofii“ Żeromskiego, która nastraja go tak sentymentalnie, że nawet na przawdzie mści się okrutnie!...

Rok 1794 był bohaterskiem preludyum do „dziejów niewoli politycznej", zakończonem marszem pogrzebowym pod Waterloo.

Rok 1830 o niewoli politycznej narodu zadecydował stanowczo.

Rok 1863 tą niewolę przypieczętował ostatecznie.

Oto trzy potężne wybuchy i trzy potężne upadki duszy narodu polskiego...

Zwłaszcza o fatalnym 1831 roku nie podobna długo rozmyślać bez obawy szaleństwa! Przemocą ciśnie się do głowy to śmieszne „gdyby" potęgując rozpacz bólu... „Gdyby" wodzowie, którzy pod rozkazami Napoleona „cudów" strategicznych dokonali, nie byli tak przestraszeni i gnuśni, nie zmarnowanoby najlepszego w Europie żołnierza polskiego, nie ośmieszonoby ideału rycerza i wodza... „Gdyby" była potężna wiara w zwycięstwo, stałby się „cud"... i t. d. Wszystko się rozbiło o to fatalne „gdyby"!... Historya wszakże uczy zdrowego myślenia; przekreśla wszelkie „gdyby" i mówi prosto: „o zwycięstwie decyduje mądrze zorganizowana wola (wiara) narodu! Uczcie się szanować prawo narodowe (precz z „liberum veto!") - uczcie się słuchać rozkazu Wodza — uczcie się hartować charakter narodowy — bądźcie zawsze jednością, całością, jednomyślnością, a niezawodnie zwyciężycie (przynajmniej moralnie) już bez żadnych skarg na „gdyby", które jest jedynem usprawiedliwieniem karłów!"...

Choć 1863 r. rozwiał wszelkie usprawiedliwiające „gdybanie“ (do r. 63 nie da się zastosować formuła „gdyby“), jednak Żeromski, melodramatyzujący „walkę o niepodległość“, bez „gdyby“ obejść się nie może. Po przeprowadzeniu zaprawdę „senatorskiej rewizyi“ porozbiorowych dziejów Polski, doszedł do tego samego przekonania, co i jego liczni „poprzednicy“, że „Polskę zgubiła szlachta, opętana przez jezuitów“ (smutny wpływ „historyozofii“ Iłowajskiego). Gdyby Polska szlachecka — rezonuje Ż. — robiąc rewolucyę, była „pepesową“, przenigdy nie byłoby takiej klęski. Nieszczęściem Polski było to, że „pepesowość“ tak późno ujrzała świat polski. Apoteozując w licznych utworach swoich, przyodzianych w formę „Chimery“, sztandar P. P. S., Ż. doszedł już do absurdum. Zwłaszcza w „Róży“. Nie umie już odróżnić tragedyi Polski od tragikomedyi P. P. S. Rozkład doktryny (rewolucyjnej) P. P. S. ośmiela się (w „Róży“) identyfikować z rozkładem duszy polskiej! Tu już skandaliczne pomylenie rozumu... Doktryna P. P. S. i idea narodowa! Arcymiłe zestawienie... Polska szlachecka, robiąc rewolucyę, miała liczne „Targowice“, więc huzia na nią! Polska robotnicza, robiąc rewolucyę, miała swoją rodzimą (nie szlachecką) „Targowicę“ szpicli i prowokatorów, więc uczcić ją... Czarowicem, cudo-Danem i „nawróconym w potomstwie“ Anzelmem! Oto logika Żeromskiego, który już nie rozumie, że nieszczęściem chwili ostatniej, jakie dręczy

inteligencyę polską, jest tylko rozkład pepesowej rewolucyjnej doktryny, śmiesznie plagiatyzującej 1863 „szlachecki“ rok! Sam Żeromski jest tego rozkładu Różą! Wierzy w odrodzenie rewolucyjnej doktryny P. P. S., nie wierząc w ideę narodową, którą torturuje wszelkiem „gdybaniem“.., Konsekwencya? Artystyczna śmieszność!...

Z „Sułkowskim“ ta sama historya. Marzyciel w stosowanym stylu „pepesowca“ (charakterystyka Sułkowskiego jest śmiesznie „pepesowa“) przeciwstawiony... naczelnikowi „ochrany“ (tak, niestety, przedstawiony jest „zazdrośny“ Napoleon). I w tym utworze „pepesomania“ święci swoje tryumfalne absurdy, wykluczające zdrowe wnioskowanie: Napoleon — wola czynu, Sułkowski — marzenie o czynie: marzenie jest narzędziem woli! Sułkowskiego zgubił jego własny liryzm (bez udziału Arymana)...

Jedyną zasługą Ż. w tych utworach jest to, że w formie dramatycznej zdradził „tajemnicę“ rozkładu „pepesowej“ doktryny rewolucyjnej. Zdradził mianowicie to, że „pepesowcy“ — to „nasi starzy znajomi“: szlachcice z XVII i XVIII stulecia, wprawdzie sproletaryzowani, lecz za to obdarzeni jeszcze większymi wadami i wybrykami woli — zwłaszcza w kierunku „liberowetyzmu“... Zaprawdę zrobił partyi P. P. S. niedźwiedzią przysługę, choć ma racyę, albowiem „pepesowcy“, zwalczając Polskę szlachecką, zignorowali jej cnoty, zaś przejęli się jej wadami...

Żeromski ma chorobliwą manię rozpaczania nad lada „gdyby“. Co by to było, Boże mój, gdyby Okrzeja był Dantonem, zaś bojowcy gwardyą napoleońską? Coby to było, Matko Najświętsza, gdyby Sułkowski był Napoleonem? Coby to było, Józefie święty, gdyby Anzelm był Rousseau, zaś prowokatorowie encyklopedystami? Coby to było, Wszyscy święci, gdyby Feldman był Voltairem albo Renanem, tak wykwintnie zwalczającym katolicyzm? Coby to było, o Arymanie i Ormuzdzie, gdyby zgilotynowano w Warszawie herszta szlachetczyzny?! I. t. d. — jęki i szlochy w nieskończoność... „Żeby i gdyby, wyrosłyby z grochu grzyby!“ Wprawdzie z grochu nie wyrósł ani jeden grzyb, lecz zato w atmosferze rozkładu wyrosła „Róża“, tak ordynarnie woniejąca, że trzeba nos zatykać... Żeromski kolczastą różę macza w obrzydliwym wrzodzie i kropi naród, wołając: „Asperges nos, Ariman“ i t. d. Szczyt saddyzmu! „Róża“ jest obrzydliwym wrzodem literatury polskiej. Jeżeli nie dziś, to za lat kilka Żeromski niezawodnie pokrzywami ubiczowan będzie za ten straszny policzek, wymierzony duchowi narodu, na którego „kultury szczycie“ stoi Mickiewicz, a nie... prowokator!...

Patologiczna rozpacz zaślepiła umysł i serce Ż. do tego stopnia, że już nie rozumie ekspiacyjnego czynu twórczego. Wszak Polska wciąż zmartwychwstaje w życiu i czynach tych nielicznych jednostek, które śmiało kroczą ścieżką,

wyrąbaną w puszczy niewoli przez Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Norwida, na szczyt wyzwolenia, gdzie składają ofiarę Temu, z „którego my wszyscy“. Zmartwychwstaje w sercu tych, którzy miłują ojczyznę miłością, odkupującą jej zbrodniczą przeszłość potęgą słowa: „Panie, odpuść im, albowiem nie wiedzieli, co czynili!“... Uczucie przebaczenia i sobie, i bliźnim obce jest Żeromskiemu. Jest mściwie zawzięty, więc nie rozumie, że twórcze przebaczenie jest wyzwoleniem z winy. „Polski współczesnej“ nie można wyzwalać, nie przebaczywszy Polsce „przeszłej“, która wszak więzi jej teraźniejszość! Tą prawdę chaotycznie rozumiał Wyspiański; rozumiał, a jednak buntował się! Żeromski zaś i jego współwyznawcy tej prawdy nawet rozumieć nie pragną. „Polska współczesna“ żyje w bólu przeszłości, w udręczeniu „sumienia historyi“ (jak to genialnie jeden tylko Norwid zrozumiał). W tem bólu historyi niema ani „współczesnej“, ani „przeszłej“ Polski: jest tylko ciągle żywa Polska! Któż to dziś rozumie? Ongi czuli to Mickiewicz, Krasiński, Norwid; okrzyczano ich za to rozumienie „chorymi mistykami“; więc się zatraciło poczucie i świadomość jednej jedynej Polski, dzisiaj partyjnie pokawałkowanej, partyjnie licytującej się wobec cynicznie uśmiechnionych wrogów! Jest tylko jedyne sumienie jedynej Polski. Biada tym, którzy w ten sposób, jak Żeromski, odrywają się od tego jedynego sumienia: zdziczeją na wzór dzikiej „Róży“ i zgniją...

Te kłótnie, te awantury, te browningowe pojedynki o to, j a k ą ma i powinna być Polska, prowadzą tylko do postępowego idyocenia, karlenia i kołtunienia. Polakowi, t w ó r c z o naród miłującemu, chodzi przedewszystkiem o to, a b y P o l s k a b y ł a — j a k o j e d n o ś ć! Rozmyślania na idyotyczne tematy: „byłoby lepiej, g d y b y nie szlachta, g d y b y nie katolicyzm, g d y b y nie patryotyzm i t. p. — już stanowią niewybredną treść tej „literatury“, której najwłaściwsze miano: „patologia niewoli“. Tylko zbzikowany niewolnik — Andrejewa „cham“ Sawwa — może się gryźć z popami o to, coby to mogło być, g d y b y on sam „nagi stał na nagiej ziemi“. Normalny niewolnik wstydzi się takich idyotyzmów; wola jego jest skierowana tylko na to, a b y b y ł w o l n y m! Gdy będzie już wolnym, sam zadecyduje o rodzaju i formie tej wolności...

Żeromski nie może wybrnąć z tego bagna n i e n a w i ś c i p a r t y j n e j, które już liczne ofiary pochłonęło. Chce, lecz nie może. Boi się chcieć. Sam twierdzi, że niepodobna wyobrazić życia bez błędu. A jednak tendencyjnie klasyfikuje błędy na cnotliwe i grzeszne. Zawsze jest Piłatowym sędzią „błędnej przeszłości“, zaś obrońcą „dziejów grzechu“ teraźniejszości. Narzeka na swawolę szlachty („Duma o hetmanie“), a siebie i swoich „ministrantów“ ze swawolności rozgrzesza. Zwalcza „sól ziemi polskiej“, chcąc być jej „pieprzem“. Potępia wady szlacheckie, a sam w tych wadach z rozkoszą się

tarza. Skarży się na brak woli, organizującej jedność, na brak wiary w siły własne, a jednak sam tą wolę łamie, tą jedność burzy, tą wiarę niszczy w imię osobliwego „liberum veto“... Dziwnie chory umysł! Grzebie się w robaczywych wrzodach i wpada w... ekstazę: oto jego „radość życia“...

* * *

„Liberum veto“ może mieć racyę bytu tylko w raju, albowiem jest zależne od dobrej woli i świętej dostojności duszy. Na ziemi polskiej atoli „liberum veto“ było i jest tylko iście mefistofelesową pokusą do awanturniczej negacyi prawa narodowego, które każdy prawy i uczciwy obywatel dobrowolnie na siebie nakłada! Oto byliśmy i jesteśmy świadkami barbarzyńskiego panoszenia się „liberowetyzmu“: lada szuja mógł i może unicestwić najwspanialszą inicyatywę czynu społecznego — najchwalebniejsze zarodki pracy narodowej!... Przykłady chyba są zbyteczne: naród polski „liberowetowo“ pokawałkowany na tuzin nawzajem się pożerających partyj (marnujących wolę twórczą i deprawujących najmłodsze pokolenie) — oto najlepsze świadectwo, że chwast anarchii, który ongi przygłuszył „kwiat prawodawstwa“, krzewi się dziś wszechwładnie kosztem kwiatów idei narodowej!...

Stosunek Żeromskiego do wzniosłej idei ekspiacyi twórczej jest śmiesznie „liberowetowy“.

Potępianie „historycznej zbrodni hr. Henryka“ (szlachty), zaś apoteozowanie „historycznych cnót Pankracego“ (proletaryatu) jest celem, godnym sławy agitatora, a nie pisarza, mającego wygórowaną pretensyę do miana „twórcy narodowego“. Wobec prawdy historycznej żadna wina niema usprawiedliwiającego przywileju. Historya narodu — to „prostowanie ścieżek“ — ciągła ekspiacya błędów w czynach wyższych, dostojniejszych. Rzetelny i prawy pisarz polski przyjmuje na siebie dobrowolną odpowiedzialność za „winy historyczne“ ojczyzny swojej w formie nakazu: żyć, pracować, tworzyć tak, aby tych win nie było, aby się nie powtarzały w życiu narodowem! Przyjmowanie tylko „historycznych cnót“, zaś wyrzekanie się „historycznych win“ — dziedzicznie jako obowiązek ekspiacyjny ciążących — jest tem, co Mereżkowski słusznie nazywa „chamstwem“ — parweniuszowstwem i dorobkiewiczowstwem na sławie zohydzonych przodków!... Los już osądził „historyczną zbrodnię“ Polski: każdy polak „współczesny“ jest napiętnowany tego sądu znakiem! Jego świętym obowiązkiem jest: twórczo ekspiacyjną pracą ten znak z czoła zmyć! Tego żąda kultura rycerska, pod której autorytet nawet „współczesny“ Pankracy się podszywa... Dosyć już tych piłatowych sądów — dosyć! Albowiem Judasz sądzić będzie piłatowych sędziów Polski...

Nauczać prawdy i miłości, mądrości i dostojności, lecz nie tresować, nie torturować!...

Kto szuka prawdy i sprawiedliwości, ten musi być prawym i sprawiedliwym. Prawdę, mądrość, sprawiedliwość wychowuje tylko literatura, opromieniona ideą miłości! Zwierzę można wytresować; człowieka trzeba wychować. Oto dlaczego zadaniem prawdziwej literatury jest wychowanie pokoleń — idea, której służył Goethe, Mickiewicz i in.! Biada społeczeństwu, którego wychowawcą jest Scherlock Holmes... Nieszczęśliwym jest naród w danej chwili, w której jest tresowany przez literaturę Żeromskich! Chwilowość w literaturze jest czemś w rodzaju niepogody. O wartości literatury stanowią czynniki stałe, nieprzemijające — stygmatyczne! Literatura Ż. jest chwilową niepogodą „nieba polskiego“ — chwilowym „katzenjamerem“ natury polskiej... Słońce pogodnie przejdzie do „porządku dziennego“ nad tą niepogodną literaturą!...

Są bóle, o których się milczy: są to bóle wielkie, święte. Tylko małe bóle afiszują się, reklamując się, żebrząc politowania! Są zanadto cyniczne, aby mogły być szlachetnymi. Rozkoszne grzebanie się w tych małych bólach, podniesionych do rozmiarów bóstwa, jest czynnością degeneratów, zwyrodnialców...

Za dużo już w utworach Ż. mamy tego reklamującego się bólu!

Czujemy nawet dziwny, niedający się wysłowić wstyd: są twórcze jednostki w Polsce, które może i więcej od Żeromskiego cierpią, a jednak umieją

mówić o radości życia, której źródłem jest Chrystus.

„Głos piekła wnętrznego“ trzeba chcieć opanować!

Kto nakłada na naród wygórowane obowiązki, sam zaś się wyzuwa z najmniejszego obowiązku (panowania nad sobą), zaprawdę jest godzien „chłosty życiowej“.

Kto od całego szeregu lat dokonuje wstrętnej wiwisekcyi na biernej duszy znękanego narodu, który — jako Łazarz — o kroplę wody nadaremno prosi, ten jest winien zbrodni i jej konsekwencyj, które dzisiaj liczne jednostki do samobójstwa zmuszają!

Tej zbrodni nie tylko Żeromski i tow., lecz nawet Wyspiański winien jest! On to bowiem hamletowymi eksperymentami ośmielił dekadentów do penetrowania sumienia „Polski współczesnej“, wciąż „budowanej“ na pośmiewisko w teatrze!...

Lecz pora już się zbudzić! Pora już odpędzić tą cynicznie chamską zmorę! Pora już dumnie wyprostować się i splunąć ze wstrętem na te „literackie eksperymenty“ — na te kpiny z narodu! Już pora...

Niech kandydaci na samobójców likwidują tradycyę narodową, począwszy od idei katolickiej, której nie zastąpią żadną ideą, oprócz idei nihilizmu! Niech degeneraci eksperymentują w trzewiach narodu swoją egoistyczną „wolność“, która prowadzi do osobliwej „niewoli“! Niech

choćby cała intellektualna Polska się „biesi“ z nadmiaru ideowej niemocy, — naród polski pozostanie wierny tej glebie, na której rośnie i kwitnie, — nie pójdzie szukać „ziemi obiecanej“ w sferze „amerykańskiej abstrakcyi“, mając swoją własną ziemię, użyźnioną przez Chrystusa...

Jestem zbyt czujny, abym nie słyszał naigrawania: „Naród polski jest obłożnie chory; my go zaniesiemy tam, gdzie zechcemy!“

Tak, zaprawdę, w chwili osobliwego przerażenia zaniesiecie obłożnie chory naród do Tego, który rzeknie: „Powstań, weź łoże twoje i idź!“

Dla was zaś, którzy zwracaliście uwagę narodu nie na gwiazdy nieskończoności, jeno na błędne ogniki bagna, — będzie miał tyle miłosierdzia, że rozgrzeszy was z nieczystych myśli, które wpędzi do mającej zginąć „świni ginącego świata“...

Przebaczy wam, albowiem nie wiecie, kogo kusicie!...

„Niech umarli grzebią umarłych“.

Żywi niech zdobywają wyzwalające Słońce życia, które jest „cieniem Boga!“...

NEO-PANKRACY.

(ST. BRZOZOWSKI).

Religia uczy żyć, filozofia — myśleć; można umieć myśleć, lecz nie umieć żyć; katolicyzm jest filozofią życia: uczy żyć mądrze — uczy myśleć w czynie.

Być wirtuozem nie znaczy jeszcze: być kompozytorem; wirtuozowstwo myślenia nie jest kompozycyą czynu!...

Bezkształtne masy ludu („klasy pracującej“) szukają tylko kształtu-formy: o ten kształt walczą na „Okopach św. Trójcy“; atoli ironia losu to sprawia, że Pankracy zawsze przyobleka się w kształt Hr. Henryka, zaś masy ludu... „burżuazyjnie dziczeją“.

Zmądrzał Pankracy, zmądrzał hr. Henryk, zmądrzał historyk literatury: który z tych trzech panów da się złapać na fałszywego... lira?

Atoli tłum zgłupiał do tego stopnia, że Pankracy na nim się złapie: „legendy“ zwalczać niebezpiecznie w epoce „legendarnego rozwoju psychyki“ (chwila obecna).

Zresztą sam Pankracy nie wyłonił się jeszcze z „legendarnego chaosu“: szuka swojej mitologii w ruinach zburzonych „legend wieków“ nadaremno.

Boi się, aby nie zawołał: „Galilejczyku, zwyciężyłeś!“ Marzy o lepszej „formie zbawienia“...

„Powiedz pan odrazu — bez preludyów — prosto i jasno, w co lub kogo pan wierzysz, kogo lub co pan miłujesz, w czem lub kim pokładasz pan nadzieję! Wierz pan choćby w świnię morską, ale miej odwagę to wyznać; miłuj pan choćby psa pokojowego, ale się tego nie wstydź; pokładaj pan nadzieję choćby w mądrości pająka, ale się nie wykręcaj! Mów pan prosto i jasno, o co właściwie panu chodzi!“...

Temi słowy odezwał się do mnie przed laty pewien człowiek, którego nabawiałem choroby ziewania nieskończoną improwizacyą na różne możliwe i niemożliwe tematy, nie mając wyrobionego sądu nie tylko o wartości tej improwizacyjnej gadaniny, lecz i o jej celu...

Te słowa podziałały na mnie druzgocąco: umilkłem zawstydzony.

— „Widzi pan, mówić trzeba tylko o tem, co się napewno wie, z czego się jasno zdaje sprawę. Gadanie o wszystkiem bez jasno sformułowanego celu jest chorobą. Można napisać-nagadać 100 tomów i nic nie powiedzieć! Można napisać małą książeczkę i powiedzieć bardzo wiele“...

Te słowa niech posłużą mi za wskazówkę w szkicowaniu wizerunku p. St. Brzozowskiego, który wiarę, miłość i nadzieję swoją zaasekurował w „legendzie Polski pracującej“ — po „obaleniu“ innych konkurencyjnych „legend“ — jako (jego zdaniem) fikcyj (n. p. „Legendę“ chrystyanizmu uważa za fikcyjny... tytuł książki), ubliżających „duchowi Polski pracującej“... Fikcyjne gadanie o „cnotach“ mającej się dopiero narodzić „legendy Polski pracującej“ jest treścią wszystkich utworów Brzozowskiego, zrodzonych w okresie porewolucyjnym. Fikcyjne legendy zwalczać fikcyą legendy — oto sprawdzian tej jego „krytycznej gadaniny“ bez końca...

Szkicując wizerunek Brzozowskiego nie jestem „pancernie“ ocieniony autorytetami takich mężów, jak Bergson, Sorel, Machiawelli, Marx i in., przeciwnie jestem nawet zupełnie bezbronnym. W encyklopedycznie erudycyjnem gadaniu nie będę się z nim zmierzał; zresztą chodzi mi nie o jakieś „torreadorowe“ zmierzanie się na arenie publicznej, jeno o to, aby wykazać, że Brzozowski „demaskując“ wszystkie fikcye „Polski współczesnej“, zanadto już nadużywa fikcyjnego sprawdzianu... Wizerunek jego szkicuję również „węglem przeżycia“, oczywiście wiedząc dobrze, że Brzozowski może mnie tylko przegadać, encyklopedycznie przelicytować, nie zaś przekonać-pokonać swoją iście machiawelską metodą zezowania i lawirowania!...

Quasi-naukowa (de facto feljetonowo-dziennikarska) m e t o d a Brzozowskiego, stosowana zwłaszcza do dziejów narodu polskiego — jest zaprawdę prowokacyą nawet opanowanego uczucia oburzenia. Te same błędy, które p o t ę p i a w „Polsce szlacheckiej“, a p o t e o z u j e w „Polsce pracującej“ (chyba jako dorobek?). „Cnoty“ Polski szlacheckiej nawet bez pozwolenia zapisuje na rachunek „Polski pracującej“. Oskubaną, gdyby gęś (zdaje się, z „pierza lenistwa“), oskopioną (na wzór „skopców“ rosyjskich) tradycyę Polski „szlacheckiej“ (historycznej) najmiłościwiej ofiaruje „Polce pracującej“ — jako osobisty „wynalazek“. Jest nadzwyczajnym „korektorem dziejów“. Hałasem niezwykłego w Polsce r e z o n i e r s t w a (mędrkowania) przygłusza powagę myśli, rodzącej się w skupieniu ciszy, — rozprasza uwagę, skierowaną na ostateczny wynik spokojnego rozumowania i badania. R e z o n i e r s k a mania Brzozowskiego zapędza się tak daleko, że nawet sama się gubi w puszczy sprzeczności. Nie chce, czy nie umie zastanawiać się nad tem, że t y p k u l t u r y „Polski pracującej“, który wściekle i zajadle przeciwstawia t y p o m k u l t u r y „Polski współczesnej“ (będącej od czasu jej „wynalezienia“ przez Wyspiańskiego manią prześladowczą Brzoz.) — jako f i k c y o m, jest jeszcze większą f i k c y ą, niżli „współczesne“, albowiem tego t y p u nie było i niema jeszcze: istnieje tylko jako osobista fikcya na przyszłość w pełnej programów głowie Brzozowskiego. Jeżeli „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza

jest „fikcyjną legendą“ kultury polskiej, to czem-że jest Miszuk Niewidimka Brzoz. („Płomienie“), jeżeli nie śmieszną parodyą rosyjskiej fikcyjnej legendy?! O innych śmiesznie i komicznie przeciwstawionych „bohaterach“ Brzoz. wolę już zamilczeć — jako o zbytecznych parodyach typu kultury „Polski pracującej“. Jeżeli ta „Polska pracująca“ Brzoz. ma wraz z nim przejść szkołę nihilo-rewolucyonizmu rosyjskiego i zdać egzamin przed trybunałem, który już ustanowił Brzoz., to mnie osobiście wypada tylko wzruszyć ramionami i przejść do „porządku myślowego“ nad tego rodzaju niedorzecznościami, mającemi urabiać „nowy“ typ kulturalny Polski. Po europejsku ogładzona (pod wpływem Sorela i Bergsona) rosyjskość „kulturalnych typów“, protegowanych przez Brzoz. — jako „zbawienie“, jest do tego stopnia w Polsce „legendarną“, że „Legenda Młodej Polski“ ucieka ze... wstydu przed takim „przeciwnikiem“.

Sam fakt przeżycia nie usprawiedliwia złej metody. Przeżycia są o tyle słuszne, o ile są sprawdzone (są i fikcyjne przeżycia). Metoda, opierająca się na apriorycznej, rozgrzeszonej z błędu, słuszności prawdy przeżycia, jest błędną w założeniu (mówię o naukowej metodzie krytycznej). Dyalektyczne operowanie surowym materyałem „prawd przeżytych“ (raczej prawd do końca „niedożytych“, cofniętych przed ostatnią konsekwencyą dla wygody) li tylko w celu zlicytowania już opracowanego materyału prze-

życia — jest metodą wyrafinowanie chytrą. *Możliwość* wyniku przeciwstawiać *dokonanemu* wynikowi może tylko nieskończenie wyrafinowany krytyk.

Brzozowski operuje tylko *możliwościami* wyniku, panicznie bojąc się ostatecznej definicyi przeżycia — ostatecznego wniosku — *samookreślenia* („ile razy wiara religijna jest sformułowana *pojęciowo*, staje się czemś zasadniczo *antyreligijnem*“ — są jego własne fenomenalne słowa — „Idee“ str. 360). Wyklucza możliwość *samookreślenia* religijnego — jako *formy pracy* głęboko religijnej. Woli wygodnie lawirować w sferze nigdy nieformułujących się, wciąż w stanie przeżywania będących *pojęć*, których synteza dla osobistego życia twórczej jednostki jest konieczną — jako *sprawdzian już przeżytego okresu*. „Pojęciowe formułowanie“ jest niczem więcej, jak tylko *stopniowem* uświadamianiem pracy twórczej, dokonującej się *okresami*. Brzozowski musi się obawiać twórczego *samookreślenia*: chce mieć zawsze otwarte „furtki lawirowania“. Bezkształtność ciągłego przeżywania przeciwstawia *formie* ciągłych, coraz to doskonalszych, konkretnie formułowanych wyników — wniosków. Niższą formą chce opanować wyższą. Pracą rodzącej się świadomości chce ujarzmić pracę *jasno deklarującej* się świadomości! Więc nie dziw, że jest dumny, wołając: „ja jestem *pierwszy w Polsce* (tak?), w którym praca polska poczuła się jako

myśl“. („Idee“ str. 362). Innemi słowy: „jestem jedyny, w którym ruch warsztatu i maszyny doszedł do świadomości!“ Z nadmiaru dumy Brzozowski zapomina o tem, że przecież i w XVII wieku byli w Polsce ludzie, którzy głową zapewne więcej pracowali, niżli dzisiaj robotnik na maszynie... Gorkij jest dumny, że włóczęgostwo „bosiackie“ poczuło się w nim jako myśl. Brzozowski jest jeszcze dumniejszy, że program S. D. (pracująca klasa) poczuł się w nim jako „missya historyczna“; więc chce zapomnieć o tem, że nie tylko „myśl“, lecz nawet „idea pracy“ w okresie pozytywizmu warszawskiego osiągnęła swój „messyaniczny szczyt“ w prześlicznym aforyzmie (o, Norwidzie!): „bez pracy niema kołaczy“, który gobelinowo wisi w każdej kancelaryi; że w Bolesławie Prusie „praca polska“ chyba czuła się i czuje — jako myśl — nie słabiej, niżli w nim!... Brzozowski zbyt lekceważy swoich „poprzedników“, zwłaszcza pozytywizm warszawski, na którym się wychował (z łaskawą pomocą rosyjskiego „pozytywizmu“ Pisarewa, Bielińskiego i in.); zbyt już pomiata „poprzednictwem“ myślącej pracy, która w historyi polskiej znalazła lepszy wyraz, niżli w historyi Brzozowskiego. „O popularność się nie ubiegam, ale gdy polska klasa (aha!) pracująca dojrzeje, znajdzie moje pisma i spostrzeże, że czekały one na nią!“ Oczywiście to się nie nazywa „ubieganiem się o popularność“, lecz — megalomanią, przeciwko której sam się broni: „jestem nie kandydatem na

przywódcę lub mesyasza"... Zadziwiająca skromność! Jako „warsztatowa organizacya psychiczna" (pracy) Brzozowski niezawodnie jest pierwszym fenomenem w Polsce (w Rosyi są lepsze pierwowzory): aby napisać książkę, zużywa tak wielką ilość przeczytanego materyału, że jego „warsztat pracy" wpada w ekstazę „przerabiania surowca na... surowiec". Tylko nie rozumiem, dlaczego ci, którzy nie mają takiej „organizacyi", choć głową pracują więcej od Brzozowskiego, muszą być na indeksie — poza nawiasem „pracy!" Fenomenalnie! Któżby się spodziewał, że z pracy ktoś zrobi sobie bożyszcze... Nowość niezwykła chyba dla leniuchów!...

Przeżywam nie formułując przeżycia, więc mam racyę! Oto hasło Brzozowskiego. Jak to hasło trzeba rozumieć? Oto w tym sensie, że „warsztat" Brzozowskiego wyrabia „materyał przeżywania" dla klasy pracującej, aby miała już co przeżuwać!... W stylu zaiste warsztatowym: warsztat klasy pracującej musi mieć materyał pracy, aby był czynnym! Konsekwencya żelazna — druzgocąca spracowaną głowę...

Więc nie dziw, ze Brzozowski uwziął się warsztatowo przerobić tą „Polskę współczesną", z którą nadaremno się „załatwia" od lat kilku. Aż do r. 1905 Brzozowski o Polsce miał tylko esdecko-międzynarodowe pojęcie (oczywiście wbrew „sformułowanemu pojęciu"). Dopiero „zbudowana" przez Wyspiańskiego w teatrze krakowskim „Polska współczesna" rozbudziła w nim straszną chętkę

„załatwienia się“ (po załatwieniu się z Sienkiewiczem i Miriamem), bez której — jako zdecydowanej manii — już żyć nie potrafi. Jasno niesformułowanem pojęciem (Boże, zachowaj!) oraz iście es-decką ignorancyą dziejów narodu polskiego Brzozowski zaatakował tą zbudowaną w teatrze „Polskę współczesną“, która oczywiście ku ogólnemu zdumieniu runęła (była tylko z desek zbudowana), ściągając na głowę jego aureolę zachwytów cielęcych. Brzozowski stanął na „szczycie Polski współczesnej“ — jako Pankracy — i nadymał się tak długo, aż nie runęła „zbudowana rewolucya polsko-rosyjska“... „Załatwiającą się nadętość“ Brzozowskiego porwały wichry z Tatr i rzuciły na niziny absurdu! Walczyć zwycięsko z karykaturą Polski lada awanturnik potrafi; lecz na to, aby nauczyć „Polskę współczesną“ rozumnej pracy, trzeba wielkiej miłości, nie zaś nienawiści „klasy pracującej“, wrzeszczącej na całe gardło: „Ja cię, psiakrew, nauczę moresu!“...

Brzozowski, zdaje się, nie jest powołany, aby wielkich pracowników Polski historycznej i współczesnej uczył moresu, wtajemniczał, co to jest praca. Sam siebie powinien obuzdać moresem. Nikt nie przeszkadza jemu warsztatowo myśleć, niech więc i on nie przeszkadza ludziom dobrej woli myśleć i pracować głową!... Niech sobie będzie „jedynym“ w klasy pracującej warsztatach, lecz niech uzna także „jedyność“ pracowników w innych klasach społeczeństwa. Ra-

dziłbym Brzoz. poznać filozofię La-o-tse o „nierobieniu“...

Praca nad tem, co w „Legendzie Młodej Polski“ (tytuł fenomenalnej pracy Brzozowskiego) było pracą (przeżyciem), a co zabawką głupią i nikczemną, wymaga daleko głębszej oryentacyi i wiedzy historycznej, niżli ta, którą operuje Brzozowski. Wymaga nadto trwalszego sprawdzianu, niżli jego fikcya pracy, wydedukowana z duszy tylko „klasy pracującej“ (sic!). Mierzyć zmonopolizowaną produkcyą jednej klasy produkcyę, wytwórczość wszystkich innych klas narodu może tylko demagog — agitator. Sztuka i klasa pracująca! Dziwne zestawienie! Nikt nie posądza Michała Anioła, Chełmońskiego, Kasprowicza i in., że lenistwem dorobili się sławy i uznania. Co tu ma do gadania ta klasowość? Zaprawdę nie rozumiem. Do „Polski pracującej“ zalicza się każdy uczciwie i rzetelnie rękami lub głową pracujący polak bez żadnego względu na jego przekonania — bez oczkowania na jego portfel, gdzie mogą być nawet miliony! Dlaczego więc Sienkiewicz jest wyrzucony poza nawias „Polski pracującej“, zaś Wyspiański tym nawiasem objęty? Nie rozumiem tego chamskiego wyrzucania za „bramę pracy!“ Chyba Brzozowskiemu chodzi tylko o „Polskę robotniczą?“ W takim razie powinien być uczciwym w ścisłości. Lawirowanie w takich kwestyach jest absolutnie wykluczone.

Jeżeli Brzozowskiemu chodzi o inne kryterya pracy, w takim razie powinien chyba wiedzieć, że krytykę literacką i artystyczną obowiązuje tylko siła talentu — jako sprawdzian! Siła talentu wszakże niema nic wspólnego z klasowością pracy. Praca bez talentu niema wartości nawet w warsztatach, nie mówiąc już o literaturze i sztuce. Również praca bez idei — bez celu dostojnego niema znaczenia! Tylko talent decyduje o wartości dzieła — bez względu na polityczne przekonania autora. Co tu ma do gadania klasa pracująca? Zmuszam Brzoz. do podniesienia przyłbicy.

Fikcya pracy — jako umiłowany przez Brzoz. sprawdzian — zdradza tylko przewrotność machiawelską, wygodnie lawirującą w sferze cofających się przed ostatnią konsekwencyą „prawd przeżywania". Miast powiedzieć uczciwie i jasno: „wierzę w nową Polskę, dorabiającą się na „starej" Polsce, już uposażonej w wielki dorobek kultury" — Brzozowski aż do ziewania ględzi o pracy „polskiej klasy pracującej", bezczelnie wymyślając największym pracownikom pióra (Ibsenowi, Sienkiewiczowi i in.). Dlaczego i za co im wymyśla? Chyba nie z „nadmiaru" miłości dla pracy? Naturalnie. Zwalcza ich tylko za ich przekonania! W tym punkcie Brzoz. najbezczelniej daje się złapać. Zmuszony jest wygłosić to, czego nie ma odwagi wypowiedzieć (aby zwodzić pozorami): „jako wychowanek socyaldemokratycznej myśli wraz z jej modulacyami à la syndykalizm, wierzę tylko w zwy-

cięstwo tej, żadnej innej, myśli! Wrogów tej myśli zwalczam!“ Zmuszony jest zdjąć maskę i pokazać swój neo-pankratyzm, wyszkolony na Machiawellim!...

* * *

Już od sześciu lat podziwiamy Brzozowskiego jako niezmordowanego „zdobywcę“ licznych „okopów św. Trójcy“, jakie wzniosła przeciwko niemu (tak sobie uroił) ta „kochana Polska współczesna“. Oto „zdobył“ okopy Sienkiewicza i wziął do niewoli jego... lokaja! Bez walki „zdobył“ okopy Miriama i wziął do niewoli jego... skrybę! „Mistrze“ zdołali uciec: żyją i śmieją się ze „zdobywcy“... Na okopach narodowej demokracyi w chwili decydującej otrzymał ciężką ranę. Więc się wycofał z czynnej akcyi „zdobywania okopów“. Dziś oto wydaje liczne „encykliki“, nawoływające do szturmowania i zdobywania jeszcze niezdobytych okopów... „Polski leniwej!“...

Zaprawdę Krasiński jest prorokiem specyalnie polskiej „rewolucyi“. Jego Pankracy fenomenalnie żyje w chwili obecnej w trzech stolicach Polski.

Pierwowzór pankratyzmu obdarzył Brzoz. (w spadku) tragicznym rysem charakteru. Oto Brzozowskiego, stojącego „na szczycie potęgi“, planującego „aneksyę Polski współczesnej“ na rzecz „Polski robotniczej“ (ach, to Zakopane!), buntując się „zdradzili“ jego wyznawcy — „szefowie jego sztabu!“...

Oskarżyli go o ciężką, niczem nieuzasadnioną, żadnym dowodem prawdy nie popartą zbrodnię i oblegli jego duszę, gdyby zmory, aby już nie miał wytchnienia... Stracił aureolę wodza i usunął się w zacisze, z męstwem, zaprawdę godnem wielkiego podziwu i szacunku, oczekując znaku sprawiedliwości!...

Zmuszony do rewizyi swego światopoglądu, opartego na rewolucyjnej woli „Polski robotniczej“, która w r. 1905 wróżyła tak piękne nadzieje na przyszłość, Brzozowski przeżył przerażająco straszne chwile. Musiał obronić racyę całego dorobku swojej dotychczasowej wewnętrznej pracy twórczej tak, aby nie przecząc swojej przeszłości, mógł i nadal kontynuować swoje aspiracye. Pod błogosławionym wpływem J. Sorela, Bergsona, Carducci'ego i wielu innych współcześnie genialnych zach.-eur. umysłów pogłębił w sobie zasadnicze leit-motywy swej świadomości, nadając im sankcyę osobliwego „wieszczenia“. Tu stwierdzam ten już stwierdzony fakt, że ludzie nadmiernie cierpiący (zwłaszcza na obczyźnie) ulegają bezwiednie osobliwej manii „messyanizmu“. Tej manii uległ także Brzozowski. Wyrzekając się jej, sam ją stwierdza („żadna z tych myśli nie przeminie“ w „Leg. Mł. P.“ i t. p.). Stwierdzam to bynajmniej nie w celu ośmieszenia, jeno tylko dla wyjaśnienia. Brzozowski uwierzył w swoją „missyę“ w „Polsce pracującej“ (zmienił poprzednio używaną terminologię) tak silnie, że działa deprymująco.

Kult pracy pomieszał do tego stopnia z kultem twórczości, że między nim a czytelnikiem stanęło *qui pro quo*. Czego jest brak w Polsce: czy siły pracy, czy energii twórczej? Tej kwestyi Brz. nie rozstrzyga. Można pracować, lecz nic nie stworzyć. Wszak nie praca, lecz twórczość tworzy nowe wartości! Praca tylko wypracowuje formę dla tych nowych wartości, sumiennie przeżywa twórczość! Zaprawdę nie rozumiem Brzozowskiego. Produkcyi pracy nie można identyfikować z produkcyą twórczości. Twórczość kieruje pracą, nie zaś praca twórczością... Tego rodzaju wyrobniczy światopogląd Brzoz. nastraja mnie tylko ironicznie. W myśl tego światopoglądu można słusznie wnioskować, że sztuka, literatura, polityka, idea narodowa i t. d. muszą być tylko wypracowaniem w „szkole pracy“, czyli wyrobnictwem... W życiu atoli zawsze było, jest i będzie tak, że genialny człowiek tworzy inicyatywę, zaś sumienni pracownicy tą inicyatywę opracowują! Praca bez tej genialnej inicyatywy jest jałowem przeżuwaniem odpadków. A więc naczelne miejsce w życiu narodu zajmuje tylko inicyatywa twórcza jednostek wybranych, podporządkowująca pracę jasno uświadomionej idei. Nie widzę tu żadnego antagonizmu między pracodawcą (inicyatorem) i pracownikiem (klasą robotniczą). Nie rozumiem, po co Brzoz. wprowadza autorytet „klasy pracującej“, która wszak nie będąc „perpetuum mobile“ — wciąż potrzebuje nowych wartości pracy! Na tym

punkcie Brzoz. myśl się załamuje i gubi się w chaosie gadania.

* * *

Brzozowski ma osobliwego rodzaju talent krytyczny. Nazwałbym go „fortepianowym". Na wyciągniętych strunach myśli twórczej (współczesnej i historycznej) zaprawdę genialnie umie wygrywać takie „improwizowane waryacye", że oszołomiony człowiek rozdziawia gębę i słucha w jakiejś „ekstazie"... Na iluż to duszach wygrał „cudowne arye" (na duszy Dostojewskiego, Przybyszewskiego, Norwida, Nietzschego, Wyspiańskiego)! Nic mu nie zaszkodziło, że o większości tych już „wygranych i wyrezonowanych" dusz raczył szybko zapomnieć, pochłonięty nowym materyałem „improwizacyi"... Nie odmawiam tym „fortepianowym improwizacyom" Brzoz. wartości; owszem przyznaję im nawet wielką wartość literacką. Atoli podkreślam wyrobniczą cechę jego literatury, produkowanej tylko odtwórczo-przetwórczo. Brzozowski jest nawet genialny, „improwizując" na różne już stworzone tezy-tematy. Wszakże stawiając swoje osobiste tezy-tematy, przestaje być „improwizatorem", będąc aż do znudzenia prozaicznie-dziennikarskim kronikarzem.

Brzozowski pracuje, jak wół. Czyta tak dużo, jak chyba nikt w Polsce. Z tej pracy (czytania) nadewszystko ma prawo być dumnym. Czytając

mało, produkuje mało. Wyrobnicza produkcya jego myśli zależną jest od ilości przeczytanych tomów. Nawet wartość tej produkcyi zależy od wartości lektury. Jego mózg — to fenomenalny „warsztat myśli“: ciągle musi mieć olbrzymią strawę lektury! Stąd wypływa jego pyszna pogarda dla tych zwłaszcza, którzy „improwizują z siebie“, eksploatując swój własny świat. Kto wie, może w Ameryce Brzoz. zrobiłby genialną karyerę — jako genialny „eksploatator twórczości“. Zawsze ma tyle pracy, ile mu dostarcza materyału twórczość. Tu spoczywa geneza jego fikcyi pracy! Jako wyrobnik materyału, wciąż dostarczanego przez twórców, musi dojść do ubóstwienia pracy. Innej pracy, oprócz wyrobnictwa, nie uznaje (zwłaszcza tej, która się sprzeciwia dogmatowi „klasy pracującej“). Nic mu nie szkodzi, że zbyt często lubi „zapominać“ o pewnych pracodawcach, na których się dorobił i dorabia. Stosunek jego do twórcy — pracodawcy prawie zawsze (z wyłączeniem n. p. Wyspiańskiego, Sorela) jest stosunkiem robotnika do fabrykanta. Jego „socyologia“ krytyki artystycznej niekiedy brzmi jako curiosum. „Życiową“ indywidualność n. p. Miriama chce odmierzyć „życiowym“ socyalizmem klasy robotniczej. Nie umie uszanować indywidualnych form wewnętrznego życia, a więc i sztuki. Swoją osobistą fikcyę pakuje do głowy nawet tym, którzy go o to nie proszą. Jest osobliwie „zaborczy“. Ma za sobą i przed sobą „tryumf“ wyrobniczej pracy, z którą niema żartów. Jak za-

strejkuje (ta wyrobnicza praca), to twórców dyabli wezmą (słusznie!)... Gdyby nie było fabryk papieru, farby i drukarni, współcześni twórcy byliby niczem (słusznie!)... Praca rządzi nawet losem twórcy (tu już nie słusznie!)... Wszakże nie trzeba zapominać, że liczne fabryki i „warsztaty pracy" bankrutują dla braku popytu na towar! Fikcyę pracy Brzozowskiego łatwo może spotkać tego rodzaju bankructwo nie tylko dla braku popytu na „wyroby myśli", lecz i z powodu hyperprodukcyi wyrobniczej myśli!... Brzozowski powinien choć trochę uszanować inicyatorów pracy — wielkich wynalazców (przemysł automobilowy wszak daje olbrzymie zarobki, przemysł awiacyjny otwiera nowe źródła zarobku i t. p.), wobec których może odgrywać rolę tylko „dyrektora warsztatu"...

Brzozowskiemu się zdaje, że jest myślicielem, a co najmniej artystą (n. p. w „Płomieniach"). Być myślicielem przeszkadza mu, zdaje się, agitacyjne rezonierstwo (czasami bardzo artystyczne); być artystą przeszkadza mu, zdaje się, nadmierna abstrakcyjność mózgowa (czasami bardzo myślicielska). Wciąż się łudzi, że jest powołany na przyszłą „trybunę ludu", z której już dziś pozwala sobie wygłaszać „encykliki", zwłaszcza w stylu Pankracego. Na żadne pytanie nie odpowie jasno i prosto. Zapytany o coś, wygłasza cały traktat, ale w takiej formie, że słuchającemu się zdaje, iż jest chłostany po wszystkich częściach ciała. Brak jasności słonecznej — oto defekt jego myśli, która

lubi pełzać i czaić się w księżycowem pół-świetle. Swoje pojęcia definiuje zawsze tak, że proszą się o litościwy komentarz. Jego definicye — to konglomerat wszelkich domysłów-wymysłów — jako wniosków. Nie mają ani siły, ani jasności samookreślającej się!... Styl Brzozowskiego nazwałbym zezowatym. Każda z podanych przezeń wartości ma podwójne znaczenie: zezuje na lewo i na prawo; lubuje się w pozorach. W jego rozkosznej łatwości pisania gubi się niezbędna treściwość słowa. Gdyby go poprosić o krótkie, jasne streszczenie n. p „Legendy Mł. P.“, wątpię czyby tego dokonał. Lubi gadać o „formie pracy“, sam zaś nie umie, czy nie chce swojej własnej myśli nadać jasno zdecydowanej formy. Hasłu „sztuka dla sztuki“ przeciwstawił fanfarę „praca dla pracy!“ W ciągłym niezdecydowanym wyborze i doborze czai się jego machiawelizm, lawirujący między pozorami (czasami jest katolicki, czasami esdecki, czasami wolnomyślny, czasami mistyczny nawet i t. d.) — w półcieniu jasno deklarującej się prawdy-credo!... Woli być zawsze w „rezerwie możliwości“, niżli w akcyi zdeklarowanego credo. Woli być algebraicznem X w osobliwem równaniu. Pytać Brzoz., w co on wierzy (t. j. w imię czego walczy), znaczy śmiertelnie go obrażać! Fenomenalnie!... „Polska pracująca“ (jak już zaznaczyłem) jest fikcyjną fikcyą, więc nie może być sprawdzianem jego „filozoficznego“ credo. Boć przecie on sam zwalcza zajadle n. p. chrześciaństwo —

jako pojęcie fikcyjne! Zadziwiająca logika! Sam walczy z fikcyami i sam stwarza jeszcze gorsze, jeszcze prozaiczniejsze fikcye. Tu już Brzozowski mnie się wydaje śmiesznym. Bojąc się konkretności, żąda jej od innych.

Przewodnia myśl Brzozowskiego jest tak zamglona, zatarta, że robi wrażenie fresku. Dla archeologii ma niezaprzeczone znaczenie i urok. W życiu atoli skutecznie walczy tylko jasna deklaracya myśli przewodniej — idei. Chaotycznie pretensyonalna, zawsze lawirująco przebiegła niejasność Brzoz. budzi uzasadnione podejrzenie, że właściwie sam nie wie, czego chce (twierdzi, że jeszcze dopiero przeżywa). Jego myśl przewodnia ma osobliwy dar przybierania różnych kształtów — zależnie od nastroju przeżycia. Zda się, panicznie się obawia jedynego kształtu, kondensującego całą energię twórczą. Zresztą słuszna obawa: jest tylko „warsztatem myśli"... Twórca rzeźbi swój własny kształt jedyny. Brzozowski warsztatowo wypracowuje tyle kształtów, ile myśli przeżywa. Rozdrabnia się na wielokształt: każdy kształt ma coś do powiedzenia. Lecz co mówi jedyny Brzozowski? Chyba tylko Bóg wie... Oto dlaczego prace jego robią wrażenie dziwnego pamiętnika — dziwnie wojującej „spowiedzi", która dla specyalistów (psychologów) posiada nieocenioną wartość. Brzozowski jest silny w przeżywaniu, zaś słaby, bezradny w kształtowaniu pojęć! Jego chaotyczna wielokształtność doprowadza do rozpaczy czytelnika, który

wciąż pyta: „kiedyż nareszcie Brzoz. powie, o co mu właściwie chodzi, wciąż zapewniając: chodzi mi o to i o to, zaś nic nie tłumacząc?“ Ach, te fenomenalne tłumaczenia, wyjaśnienia Brzoz.! Zawsze mają furtkę ucieczki otwartą...

W pracach Brzoz. rzadko można znaleść jasno sformułowaną odpowiedź na te pytania, które sam stawia. Jego odpowiedzi trzeba odcyfrowywać z encyklopedyą w ręku. W nieszczęsnej sprawie katolicyzmu umiał wężowo się wykręcić z zarzutów Kodisowej (choć z katolickiej reklamy Chlebowskiego nie raczył się wykręcać). Z innych zarzutów jeszcze lepiej umie się wykręcać wykrętnem stwierdzaniem że „jeszcze dopiero przeżywa, jeszcze szuka“. Zaciekawiony jestem, jak się Brzoz. wykręci z tego zarzutu: miasto wojować nieznalezionemi jeszcze wartościami, lepiej będzie poczekać, aż się znajdą, i dopiero później wojować jasno i otwarcie kwintesencyą przeżycia — bez odwoływania!...

*
* *

Brzozowski robi wrażenie istoty, która niewiadomo kiedy i gdzie się zagubiła i z niesłychaną furyą poszukuje sama siebie w różnych „formach myśli twórczej“. We wszystkich „formach pracy“ (począwszy od Marxa i skończywszy na katolicyzmie) odnajduje bogate fragmenty samego siebie, które rozważa, przeżywa i publikuje jako całość! Właśnie to pomieszanie fragmentu z całością chaotyzuje

treść i formę jego prac. Łudzi się naiwnie, że jest syntetykiem*). Atoli zmysłu syntezy brak mu najwięcej. Rozważając każdą koncepcyę myślową — jako abstrakcyjną całość bez jej genetycznego związku z rozwojem jaśni człowieczej, bez tła historyozoficznego — wywołuje zawsze taki zamęt i hałas pojęć, że człowiek, nieprzyzwyczajony do badania, już z góry kapituluje przed tym zamętem — jako „formą rodzenia się“ jakiegoś maga...

Więc nie dziw, że Brzozowski wciąż twierdzi i poprawia, jeżeli nie odwołuje. Z powodu Wyspiańskiego poszedł nawet do Kanossy (przedwcześnie odwołał to, czem dzisiaj najsilniej atakuje). W Wysp. uczcił tylko tego, który w „pysk“ daje „Polsce współczesnej“. Uczcił jako motto do swojej pracy, „załatwiającej się z Polską współczesną“... W jego „Legendzie Mł. P.“ tyle twierdzeń, ile poprawek, dopisków, nadpisków, zastrzeżeń, a w ostatniej konsekwencyi odwołań. Jego twierdzenie w ostatecznym wyniku równa się odwołaniu. Na początku „Legendy“ ostro napada na katolicyzm za to, że jest „źródłem rozkładu“, jaki nawiedził Polskę, — pod koniec zaś w tekście i w przypiskach ten sam katolicyzm już przeprasza. ale z takiem zastrzeżeniem, że czytelnik nie jest pewny,

---

*) Oto próbka jego „syntezy“: ...„czynna była tylko moja wola znalezienia pojednania Jednocześnie było przecież coś innego“ („Idee“ str. XXII). Innemi słowy znaczy to: „wiem, ale... chcę, ale... wierzę, ale... miłuję, ale“... Autoanaliza granicząca z chaosem.

czy ta besztanina katolicyzmu się nie powtórzy... Tak samo postępuje z innemi koncepcyami ideowemi. Taką metodą „krytyczną“ Brzoz. zdyskredytował zupełnie wartość swojej „Legendy“, usposabiając czujnego czytelnika nieufnie względem jego niewyraźnej intencyi autorskiej, operującej tak niepewnemi dla niego samego wartościami... Tą nieufność potęgują jeszcze więcej jego liczne zastrzeżenia co do „sfery osobistych przeżyć“, którą czyni czemś w rodzaju „sanctuarium“. Od krytyka literackiego, zwłaszcza chorującego na manię wieszczenia, ma się prawo żądać, aby swoje krytyczne stanowisko sformułował jasno i konkretnie bez żadnych „ale“. Powieściowa forma krytyki dziś niema żadnej racyi istnienia. Krytyk powinien jasno zadeklarować swoje stanowisko względem wszystkich objawów życia społecznego i narodowego. Jeżeli tego nie czyni, naraża się na podejrzenie, choć się usprawiedliwia, że „formułowanie pojęć religijnych jest czemś antyreligijnem“ (wszak te pojęcia formułują się w życiu społecznem).

Brzozowski nie rozumie naprawdę wolnej, uniezależnionej od „klasowych interesów“ twórczości, choć tak często o niej gada. Jego fikcya pracy jest chmurą, zasłaniającą blask sztuki. Nie wszystko jest „snobizmem“ albo innym jakimś „izmem“, co nie jest parą do poruszania czyjegoś mózgu — jako „motoru pracy“. Wszak na pozór bezużyteczne, potężne utopijne marzenie ma większe znaczenie, niźli najrealniejsze, najpraktyczniejsze po-

mysły dziesięciu Brzozowskich! O tem dziś nie wolno zapominać.

Twórca żyje w sferze ciągłej „Legendy Bożej" — sam jest „Legendą". O wartości tej „legendy" decyduje zazwyczaj nie teraźniejszość, jeno przyszłość. Twórca w teraźniejszości jest najwięcej znienawidzony właśnie przez tą apoteozowaną przez Brzoz. „klasę pracującą" — jako konkurencyjny „luksus", dlań zbyteczny, bo niezrozumiały i niebezpieczny. Nie klasie pracującej twórca zawdzięcza swoją ziemską egzystencyę, jeno przedewszystkiem swej woli twórczej, ujarzmiającej (tak jest) wszelkie narzędzia pracy dla celu twórczego! Nie mogę sobie wyobrazić twórcy „niedespotycznego". Każdy twórca jest królem-prawodawcą. Brzozowski powinien to rozumieć. Przeciwstawiając „Legendzie twórczej" (nie mówię o „legendzie Mł. P.", która jest taką samą fikcyą, jak i liczne legendy Brzoz.) zlegendaryzowaną doktrynę pracy jest tylko śmieszny. Twórczość jest wieczną bajką, utopią, mitem. Zdemokratyzowanie twórczości według wzorów socyalizmu jest niebezpieczną fikcyą. Zdemokratyzowana (t. j. poddana kontroli różnych klas pracujących, o twórczości mających pojęcie przedpotopowe) twórczość przestaje być twórczością; staje się wyrobnictwem. Twórca dla klasy pracującej jest zawsze tylko „panem pracodawcą", tak, tylko znienawidzonym panem. Nie potrzeba być genialnym, aby tą prawdę zrozumieć. W pomnikowem wyróżnieniu twórcy

jest twórcy pańskość — królewskość. Czy Brzozowski to rozumie, propagując swoją fikcyę pracy? Twórczość uświęca pracę, nadając jej cel, rozpęd, wiarę! Twórczość jest duchem pracy! Widzimy wiele pracowitych narodów, pozbawionych ducha twórczego: czego się dorobiły te narody? Niczego! Cała ekonomiczna potęga Francyi, Niemiec i Anglii jest tylko dziełem ducha twórczego! Można być ideałem pracy i nic nie módz stworzyć, jeno tylko pasorzytniczo karmić się obcą twórczością... Głowa kieruje pracą — inicyacyą twórczą natchniona głowa!...

Prawdziwa twórczość zawsze była, jest i będzie arystokratyczną w tem znaczeniu, że wyprzedza daną epokę, że jest kwiatem kultury. Prawdziwa twórczość jest tworzeniem nowego świata na przekór „temu światu". W tym tylko sensie jest ponadspołeczną (bez żadnych za lub anti), niedającą się użyć jako narzędzie doktryny społecznej. Twórczość — to potęga, wiecznie z „tym światem (bez żadnych wyjątków) bojująca („świat" rozumiem tak, jak go genialnie określił E. Hello: „świat to starość"). O idei, o woli, o duchu twórczym może być tylko mowa w narodzie, nie zaś o „myśli pracy". Brzozowski zabrnął w las sprzeczności. Brak woli, idei twórczej identyfikuje z brakiem „myśli pracującej". Wciąż gada o tem, co trzeba wypracować, nie mogąc dać inicyatywy pracy. Oto jego pięta achillesowa. Krytykuje niemoc, nie mogąc jej natchnąć mocą! Dać moc —

oto jedyna krytyka. Twórca nie gada o niemocy, jeno tylko tworzy moc. Nie żądam od Brzoz., aby był twórcą, jeno żądam zrozumienia istoty stanu rzeczy.

Nie oderwanie się od życia realnego (od realnej pracy) powoduje upadek sztuki, jeno oderwanie się od źródła twórczości! Żądać sztuki życiowej, t. j. zaspakajającej ciasne marzenia i aspiracye „świata tego", albo walczącej o prawa jakiejś „klasy pracującej" lub „klasy leniwej", — znaczy żądać, aby słowik był pożytecznym osłem. Źródłem sztuki narodowej jest dusza narodu, nie zaś dusza „klasy pracującej" i t. p. Klasyfikacya źródeł duchowych jest zbyteczną. Dusza narodu będzie duszą narodu bez względu na dziwaczną terminologię Brzozowskiego („Polska pracująca", „Polska współczesna" i t. p.). Artystę obchodzi całość duszy polskiej, nie zaś jej fragment. Walczy o dobro całości, nie zaś wybranej cząstki. O jego życiowości decyduje żywotność jego talentu, nie zaś żywotność najżywotniejszej w pewnym kierunku partyi lub klasy. Byli i są twórcy, których utwory są najżywotniejszą pogardą dla realnego życia — żywotną legendą o doskonalszem życiu, którego tu niema! Idea Słowackiego „usłonecznić, rozanielić świat" jest wymownym przykładem. Zresztą twórca zdobywa sobie nowe światy, aby się oderwać od tej katorgi pracy, która w Brzoz. „poczuła się myślą". Z życia realnego niepodobna wyprowadzić rozanielenia. Przeciwnie można wy-

prowadzić tylko pogardę Leopardiego. Tak samo z fikcyi pracy Brzoz. niepodobna wyprowadzić wolnej, radosnej sztuki; można wyprowadzić tylko agitacyjną literaturę dla użytku partyi!... Brzozowski nie chce rozumieć sztuki natchnionej — królewskiej, nakładając na wszystkich obowiązek pracy katorżnej — mus ciasno albo wcale niesformułowanej pracy. Fikcya pracy Brzoz. zaprawdę tylko w katordze może się zrodzić! Chrześciańska praca doskonalenia duszy, idea pracy, głoszona przez Towiańskiego, najdoskonalsza „forma pracy“, jaką stworzył katolicyzm i t. d. — to wszystko nic wobec tej fikcyi pracy, która się w nim „poczuła myślą“ (w Towiańskim nie, w Hoene-Wrońskim — nie, w św. Tomaszu a Kempis nie)! *Quousque tandem?...* Stwarzając iście katorżne wartości pracy, Brzoz. tylko się ośmiesza. Oprócz musu pracy, istnieje wolny wybór wolnej pracy, o której Brzoz. nie ma prawa decydować — niema żadnego prawa! Może tylko dyrygować w „warsztacie tkackiej myśli“. Ile nici, tyle płótna. Ile godzin pracy, tyle metrów sukna!... Przemawiając do Polski, musi się liczyć z tem, że Polska ma najdoskonalszą formę pracy — katolicyzm, nauczający obowiązku nie tylko moralnej, lecz i społecznej doskonałości. Przemawiać w ten sposob, że zrobi komuś zaszczyt, zaliczywszy go do „Polski pracującej“ (coraz to inaczej przezeń pojmowanej, nieokreślonej, fikcyjnej), znaczy prowokować ironię w stylu Norwida... Najwięcej

hałasuje o pracy człowiek, który pracując, jak wół, nic stworzyć nie może — nic stworzyć! Obalając legendy, nie umie stworzyć żadnej legendy...

Myśl Brzozowskiego jest ziarnem, poszukującem gleby. Buja w abstrakcyi, nie mogąc wszak rosnąć i kwitnąć w powietrzu. Szuka gleby: daj Boże, aby już nareszcie znalazła, wyrosła i zakwitła jakimś zdecydowanym kwiatem.

* * *

Można narzekać na „Polskę współczesną“ (zresztą na cały świat), że nie posiada wielkich umysłów twórczych, lecz nie wolno jej insynuować, że (oprócz Brzoz.) niema „myślicieli pracy“. Gadanie Brzoz. obowiązuje tylko do gadania. W temci jego szczęście, że tworzy jeszcze jedną Polskę: „rozgadaną o pracy“. Można być genialnym myślicielem i być człowiekiem nikczemnym! Tylko taka myśl ma racyę, która wychowuje człowieka, ujarzmia bydlę w człowieku!...

Słowacki wołał w rozpaczy: „chcieć i nie módz!“ Naród polski od stu lat woła o moc cudu! Wszyscy artyści i literaci błagają o potęgę twórczą! Jak módz chcąc? Skąd wziąć moc cudu, potęgę twórczą? Kto ją wyrabia w człowieku? Ażali nie idea religijna? Ażali nie autorytet Chrystusa? Ażali nie katolicyzm — jako „forma pracy wychowawczej?“ O jakiej innej, lepszej „formie pracy“ można

jeszcze marzyć? Chyba o przedrzeźniającem katolicyzm „wolnomyślicielstwie?“ W myśl „przepisów pracy“, zalecanych przez Brzoz., niepodobna wypracować w „warsztacie myśli“ ani potęgi, ani nawet takiej „mocy cudu“, o jakiej marzy Katerla („Róża“), nie mówiąc już o bohaterstwie, które „warsztat“ zużywa, wysysa, czyniąc „lazzaronizmem“. Potęgę twórczą trzeba wychować w sferze potężnej religijnej pracy ducha. Bohaterów z pod Samo-Sierry wychowała idea niepodległości Polski, podniesiona do znaczenia religii. Fikcya pracy Brzoz. może tylko sproletaryzować naród w tym celu, aby neo-Pankracy mógł go prowadzić na „okopy św. Trójcy“. Zbyt śmiałe żądanie Brzozowskiego.

Poczciwy Machiawelli głosił to, co czynił Caesar Borgia, zaś robił to, czego nie głosił Caesar. Osobliwa ironia życia! Tak samo Brzozowski. Głosi to, co czyni amerykańska Polska, zaś robi to, czego ta Polska nie głosi. Fenomenalnie! Ani Caeser, ani amerykański polak — jako ludzie czynu — nie mają potrzeby zdradzać swych „tajemnic“; zdradzać je może tylko poczciwy Machiawelli, uczeń Sawanarolli! Zdradzać je może Brzozowski dopóty, dopóki nie przekona się, jak Machiawelli, że jest okpiony i oszukany przez los, usunięty z drogi twórczej przez człowieka czynu! Nad tem Brzozowski powinien głęboko się zastanowić przed wędrówką do amerykańskiej Polski.

Zresztą po co tyle hałasu, papieru i atramentu, aby się rozprawić z „Młodą Polską zidyociałą?“ Zbyt wielki zaszczyt czyni Brzozowski tej Polsce, sobie zaś wielką ujmę. Aby ją kopnąć, nie trzeba zaprawdę iście amerykańskiej mądrości*) i takiego zapasu erudycyi, zaczerpniętej z obcych źródeł i po swojemu wypracowanej. Lecz żeby n. p. Miriama nauczyć „nowej estetyki“, Sienkiewicza „wyższej ogłady towarzyskiej“ w stosunku do klasy pracującej, wszystkich literatów „nowego kierunku sztuki“, trzeba być więcej artystą, zaś mniej częstokroć ordynarnym demagogiem, tasiemcowo piszącym i rozprawiającym o sztuce, jak kupiec o wyrobach krajowych. Z prawienia moresów sztuce polskiej Brzoz. stanowczo musi zrezygnować, jeżeli chce uratować od śmieszności swój autorytet, czekający na „dojrzałość klasy pracującej“. I to jeszcze powinien sobie przypomnieć, że cała wina za nieszczęsną „Legendę Mł. P.“ spada na Przybyszewskiego, jako jej twórcę, więc to „zapomnienie“ musi sprostować i Przybyszewskiego należycie zbesztać (więcej, jak Miriama). Amerykański sposób rozwiązywania problematu sztuki, jakim operuje Brzoz., w Polsce jest anachronizmem, już przez Poego i Emersona obalonym. *Spiritus flat, ubi vult* — nie tam, gdzie ordynarnie zaprasza Brzoz. Istoty talentu żadna fabryka nie wyrabia.

---

*) która z emfazą snobów „odkrywa“ już... katolicyzm — jako nowość (śmieszne błazeństwo).

Rodzi się z „łaski Bożej“ — nie z łaski neo-Pankracego. W państwie miliarderów mógł tworzyć Poe, w państwie niewoli może tworzyć „poeta z Bożej łaski“. Tu Brzoz. nie ma nic do gadania. Nie on rozdaje „patenty na poetów“... Jeżeli chce nauczyć „Polskę zdziecinniałą“ rozumu męskiego, sam powinien przestać być dziecinnym w rozważaniu wielkiej sprawy polskiej. Jeżeli chce wskazywać nowe drogi, powinien nie na warsztat zezować, jeno prostować wykrzywione ścieżki, wiodące na szczyty myśli narodowej, nie zaś klasowej! Jeżeli chce „rozbudzać“, powinien się wykazać jaśniejszą formą „rozbudzania“...

Rozprawa z „Młodą Polską“ do tego stopnia zaślepiła Brzoz., że już nie spostrzega daleko głębszych przyczyn degeneracyi twórczej w Polsce (n. p. w klasie pracującej). Dla przykładu daję porównanie. Do r. 1905 większość artystów polskich „zapisała duszę dyabłu“ Miriamowi i... nic nie wskórała (zgodnie z relacyą Brzoz.). W r. 1905 większość inteligentnej Polski „zapisała duszę dyabłu“ Rewolucyi i... również nic nie wskórała! I tam, i tu bankructwo. Więc proszę Brzoz. o „stylową“ odpowiedź na pytanie: która z tych „dwóch Polsk“ była więcej zidyociałą? Będę cierpliwym w oczekiwaniu. Dla oryentacyi dodam: „Chimera“ Miriama upadła dla braku prenumeratorów, „Chimera“ Rewolucyi również z tej tylko przyczyny upadła (dziś bawi się kabaretowo). Zaś dla przestrogi dopowiadam: jeżeli „Chimera“ Brzoz. nie będzie miała

prenumeratorów, również upadnie!... A jednak Norwid tryumfuje w Polsce, panie Brzozowski! Pankracy nie wyprowadzi w „chimeryczne“ pole... Nie przyjmie się w Polsce żadna życiowa mierność (E. Hello), choćby pochodziła z iście byczego mózgu i bawolego serca! W Polsce przyjmie się wielka miłość, zrodzona w sercu bohatera!...

Mniej hałasu, więcej twórczej ciszy!...

Żywa biografia artysty ma niekiedy większe naczenie, niźli jego dzieła...

* * *

„Wczuwam się w prace Brzozowskiego i spostrzegam, że są one istotnie jakby dziennikiem rekonwalescencyi, pewnego rodzaju sekcyą na jego własnej pamięci dokonywaną“.

I dlatego pragnę, aby ta rekonwalescencya przeszła w stan zdrowia i już nie posługiwała się metodą sekcyi swojej i cudzej pamięci, aby wypowiedziała się nie w formie dziennika, jeno w formie zdecydowanej wiary w to, co naprawdę życiem kieruje!...

Szkicując wizerunek Brzozowskiego, oparłem się tylko na jego pracach literackich i krytycznych, wyłączając jego prace o treści filozoficznej, o których wartości nie czuję się powołanym sądzić. Więc się przyznaję, że jego wizerunek naszkicowałem jednostronnie. Brzozowski-filozof, jeżeli

naprawdę jest, oczywiście ma zupełne prawo udzielić mi ostrej nagany. Atoli Brzozowski-krytyk, literat i artysta musi przyjąć moją reakcyę, wywołaną jego akcyą!...

I mnie także „idzie o sprawy życia umysłów, które w tej chwili urabiają się w Polsce“... Lecz nie zamykam oczu na jakość i kierunek tego „urabiania“ (sądzę, że i Brzozowski także). Wiem, że o monopol „urabiania życia umysłów w Polsce“ walczy myśl antyreligijna (antykatolicka) z religijną (katolicką). Ten fakt dla mnie jest stokroć ważniejszy, niźli Brzoz. opisowe „rewelacye o życiu urabiającem się“ bez podania kierunku. Wybór kierunku musi być deklarowany jasno...

Każda praca twórcza wymaga nadewszystko wiary i miłości. Chcąc twórczo pracować dla Polski, trzeba mieć wiarę w Polskę, trzeba ją miłować ofiarnie. Postarano się zohydzić Polskę (niby to „współczesną“) do tego stopnia, aby budziła wstręt i obrzydzenie, aby zniechęcała do pracy. Ci, którzy postarali się o masowe zniechęcenie do pracy dla Polski (bez pytania: jakiej?), dziś mają czelność występować w roli „apostołów pracy!“ Wszak niepodobna pracować dla „Polski przyszłej“, zohydzając „Polskę współczesną“, która jest zarodkiem „przyszłej“. Niepodobna zohydzaniem teraźniejszości uświęcać fikcyjnej przyszłości!... Wielki Goethe wciąż powtarzał, że służy narodowi swojemu. Współcześni (trochę wsławieni) literaci już żądają od narodu, aby on im służył.

Tu jest źródło nieszczęścia, panie Brzozowski! Ojczyznie ofiarować wszystko, co się ma najlepszego — szczytne myśli i uczucia, dostojne inicyatywy i ofiarne czyny — otoć praca twórcza! Dosyć już tej krytykomanii — tego zohydzania „współczesnej Polski“ na biedny rachunek nieznanej przyszłości — dosyć! Więcej inicyacyi czynu, mniej rezonierstwa o czynie, mniej „snów o potędze“...

W Polsce jest dużo głów i rąk do pracy; są i tacy, którzy pragną pracować nawet nogami. Wszakże niema inicyatywy pracy, która się zagubiła w chaosie krytykomanii!... Jałową, bezużyteczną jest praca „Polski współczesnej“ (zgoda, p. Brzozowski!), lecz dlaczego? Dlatego, że tej pracy nie uświęca potężna idea twórcza, silna wiara w naród, dostojna miłość prawdy i sprawiedliwości! Nie metodą autoanalizy (jak chce Brzoz.), jeno tylko wolą (wiarą) można się wznieść w wyżyny potęgi i chwały. Dać narodowi przedewszystkiem potężną wiarę w siebie, tchnąć w niego miłość dostojną, a reszta będzie zdobyta pracą! Kto nie daje narodowi żadnej wiary, usprawiedliwiając się cynicznie, że „nie umie udawać wiary“, ten sam powinien zrezygnować ze swojej urojonej „missyi“...

Nie mogę sobie wyobrazić twórczości w Polsce bez wiary, nadziei i miłości. Wiary ani w siebie samego, ani choćby w naukę (jako bóstwo) nie

wystarcza; za wiele już było sromotnych bankructw... Twórczość człowieka musi być zjednoczona z Ideą twórczą Boga — z Opatrznością.

Ideowa twórczość w narodzie jest natchnieniem Opatrzności.

Oto moje credo!...

EKSPERYMENTOMANIA, CZYLI NEO-HAMLETYZM

(STANISŁAW WYSPIAŃSKI).

„I ci, co nie podzielili boleści, ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testamenta żywotów przeszłych, wyklinają się sami na pokolenia nowe, od zwycięskiej prawdy oddalone“...

(C. K. Norwid).

„Na nic mi wasze łzy sobacze“.

(St. Wyspiański).

Hamletyzm nie jest „chorobą woli“. Jest raczej „męczeństwem woli“, fatalnie zaatakowanej przez Ironię zwątpienia, demonicznie zawikłanej w t. zw. „sytuacyę bez wyjścia“.

Kto ma racyę: czy duch wyobraźni twórczej — duch z „tamtego świata“, czy duch rzeczywistości odtwórczej — duch z „tego świata?“ Który z tych duchów winien jest „zbrodni dziedzicznej“ (może grzechu pierworodnego?), który z nich lepszy, godniejszy zaufania? Gdzie jest sprawdzian, że „tu i tam“ nie panuje idea zbrodni? Ażali w tych podłych maskach, zasłaniających oblicza tych dwóch światów? A może w sumieniu, z lubością maskującem się cnotą i niepokalanością? Albo w „ideowych“ myślach, chytrze upodabniających się maskom obu światów?... Gdzież ta pewność — ten kamień węgielny racyonalnego sądu? Niema tej pewności! Więc znaleść ją, odszukać, wygrzebać choćby z grobów, wyssać z czaszek żywych i umarłych... wyeksperymentować na sumieniu! Zniszczyć choćby samego siebie, udręczyć aż do obłędu bliźnich swoich, lecz tą pewność mieć! A jeszcze później co? Ostatecznie

nic... nicość! „Tu i tam“ zbrodnia... nicość... czaszka błazna Yorika...

Oto w krótkim zarysie problemat Hamletyzmu. Hamleta ogarnia furya eksperymentomanii. Staje się ascetą, męczennikiem — szatanem samego siebie. Świadomie maskuje się zagadkowością stanu swego. Myśl jego, zaczajona pod tą maską, gdyby wąż czyha na ofiary, godne jego niemiłosiernej wiwisekcyi. Eksperymentomania pożera Hamleta. Daje mu wszakże takie chwile rozkoszy, o jakiej nie marzył nawet — rozkoszy dręczenia! Po za tą manią niema już dla Hamleta innego życia. On sam jest manią... Wszystko poświęcił — i dziedzictwo tronu, i miłość do Ofelii (poezyę), i ideały rycerskie — wszystko, aby tylko wyeksperymentować prawo zemsty!...

St. Wyspiański — to neo-Hamlet polski, więcej doświadczony, wyrafinowany, więcej — powiedziałbym — „modern“ (niby to „po za dobrem i złem“ Nietzscheańskiem, wyłącznie tylko niby to w sztuce) od swego pierwowzoru duńskiego, który go tak niemiłosiernie opętał, że poświęcił mu nawet specyalne (do pewnego stopnia nawet fenomenalne) studyum. Pozornie zdawać się może, że Wyspiański jest Hamletem „przypadkowym“ (modne dziś określenie), teatralnie przez tragiczną Muzę uwiedzionym... Raffaelem polskim, — że go wcale nic nie obchodziła sama istota Hamletowego problematu, że jego myśl twórczą pochłonęła, zaabsorbowała tylko koncepcya Hamletyzmu —

jako forma sztuki i t. p. Atoli głębsze wniknięcie w jego organizacyę twórczą tego rodzaju pozory rozwiewa...

Że Wyspiański walczył z Hamletyzmem, nie mam zamiaru przeczyć. Lecz, że nawet walcząc z Hamletyzmem z dziwnie osobliwą lubością posługiwał się metodą Hamleta (eksperymentomanią — wiwisekcyą duszy i sumienia), o tem łatwo się przekonać.

Wszystkie dramatyczne wybuchy wyobraźni twórczej Wyspiańskiego są właśnie niczem więcej, jak tylko uscenizowaniem „dziejów zbrodni i zemsty“ (umiłowany przez Wysp. temat-refren) dla celu eksperymentomanii (choćby nawet artystycznej - saddystycznej) i wiwisekcyi sumienia widzów. W tem inscenizowaniu Wyspiański tylko pozornie jest „poza tem“. Myśl jego niemal żarłocznie śledzi najmniejsze poruszenie widzów na sali — najmniejszy odruch myśli i uczucia!... Hypnotyzuje, wmawia konieczność zdradzenia się... W tym celu wszystkie koncepcye doprowadza do „sytuacyi bez wyjścia“ (bez przebaczenia). Sumienie widzów „do muru przypiera“. Sam zaś złośliwie (rzadko ironicznie) uśmiecha się, z pogardą patrząc na tych, którzy tylko „łzy sobacze“ wylewać umieją!

Ażali nie jest to wizerunek Hamleta?

Wysp. wmawia w siebie i w widzów, że jest „poza tą dramą“ Chce być bez maski, łudząc się co do specyalnej właściwości masek.

Maskując się powagą, autorytetem niepodległego artyzmu, niedającego się przecież uniezależnić od charakteru twórczego ducha, dumnie oszukuje się, że przynajmniej on jest bez maski! W tej sztuce Wysp. zaprawdę prześcignął swój pierwowzór: Hamlet świadomie maskuje się!

Sztuka stosunku Wysp. do narodu jest również artystycznie wyższą od sztuki stosunku Hamleta do ojczyma i matki. Hamlet nie wierzy ani duchowi ojca, ani niewinnej masce pary królewskiej. Hamlet eksperymentuje pewność wiary! Wysp. wierzy (może tylko ufa?) w swoją wyobraźnię twórczą, podlegającą podszeptom różnych „duchów“, nie ma żadnego zaufania do rzeczywistości historycznej narodu — jako faktu, — a jednak robi fatalne eksperymenty i wiwisekcye! Dlaczego i po co? Tu artyzm Wysp. wszedł w niebezpieczny konflikt z zagadnieniem etyki narodowej i już w „Wyzwoleniu“ fatalnie się załamał, dyskredytując autorytet wyobraźni twórczej w kierunku „ignoro“. Próba rehabilitacyi tego autorytetu w „Bolesławie Śmiałym“ (zbuntowany Hamlet) skończyła się klęską. Wyspiański po raz pierwszy uświadamia sobie, że może być Hamletem — mimo pozory obojętności dla problematu Hamletowego. Przeraził się. Od tej chwili panicznie „cofa się“ w krainę Poezyi, którą poświęcił dla... miłości eksperymentu...

Streszczam się. Pierwszy okres twórczości Wysp. (do „Bolesława Śmiałego“) jest procesem uświadamiania w sobie Hamletyzmu. Drugi

okres jest procesem walki i ucieczki przed Hamletem!

* * *

Na twórczości Wyspiańskiego zaciążyła, gdyby zmora, doktryna „szkoły tyranów“ (1899—1905 r.), która wyobraźnię twórczą, wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami podniecaną i prowokowaną, uczyniła jedynem „bóstwem“ („absolut“), jedynym sprawdzianem wszelkich wartości, zaś duszę (specyalnie narodową) — przedmiotem takich maniackich eksperymentów (zwłaszcza seksualnych), które wywołują tylko *delirium tremens!...* Wywołanie, sprowokowanie, wytorturowanie, wyalkoholizowanie, wyseansowanie („sam na sam z duszą kapłanką“) niebywale, niesłychanie ciekawych „stanów duszy“ (oczywiście z pogardą dla tych „stanów“ wartości oraz dla naturalnego stanu duszy) — oto cel, który ta doktryna wywiesiła jako „sztandar sztuki“... W „szkole tyranów“ literaci i artyści (do spółki z mecenasami) tak „rozkosznie“ się udręczali, nawzajem się wgryzając w swoje biedne duszyczki i ich trzewia ssąc, że się przemienili w „cienie egipskie“ (z ich „nagich“ dusz ostały się tylko... ogonki; resztę pożarła wzajemna tyrania). Dla skuteczniejszego udręczania się, a zwłaszcza wywołania zbrodniczych instynktów („stanów“) duszy, na które czyhali z iście policyjną gorliwością — jako na arcyciekawe „do-

kumenty absolutu", — alkoholizowali się aż do niepoczytalności, uznanej za „ostateczny stopień wtajemniczenia i objawienia sztuki". Przez kilka lat mieli tak wielki wpływ, że nawet w inteligentnych warstwach społeczeństwa, stojących poza „absolutem", zapanowała wściekła mania wzajemnego łechtania i tyranizowania (na tle seksualnem) aż do obłędu... Ostatecznie zdeprawowano tą na pozór „nagą" i „czystą", *de facto* zaś „ciekawie obrośniętą" i jeszcze „ciekawiej" niechlujną duszę („oblubienicę absolutu") do tego stopnia, że „przechodząc z rąk do rąk" zdradziła sztukę i wyszła za... mydlarza (bardzo bogatego). „Zdradzeni" jej kochankowie zapisali się do „domu inwalidów" — jako dożywotni członkowie... „Szkoła tyranów" upadła, lecz jej wpływ „pedagogiczny" pozostał na długie lata silnym (w sferze „doświadczeń płciowych", silnie podkreślonych przez Brzozowskiego, który likwidując „Legendę Młodej Polski", umiał sobie zachować ten „smakołyk"). Wpływ tej „szkoły" najsilniej się objawia w Żeromskim, dość silnie w St. Brzozowskim (założył „szkołę tyranów-myślicieli"), słabo w L. Staffie, pieprznie i homerycznie w K. Tetmajerze, wściekle w W. Feldmanie (założył „szkołę biczowników postępu")... Myli się St. Brzozowski, że „Legenda Mł. P." nie była „zdolna do tworzenia" i t. d. („Idee" — przypisek str. 360); boć przecie sam przyznaje, że Przybyszewskiemu (twórcy „Legendy!") arcywiele, najwięcej zawdzięcza! Zadziwiająca „metoda załatwiania

się!“ A przecież kto, kto, ale St. Brzozowski „szkole tyranów“ chyba najwięcej zawdzięcza (tak, jak on, chyba nikt nie tyranizuje swej duszy... „sekcyą myśli pracy“).

St. Wyspiański, choć się formalnie otrząsnął z tej „zmory“, lecz duchowo (zapewne bezwiednie) *mutatis mutandis* pozostał „szkole tyranów“ wiernym. W Wysp. właściwie duch „szkoły tyranów“ doszedł do najwyższego szczytu rozwoju, a w ostatecznej konsekwencyi do samozaprzeczenia. Nie znam bowiem w historyi literatury polskiej większego tyrana od Wyspiańskiego — i to tyrana, wysubtelnionego do ostatnich granic, tyranizującego nawet tyranię! Jego stosunek do „Polski współczesnej“ — to wsysanie się, wżeranie się, wgryzanie się (mówią, że sercem — niech będzie sercem) w duszę narodu aż do szału i obłędu. Jego nienawiść do współczesności ma to niedające się frazesami okłamać psychologiczne uzasadnienie, że był więźniem współczesności (myli się Lack, improwizując o jego „nadwolnej swobodzie“), że był, jak nikt, współczesnym... Nie jest to nienawiść-pogarda duszy wolnej, która nie raczy nawet mówić o tem, czem gardzi. Furor Wyspiańskiego ma wszystkie znamiona duszy niewolnej (mówię to z poczuciem odpowiedzialności), niemocą spętanej. Hamletowa forma jego twórczości jest formą walki podstępnej, chytrej, wyrafinowanie złośliwej; nie było go stać na jawną rycerską

walkę, więc się posługiwał — jako i Hamlet — „pantominami zbrodni współczesnej“...

W Wysp. się przejawiła cała niemoc i tragikomedya „Polski współcześnie inteligentnej“. Wysp. — to najwierniejszy wizerunek duszy polskiej inteligencyi, wtrąconej w otchłań rozpaczy, ratującej się pałubizmem! Zawiele w nim złośliwości Nowaczyńskiego, zaś za mało „ewangelizmu“ Słowackiego, abym był pochopny węszyć w jego twórczości „wieszcze pierwiastki“. Mówiąc o Wysp., nie mogę udawać, że nie czytałem Norwida. Ironia Norwida a złośliwość Wysp. — to dwa nawzajem się wykluczające pojęcia. Mogę się zachwycać Wysp. „Meleagrem“, „Legendą“, „Protesilasem i Laodamią“, „Kazimierzem Wielkim“, poematem „Bolesław Śmiały“, lecz już począwszy od sentymentalnie ckliwej, ofeliowato-hamletowej „Warszawianki“, nudnie rezonierskiego „Lelewela“, beznadziejnie satyrycznego „Wesela“, zaś skończywszy na „Skałce“, nie mam żadnej inklinacyi do zachwytów. Tam, gdzie Wysp. jest tylko „poetą z Bożej łaski“ albo artystą-dramaturgiem, jak w „Sędziach“, można być nawet „wniebowziętym“ (zależnie od nastroju). Lecz tam, gdzie się objawia Wysp. stosunek do narodu (jako całości), ja osobiście mogę być tylko ironicznym, bo tam się zaczyna Wysp. „więzienie“ — bezsilna, wściekła złośliwość, zaślepiona jednostronność, a nawet często artystyczna niedostojność w manii „piłatowego sądzenia“ niepogłębionej sprawy! Tam

ja już nie wiem, gdzie się kończy satyryczność Nowaczyńskiego i gdzie się zaczyna „poetyczna wieszczość“ i odwrotnie (to, co Wysp. wkłada w usta bohaterów dramatu, dla mnie nie jest miarodajnem, gdyż jego bohaterowie i „prorokują“, i złośliwie szydzą — zależnie od nastroju autora, który ich zawsze charakteryzuje maryonetkowo). Nie wiem, czy Wysp., prowadząc moją „zahypnotyzowaną“ (teatralnie) myśl po „wyzwolenie“, nagle się nie odwróci do mnie i nie zawoła: „chcesz mieć wyzwolenie? w pysk ci mówię moją litość i... zamykam cię w teatrze z Erynjami!“ Wszak takie ostateczne wrażenie sprawia jego „Wyzwolenie!“... Nigdy nie wiem napewno, z kogo on kpi: czy z siebie, czy z widzów, czy z bohaterów, których maluje na scenie, czy z aktorów, dla których pisze role, czy z narodu, czy z jego wrogów? Nie wiem, kiedy ewangelicznie i kiedy hamletowo jest nastrojony! Muszę wytężyć czujność, aby go przydybać na „gorącym uczynku“. Eksperymentolog po prostu genialny... Wyeksperymentuje duszę i rzuci ją — jako starą dekoracyę! Zwłaszcza, jeżeli się zdradziła, że naprawdę jest podła! Boć przecie trzeba już nareszcie przestać się wstydzić i przyznać, że „Wyzwolenie“ jest hamletowym eksperymentem, na „Polsce współczesnej“ dokonanym w tym celu, aby „współcześni“ zdradzili swoją podłość i nikczemność (właściwie resztki niezdradzonej dzięki „Weselu“ podłości). Stosunek Wysp. do „Polski współczesnej“ jest „bezceremonialny“:

robi z nią, co się mu podoba. Chce, buduje ją w teatrze i burzy. Nie chce, ucieka do Grecyi. I co wzamian za to daje? Oto melancholię niemocy — jako ostateczny wynik eksperymentu! Muszę wyznać, że zbyt już są kosztowne eksperymenty Wysp. Gdyby wyeksperymentował moc twórczą — wiarę, miłość, nadzieję, byłby zupełnie usprawiedliwiony. Lecz eksperymentować po to, aby wyeksperymentować tylko narodowy hamletyzm — znaczy narażać się na surowy sąd historyi. Wolno artyście eksperymentować swoją duszę, lecz duszy narodu eksperymentować bezcelowo — dla teatralnych koncepcyj i obrazów — nie wolno! Ja, być może, pierwszy pozwalam sobie silnie zaprotestować przeciwko tego rodzaju nieetycznej, nieestetycznej „formie sztuki", ktorej wpływ jest demoralizujący. „Wielkość" Wysp. uznaję tylko w tem, że ośmielił „najmłodszą Polskę" do takich czynów, które w żadnym narodzie tolerowane być nie mogą: do pogardy imienia Polski pod pozorem jej „podłej współczesności". Wysp. dopiero po „Bolesławie Śmiałym" spostrzegł tą swoją zbrodnię i przeraził się. Cofnął się przerażony do... „przeszłej Polski"...

Artysta tej miary, co Wysp., inscenizując Polskę z dodatkiem „współczesna", powinien był jasno zdawać sobie sprawę z tego, że obowiązkiem prawdziwej Sztuki jest tylko narodowi świecić w głowie i w sercu, aby był wzniosłym i do-

stojnym. „Psucie humoru“ — jako temat, choćby nawet wierszowany — zalicza się do bardzo „współczesnej“, rogatkami od przeszłości i przyszłości narodu odgrodzonej, literatury. Artysta, który nie umie się wznieść ponad plugawą współczesność, daje tylko świadectwo swej zupełnej niemocy twórczej, której nie zdoła okłamać wojującą satyrą. Słońce wschodząc oświeca najgorsze zakamarki miasta: czy to ubliża jego światłu? Tak samo rodzące się dzieło artysty, będąc słońcem, nie powinno się kłócić ze... śmietnikiem duszy; jego promienie o wschodzie najpierw na szczyty padają, o zachodzie ze szczytami najdłużej się żegnają, śmietnika nie widząc wcale.

Szczyty witać radosnie — ze szczytami żegnać się rzewnie: oto narodowa twórczość. O szczytach duszy narodowej mówić i śpiewać: otoć hymn narodowy...

Wysp. był zanadto „współczesny w Polsce współczesnej“, aby pisząc „Wyzwolenie“, „Wesele“ i „Bolesława Śmiałego“ (ubranego w anegdotki i Słowackiego „szaty misyjne“), mógł nie myśleć o tym „narodowym śmietniku“, podłością zarażającym „przyziemną sferę“, mógł zapomnieć, że w górnych sferach „duch się czyści“ i zapomina o niskości!... Jego „współczesność“ rozgrzesza go w zupełności z tej winy: tworzył to, na co było stać właśnie „Polskę współczesną“... Ironia mimowolna.

*
* *

Każda idea dla Wysp. ma znaczenie tylko sceny-areny, na której można zbudować hamletowo-eksperymentacyjny teatr i odegrać hamletową pantominę. Wysp. jest rozteatrowany, rozscenizowany, rozdekorowany „dramatycznie“ aż do... obłędu polskiej poezyi (Ofelii), o której śmierci napisał bardzo poetyczny „nekrolog“ („Śmierć Ofelii“). W sferze każdej idei buduje eksperymentalny teatr dla wybadania tej idei sumienia! Tą prawdę nawet Lack podkreślił, mówiąc: „Wysp. ani na chwilę nie zapomina, że ten, który mówi (z nim), może być właśnie osobą nowego dramatu“ („Krytyka“ Nr I. 1908). Fenomenalnie: Lack bezwiednie (myśląc o „czemś innem“) zdradził największą „tajemnicę“ Wysp.

Ideę Mickiewicza na tle epoki również scenicznie rozważa-wyobraża sobie. „Jakiż to ciekawie dramatyczny byłby widok Konrada, awanturującego się z Mickiewiczem. W Konradzie odmalować Słowackiego — rywala Mickiewicza — postawić go w pozycyi wojującej wobec Mickiewicza i t. d. Jakież to ciekawe byłyby sceny! Namalować je!“ Pomyślał Wysp. i namalował trzy akty „Wyzwolenia“.

„Jakież to ciekawe byłoby starcie Bolesława Króla ze Stanisławem Biskupem!“ — pomyślał i namalował trzy akty „Bolesława Śmiałego“ (który mnie się wydaje „wychowankiem krakowskiej szkoły tyranów“: jest neurasteniczny w stylu XX wieku!).

Dramaty Wysp. — to emanacye hamletowej idei „budowania teatru w teatrze“, wyeliminowane z prawa architektury i rzeźby. Architekturę dramatu Wysp. zastępuje dekoracyjnością, zaś rzeźbę charakterów — malarstwem. Sceny dramatyczne układa jasełkowo — nie motywując ich psychologicznie koniecznego następstwa po sobie. Całość jego lubego dramatu — to szereg luźnych scen, wprawdzie świetnie malowanych, epizodycznie silnych, lecz zanadto widmowych...

„Polska współczesna“ dla niego jest jasełką. Jej „bohaterami“ kieruje, gdyby lalkami, wkładając im do ust to tylko, co ma siłę eksperymentu. Arcywygodnie uproszczony światopogląd Hamleta. Lalkami wyłapuje... żywe lalki „na gorącym uczynku“.

A czemże jest Wysp. w „Polsce współczesnej?“ Już pora bardzo poważnie — bez taniej frazeologii — pomyśleć o tem. Dosyć już tego naciągania: Wysp. nie jest skórą wołową! Nie można jej „rozciągać“ aż na trzy partye „współcześnie“ polityczne: jego autorytetem dogadzać i „Naprzodowi“, i „Słowu Polskiemu“, i „Nowej Reformie“... Dosyć już tych „krytycznych“ kpin z rozumu krytyki.

Wysp. wyśmienicie umiał zareżyserować tragikomedye, przeznaczone do grania w teatrze „Polski współczesnej“. Oto czem był Wyspiański dla „współczesności“. A dla przyszłości, czem będzie? Mojem zdaniem, arcybolesną przestrogą, że w narodzie trzeba odróżniać farsę, komedyę, tra-

gikomedyę od dramatu, tragedyi i misteryum, że nie można robić kakofonii z organowej i katarynkowej muzyki!

Dla „współczesnej“ krytyki polskiej (z nielicznymi wyjątkami) zawsze będzie „ćwiekiem w głowie“.

„Wesele“ Wysp. nastroiło mnie tak wesoło-ironicznie: wszak jestem usprawiedliwiony! Nie tańczę w takt myzyki „Chochoła“. Chcę, aby choć raz „Chochoł“ zatańczył. Mam zamiar „chochołowy taniec w Polsce“ skomponować. Będzie radość w Polsce, jak „Chochoł“ zacznie tańczyć! Że też żadnemu z krytyków nie przyszła do głowy właśnie ta krytyczna myśl!...

Każde dzieło sztuki musi wytrzymać próbę swojej antytezy. Kto przemyślał antytezę „Wesela“, ten już rozumie, co chcę powiedzieć. „Nie jest tak straszny chochoł, jak go Wysp. namalował“. Czy nie prawda? Po co ta autosuggestya? Śmiech mnie porywa na samą już myśl, że inteligentni ludzie, mówiąc o Wysp., tańczą w takt muzyki Chochoła, nie chcąc zaprosić samego Chochoła do tańca! A gdyby zaprosili, byliby... (niech Chochoł dośpiewa).

Na czem oparł Wysp. swój stosunek do narodu? Moja odpowiedź: na hamletowem zwątpieniu i podejrzeniu! Lack sakramentalnie stwierdza, że Wysp. stosunek do narodu był stosunkiem „wolnego twórcy“ do niewolnika (tu już chochołowa nuta, nakazująca głupio tańczyć). Nie jestem

znowu tak głupi, abym nie znał psychologii wolnej duszy, abym chciał nawet przypuszczać, że w Polsce może być twórca, wolny od bólu narodowej przeszłości (nie mówiąc już o „testamentach żywotów przeszłych“, jak mówi Norwid). Lack sofistycznie dowodzi, że Wysp. dlatego był wolny od przeszłości, że „przeszłość nie była dlań powagą“ (sic!). W ten sam sposób ja również potrafię udowodnić, że poeta syonistyczny, marzący o państwie żydowskiem, jest wolny od przeszłości narodu żydowskiego! Fenomenalnie! Że dla Wysp. ani przeszłość, ani współczesność Polski nie była „powagą“, zgoda: ja sam właśnie to tylko podkreślam! Lack poraz wtóry bezwiednie zdradził „tajemnicę“ Wysp. Skoro narodowa przeszłość nie jest powagą, więc można sobie pozwolić z tą przeszłością w teraźniejszości wyprawiać różne ciekawe „historye!“ Na tym punkcie Wysp. po raz wtóry się załamał, jeszcze więcej się przeraził. Poszedł do „kanossy przeszłości“. Twórczość jego z lat przedśmiertnych jest próbą ekspiacyi talentu z win („Skałka“).

* * *

Wysp. chciał wyeksperymentować racyę swej „wolnej“ pogardy dla „podle niewolnej Polski współczesnej“ -- pogardę, którą zaraził patologicznie malkontenckie umysły „najmłodszych polaków“. „Mówienie w pysk politowania swego“ przez

pewien okres jego twórczości (aż do „Bolesława Śmiałego“) było dlań hasłem, fanfarą. Miasto „podzielić boleść i żal i wejść w testamenta żywotów przeszłych“ (Norwid) z pokorą Mickiewicza, Norwida, Towiańskiego, — wolał te „testamenta“ eksperymentować, uznawszy siebie za „powagę“ (oj, ten Lack!). W tym właśnie sensie polska poezya romantyczno-messyaniczna w Wysp. doszła do absurdalnego samozaprzeczenia w... „teatrze“ (t. j. w parodyi karykaturalnej). Wysp. na tle dziejów myśli polskiej — to Hamlet, eksperymentujący, penetrujący sumienie historyi, które ośmielił się podejrzewać o „zamaskowaną zbrodniczość“... Wyjaśniam to słowami Norwida: „przekleństwo jest nierozłączne z każdą pogwałconą prawdą; każda prawda narodzona krzywo i ironicznie dlatego tylko, że jej nie dano narodzić się inaczej, — sądzi przez to samo społeczeństwo i jest to najsilniejszem siebie samego przekleństwem! Zaniepokój tak słowo prawdy, aby nie mogło w spoczynku i pogodzie dojrzeć, a ludzie się niem strują o tyle, o ile zaniepokoili je“... W tych słowach Wysp. znajduje usprawiedliwienie i osądzenie samego siebie! Albowiem „wyrazy i słowa nasze są także i na to, że nas sądzą, nie tylko że nas wyrażają!“ (Norwid). Porównać Wysp. z przedstawicielami polskiego romantyzmu (jako „ciąg dalszy“) — znaczy surowo go osądzić. Choć Wysp. traktował twory romantyzmu — jako swój własny „metampsychiczny“ („Król Duch“)

dorobek (całe fragmenty Mickiewicza i Słowackiego drukował bez „cudzysłowów“), którym może dowolnie dysponować, — wszakże jego osobisty romantyzm był „panią teściową“ Mickiewicza i Słowackiego z racyi swej zgryźliwości! Jeżeli „ciąg dalszy“ romantyzmu polskiego musi być taki, jak w Wysp., to bezwarunkowo trzeba wykreślić z historyi literatury polskiej całego Norwida i najpotężniejsze fragmenty Mickiewicza i Słowackiego; wówczas ten „ciąg dalszy“ będzie miał racyę istnienia. Jeżeli Słowacki przez całe niemal życie swoje pokutował za nieszczęsny frazes: „byłaś narodów pawiem i papugą“, to cóż można powiedzieć o Wysp. frazesie: „Na nic mi wasze łzy sobacze?“... Od „cierpię za miliony“ do „łez sobaczych“ zaprawdę niepoczytalny skok! Hamletowa nieufność i podejrzliwość zaprowadziła Wysp. na brzeg przepaści. Zanadto był podejrzliwym, aby mógł miłować bez zastrzeżeń. „Od chwili, w której o cośkolwiek możemy nasz ideał podejrzewać, już rozerwał się z nim stosunek“ (Norwid). Podejrzliwość Wysp. — to zerwanie stosunku z „ideałem romantyzmu“...

Eksperymentując postawioną w „stan podejrzenia“ nie tylko złą, lecz i dobrą wolę „Polski współczesnej“, Wysp. doprowadził siebie do sytuacyi bez wyjścia. Kopnąwszy nogą „współczesność“, nie mógł się zdobyć na żadną (choćby naiwnie dziecięcą) koncepcyę przyszłości; zdobył się tylko na złośliwy koncept, zamykając „konradową współczesność“ w więzieniu teatralnem „na żer

Erynjom" i pocieszając, że „dziewka bosa, być może, wyzwoli"... Zdradził zupełną niemoc twórczą! „Namalował" tylko cały szereg obrazów melodramotragicznych... Naród musi się wyzwolić z tego „wieszczego" uroku niemocy twórczej, jeżeli chce zadość uczynić wymaganiom nawet St. Brzozowskiego. Nie można już wszak dłużej eksperymentować „testamentów żywotów przeszłych", ad hoc inscenizowanych, udramatyzowanych, udekorowanych. Tego rodzaju „legendy" koniec ostateczny!...

Hamlet-Wysp., powtarzam, doprowadził poezyę polską (Ofelię) do obłędu. Miłując ją, eksperymentował jej miłość! Ta zbrodnia pomściła się na nim okrutnie: ostatnie karty jego twórczości — to hymn na cześć polskiej Ofelii, niestety!...

„Dusza Polski współczesnej — to skwarem cierpienia wysuszona gleba: dżdżu pragnie — dżdżu! Wszystko schnie i ginie na tej glebie, zanim kiełkować zacznie! Bądźcie dżdżem — burzą ulewną — wy, artyści, poeci, literaci! Przestańcie być posuchą, doszczętnie niszczącą glebę narodu! Napawajcie spragnione wargi ziemi ojczystej przeczystą wodą źródlaną, ogrzejcie jej ciało słoneczną miłością, — tylko niechajcie być wichrem posuchy niszczącej! Bądźcie dżdżem i burzą ulewną: gleba narodu zakwitnie potęgą!"...

Temi słowy przemawia biedna, zdradzona Ofelia polska... Sumienie Wysp. ruszyło: złożył pożegnalny pocałunek na spragnionych wargach matki-

ziemi, rosząc je dżdżem swojej serdecznej burzy żalu... Mam na myśli jego spolszczone „Veni Creator Spiritus“ — hymn, nawet skały poruszający!...

Dosyć już tego „suszenia mózgu i serca“ narodu — dosyć! Za dużo mamy „suszymózgów“ i „pustynnych serc“. Wszystko, co żyje, trzeba użyźniać i opromieniać miłością! Kto tego nie rozumie, ten niech dzisiaj milczy i do narodu nie przemawia...

* * *

W akcie III „Wyzwolenia“ Wyspiański uświadomił sobie z przerażeniem, że jest Hamletem, że usiłując „zdemaskować i wyłapać winowajców“, sam siebie przyłapał na hamletowej niemocy i rozpaczy. Jest to kara zaiste straszna (Erynje).

Od tej chwili hamletowe refreny-treny „zbrodni, kary, winy, klątwy“ powtarzają się w utworach Wysp. — jako melancholijna nuta ekspiacyi. Od tej chwili zaczyna się paniczna ucieczka Wysp. przed sobą samym — przed Hamletem! Więzi go atoli poczucie osobistej winy! Jakiej? Oto winy eksperymentów z ujmą dla ducha twórczego... Lubował się „widokiem“ eksperymentowanej przezeń „Polski współczesnej“, a nawet jej córki, Ofelii, doprowadzonej przezeń do obłędu... Interesowała, zachwycała go tylko „teatralność“ historyi i jej bohaterów, pozwalająca robić kombinacye dramatyczne. Poszukując winowajcy „swego nieszczęścia,

swej niemocy“, aby go „utrupić“, zawiódł swe hamletowe oczekiwania: winowajca „współczesności“ nie dał się „złapać“ na parodyach dramatów rzeczywistych (można „złapać“ tylko na prawdzie). Zdradził się, złapał się on sam na tem, że nie wiedząc, w czem jest wina narodu, tą winę konkretnie formułował parodyując. Hamlet kazał aktorom odegrać prawdę dramatu, więc „złapał“ ojczyma na zbrodni. Wysp., każąc grać urojoną parodyę tego, co było, zdradził swoją niesprawiedliwość. Budując „Polskę współczesną“, rozmyślnie zapomniał o tych, którzy są „solą ziemi polskiej“ — zapomniał o sprawdzianie dramatu „współczesnego“. Więc ci, których chciał „wyłapać“, otoczyli go kołem i szepnęli mu do ucha: „kochany kolego, jesteś wszak z naszego grona, albowiem Polskę aż nadto w naszym duchu sobie wyobrażasz!“ Ta złośliwość podziałała nań straszliwie: wzdrygnął się, oprzytomniał i zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że teatralnością nie można mierzyć dziejowości, że są rzeczy, których niepodobna inscenizować, a które właśnie decydują o wartości narodu... Zaczął rozumieć, że Mickiewicz nie może być „grobowo-mistyczną“ figurą dramatyczną dla „wyłapania“ idyotów „współczesności“, że „świętości szargać nie wolno“ w teatrze, że Mickiewicz mógł być grobem dla niego, nie zaś już jest „grobem narodu“, że ostatecznie nie wolno insynuować narodowi swoich osobistych strachów!... Zrobić Mickiewicza

„kozłem ofiarnym“ po to, aby dowieść, że winowajcą jest Konrad, — eksperymentować winę „współczesności“, aby zdemaskować swoją osobistą winę, — to przecież zaprawdę zbyteczna „tragikomedya!“ Hamlet eksperymentował prawdę swej wątpiącej wiedzy; Wysp. zaś — prawdę swego niewątpiącego urojenia. Tać jest między nimi różnica. Oto dlaczego Wysp. sparodyował Skargę, uzbrojonego w jasnowidzący gniew bólu, sam będąc tylko... prokuratorem, opierającym się częstokroć na „niedokładnych protokołach“. Tylko gniew miłości ma prawo oskarżać w imię Boga. Oskarżanie — jako eksperyment w imię swojej osobistej „powagi“ — jest tylko kuszeniem do złego...

Wysp. wpada w rozpaczliwą zadumę o „winie i karze“. Dręczą go widma Chochołów, Kazimierzów, Bolesławów, Geniuszów, Stanisławów... Wpada w stan delirium...

„Dokonało się twojej artystycznej koncepcyi marzenie — wołają doń szydząc widma — i cóż? Czem ty jesteś? Co ty możesz? Jaką siłę rzeczywistą wobec nas stanowisz? Oto proza rzeczywistości ogarnia, pożera ciebie! Maski zjedzą ciebie — ha, te twoje maski! Ha ha ha! Uciekaj, uciekaj do Ofelii! Hahaha! Ona czeka na ciebie — czeka z utęsknieniem! Ha ha ha! W jej miłości twoje „wyzwoliny“, jeżeli ci przebaczy! Ha ha ha! Uciekaj, Hamlecie, uciekaj!... Wzdrygasz się? Boisz się nawet uciekać? Cóż ty możesz, biedny Hamlecie?

My — nie Laertesy — o, nie! My nie chcemy pomścić śmierci Ofelii! My chcemy w grobie spokojnie leżeć — w wyżynach bujać! Przecz-że nas wywołałeś na udręczenie swoje? Myślałeś, że zrobisz z nas dobrych aktorów? Omyliłeś się, biedny Hamlecie! Ty sam jesteś naszym suflerem!... Dokonało się oto twoje marzenie! Jesteś sam jeden w naszej łasce!... Uciekaj od nas, uciekaj, biedny Hamlecie! Czemużeś się zbudził zawcześnie? Twórca nie powinien się budzić — nie powinien rozwiewać snu ułudy! „Tyle szczęścia, co człek prześni!“... Uciekaj, Hamlecie, uciekaj! Spocznij na łonie Ofelii, zaśnij snem twórczym — zaśnij, zaśnij!“...

„A kysz, a kysz!“ — woła Wysp. nadaremno. Trumny go przywalają — naruszone przezeń trumny. Sławy umarłych nie wolno bezkarnie niepokoić — nie! Umarli są zazdrośni o spokój — tak!

Biada twórcy, którego przemoże rzeczywista proza dokonania się — biada! Wysp. ogarnia groza...

Uciekać, uciekać przed tą grozą... Dokąd? Sam nie wie, lecz czuje, że do „królestwa snów i poezyi wiecznej“ — na łono Ofelii, która mu zapewne przebaczy, przytuli go, uśpi...

I oto widzimy, jak Wysp. rozpaczliwie targa więzy, aby uciec do Ofelli, z utęsknieniem nań czekającej, jak ucieka przed swojem „wyzwoleniem“, mającem się dokonać zbrodnią („Skałka“), jak wzywa na pomoc imienia Poezyi, którą ongi odpędził jako „harpię narodu“...

Tak się mszczą na wszystkich Hamletach biedne Ofelie!... Ich wyzwolenie tylko w przebaczającej miłości Ofelii — tylko!

Ostatnie karty twórczości Wysp. — to iście Tannhäuserowa wędrówka do Świątyni Poezyi po łaskę przebaczenia, wyzwolenia z osobistej winy... Ofelia „Polski współczesnej“ przebaczy mu... Naród odda przynależny jemu hołd...

* * *

Nie szkicowałem wizerunku Wysp. „łzami sobaczemi“, lecz czuciem bólu. „Psia łzawość“ czułą jest na lada sentyment „panów“. Ból atoli nie jest czuły na sentymenty tych, którzy nie są bólu panami!

Wyspiańskiemu cześć jako mistrzowi sztuki.

Mickiewiczowi cześć jako Wieszczowi narodu? On bowiem uczy pokory twórczej...

„Kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło“ (Norwid).

Życie nauczyło mnie nazywać rzeczy po imieniu — gardzić pałubizmem. Siebie samego nie rozgrzeszę z tego, z czego nie rozgrzeszam ani Wyspiańskiego, ani Żeromskiego, ani wielu innych wybitnie „współczesnych“. Obcą jest duchowi mojemu podwójna moralność. Wolę milczeć niźli mówić. Lecz skoro mówię, mam na myśli tylko dobro i chwałę narodu...

Wysp. chciał być „sumieniem Polski“, lecz jakże często był jej żółcią!

Potężną wolą nieopanowany, artystycznie folgujący ból Wysp. — gdyby wezbrana rzeka — wciąż żłobił sobie nowe łożyska, nowe koryta, rwąc i szarpiąc glebę ziemi ojczystej: miast do jeziora-łzawnicy, chciał wpłynąć do morza! Nie winię więc jego bólu; winię go tylko za jego eksperymentalną formę sztuki...

Po napisaniu fatalnego „Wyzwolenia“, Wysp., zdaje się, zrozumiał, że być żółciowo ironicznym prokuratorem historyi nie znaczy jeszcze być tej historyi sumieniem. To też ostatni, po-„wyzwoleniowy“, okres jego twórczości słusznie nazwać mogę „ekspiacyą samego siebie“ — błagalną modlitwą za duszę Ofelii — polskiej poezyi...

Czy Wysp. pokonał w sobie Hamleta? Jego fatalny wiersz o „łzach sobaczych“ (zda się, na złość w dniu jego pogrzebu ogłoszony) przemawiałby za tem, że nie. Hamletowa niewiara w możliwość szczerego uczucia nawet łotrów, którzy przecież mogą się nawrócić na głos modlitwy: „Panie, odpuść im, albowiem nie wiedzieli, co czynią“ — oto „zły duch“ Wyspiańskiego.

Naród wciąż się tworzy w życiu i czynach twórców. „Ojczyzna — to zbiorowy obowiązek“. Obowiązek tworzenia coraz to doskonalszych form życia...

Wyspiański wydał wyrok potępienia na współczesną inteligencyę polską — wyrok z pewnem

zastrzeżeniem słuszny. Lecz gdy ten wyrok ośmielił się rozciągnąć na całą Polskę, naraził się na osobliwego rodzaju wstyd wobec duszy narodu! Chwasty w narodzie trzeba tępić bez miłosierdzia, lecz imienia i godności narodu w imię tej pracy szargać, ośmieszać, parodyować na scenie nie wolno! Nie potrzebuję wyjaśniać, o co mi chodzi. Wyjaśniłem tę kwestyę aż nadto dobrze, mówiąc o Żeromskim. W zohydzonym narodzie zawsze plenić się będą dusze podłe, nikczemne, zajudaszowe srebrniki imię „Polska“ sprzedające! Nie jest winą Polski, że zaborcze rządy zachwaściły jej duszę. Polska „współczesna“ nie odpowiada za nikczemność, przemocą i gwałtem jej narzuconą! Pora już to zrozumieć — już pora...

„Pomiędzy przeszłością a przyszłością otwiera się próżnia. W tej próżni zrodzone pokolenie czemże w rzeczywistości ma pozostać? Aniołem, co przelata, — upiorem, co przewiewa, — zniewieściałem niczem... męczennikiem... Hamletem?“ (Norwid).

Wyspiański pogłębił tą straszną próżnię — ten fatalny rozdział...

Jak Hamlet za życia przeszedł przez Polskę! Poezya polska w żałobnym obłędzie...

ANTYCHRYST.

(Legenda wieku — miast studyum o emancypacyjnej patologii seksualnej).

Będziecie jako On!...

I.

...Nieoczekiwany zjawił się w stolicy świata i odrazu ujarzmił światowe „serce serc“ urokiem piękności swojej, niemającej wzoru w dziejach świata, gdyż wszystkie muzealne, zachwyt budzące piękności wieków w porównaniu z pięknością jego oblicza wydawały się kalectwem — nieudolną kopią...

Był żywym wzorem harmonii, wyimaginowanej przez geniusz poezyi. Oblicze jego, gdyby z masy perłowej, iskrzącej się wszystkiemi barwami morza, odlane, promieniało tryumfu majestatem, budząc strach i zachwyt, choć w przesubtelnionej delikatności rysów czaiła się długo pieszczona, nieukojona żądza. Źrenice jego ciemnobłękitnych ócz, ocienionych długiemi rzęsami, świeciły, gdyby blask komety, lekką, srebrzystą mgłą nocy przysłoniony. Postawę miał imponująco-powabną o liniach niemal wężowych, — chód spokojny, lekki, powiewny, widmowo posuwisty... Czar nieznanej dotąd młodości owiewał tą zaiste nie „z tego świata“ postać, której przeznaczono podbić, ujarzmić w pysze wolności ochrzczone „serce serc“ świata...

Urok piękności jego działał na obywateli stolicy, gdyby nagłe a niespodziewane dotknięcie najsilniejszego prądu elektrycznego. Wszyscy, którzy go raz tylko ujrzeli, wszyscy bez wyboru stali na miejscu, jakoby porażeni, nie mogąc się poruszyć, nie mogąc oczu oderwać od tego cudnego oblicza, od tych źrenic magicznych. Tylko krzyk zachwytu, zmieszanego z dziwnym strachem, wyrywał się z ich piersi na chwilę. Ani słowa wymówić nie mogli. Stali, zda się, w posągi przemienieni, podobni grobowcom na „Via Appia“ o świcie...

Tak wielkim był urok tej jego piękności, że nawet ci, którzy brzydocie ślubowali wierność, oprzeć się mu nie mogli.

Stolicę świata ujarzmił gość nieznany, nieoczekiwany, niereklamowany...

II.

...Zamieszkał w zamku, zbudowanym (jeszcze przed jego przybyciem) w stylu indyjskim, z białego marmuru i białego ciosanego kamienia, rzekomo na rachunek jednego z miliarderów amerykańskich. Zamek ów — jako „ósmy cud“ architektury — był przedmiotem powszechnego podziwu i zachwytu, z chwilą zaś, gdy zamieszkał w nim nieznany tajemniczy gość, stale był oblężony przez tłumy obywateli, daremnie usiłujących rozwiązać tę dręczącą wszystkich zagadkę: kto on? skąd on? poco przybył?...

Raz tylko sam jeden — bez świty (wszyscy bowiem mniemali, że to król) — przeszedł się po głównej ulicy miasta i — jak już powiedziałem — rzucił urok na całą stolicę. Później zamknął się w pałacu, gdyby mnich, i przez cały miesiąc nie pokazywał się — nawet w ogrodzie zamkowym. Stolica szalała z ciekawości, nikt bowiem nic o nim nie wiedział, dowiedzieć się nie mógł. Na całej kuli ziemskiej (jak świadczyły telegraficzne raporty wszystkich biur policyjnych świata) nie był znany!...

Zamek, dniem i nocą oblężony przez tłumy, wydawał się świątynią Kaaby. Nikt nie miał doń wstępu — nie dlatego, by wstęp był wzbroniony lub pilnie strzeżony, lecz dlatego, że każdego, który zapragnął wejść, ogarniał tak wielki strach, iż tracił zmysły... Taki los spotkał właśnie prefekta policyi, który chciał było „wyjaśnić sytuacyę“ na miejscu.

Tłum szalał z ciekawości.

Aż oto pewnego dnia o samym świcie nieznany gość pokazał się po raz wtóry na prawie pustej głównej ulicy miasta. Siedział na białym słoniu — pod baldachimem, splecionym z żywych kwiatów, jakich oko ludzkie nie widziało dotąd. Był w długiej szacie białej — ze złotym, drogocennymi kamieniami nanizanym, łańcuchem na szyi. Długie, kędzierzawe, koloru trawy morskiej włosy jego rozwiewał wiatr, gdyby fale. Na głowie miał trójkątną koronę z dyamentów, zaś w prawicy dzierżył berło.

Był ekstatycznie piękny. „Ujrzeć go i umrzeć“ — niedarmo o nim zawyrokował tłum.

Jechał w otoczeniu 12 jeźdźców w dziwnych nieznanych jeszcze strojach, monumentalnie siedzących na białych czystej krwi rumakach arabskich. Przed nim, w pewnem oddaleniu, kroczył majestatycznie herold w towarzystwie dwóch lwów po obu stronach. Herold co chwila grał na trąbie tryumfalny hejnał i donośnym głosem wołał: „Z nieznanej, nieodkrytej jeszcze dotąd krainy przybył oto wtajemniczony Mąż, który chce uszczęśliwić, zbawić świat!“

Tłumy zaległy ulicę. Wszyscy stali znieruchomieni, zda się, drzewa przed burzą. Nawet okrzyk zachwytu nie wyrywał się z ich piersi. Panowało grobowe milczenie. Tylko dźwięczny, melodyjny głos herolda rozlegał się donośnie:

„Oto Mąż, który posiadł tajemnicę Piękna: pójdźcie, pokłońmy się jemu!

„Oto Mąż, który posiadł tajemnicę Miłości: pójdźcie, pokłońmy się jemu!

„Oto Mąż, który posiadł tajemnicę Prawdy: pójdźcie, pokłońmy się jemu!

„Oto Mąż, który posiadł tajemnicę Zbawienia: pójdźcie, pokłońmy się jemu!“...

III.

Był władcą.

Pyszna, z wszelkich przesądów serca i rozumu wyzwolona, wolnościowo wtajemniczona

stolica świata oto leżała u jego stóp, gdyby pies...

„Ujrzeliśmy i obumarliśmy! — wołały tłumy, oblegające zamek — oto wskrześ nas, daj nam tajemnicę Piękna, Miłości, Prawdy i Zbawienia! Daj nam, błagamy cię, żebrzemy!“...

Synhedrion stolicy, składający się z 40 magów świata, trzy dni obradował nad tem, co czynić należy w tej tak osobliwej chwili. Wreszcie uchwalono wysłać do tajemniczego gościa deputacyę, złożoną z 13 najświętszych magów, w tym celu, aby nieznany mąż wyrazić raczył wolę swoją: co świat uczynić powinien, aby stał się godnym tej wielkiej tajemnicy zbawienia?

Z biciem serca, trwogą wezbranego, przekroczyli nieustraszeni magowie progi tajemniczego zamku, którego przepych wewnętrzny olśnił ich, zbił zupełnie z tropu. Długo stali zdezoryentowani, nie mogąc zrozumieć, co się z nimi dzieje, gdzie się znajdują...

Lecz oto zjawił się herold i ruchem ręki wskazując drzwi, dał znak, aby szli za nim. Zaprowadził magów do olbrzymiej sali tronowej, będącej właściwie świątynią. Zaledwie przekroczyli próg sali rozległ się nagle głos organów i niewidzialny chór zaintonował uroczysty hymn. Magowie padli na kolana, bojąc się głowy podnieść, by ujrzeć Mistrza nieznanego, który siedział w głębi na tronie z kości słoniowej, mając po obu stronach po 6 magów, w czerwone szaty przyodzianych. Sam

był w szacie białej. Na głowie miał trójkątną koronę, zaś w ręku dzierżył berło. Snop światła słonecznego, wpadający przez niewidzialny otwór u góry, opromieniał jego postać blaskiem majestatu. Witrażowe okna sprawiały, że w sali panował tajemniczy półmrok...

— „Słucham was!“ — przemówił nagle Mistrz nieznany głosem tak melodyjnym, jak dźwięk harfy.

— „Słucham was!“ — powtórzył, widząc, że magowie nieruchomo klęczą.

Powstał tedy przewodniczący deputacyi — siwy starzec — postąpił parę kroków ku tronowi, padł na kolana i zawołał: „Panie, rzeknij słowo tylko, a zbawion będzie świat!“...

— „Obawa wiary was dręczy!“ — rzekł Mistrz.

— „Panie, tajemnica zbawienia nas męczy!“ — zawołał starzec — „O Panie, rzeknij słowo, co świat uczynić powinien, aby się stał godnym tej tajemnicy!“...

— „Wolę moją“ — odrzekł Mistrz — „ogłoszę z tronu Namiestnika Jezusa z Nazaretu!“...

Gdy wygłaszał te słowa, dał się słyszeć jakiś huk podziemny, jak gdyby ziemia się zatrzęsła.

— „Wolę moją“ — powtórzył jeszcze dobitniej — „ogłoszę z tronu Namiestnika Jezusa z Nazaretu — w Rzymie, który jest obumarłem sercem świata! Niech świat oczyści ten tron ze śmieci i nieczystości, aby był godnym dotknięcia stopy mojej! Niech świat, dając wyraz swojej potężnej wiary, złoży mi w podarunku Stolicę Piotrową! Rzekłem“.

Mistrz powstał na tronie.

I znowu rozległ się głos organów i niewidzialny chór zaintonował hymn: „Hosanna ci, oblubieńcze świata, hosanna ci!“...

Magowie świata krzyżem padli na ziemię...

IV.

W niedzielę Palmową o świcie wjechał „Mistrz nad mistrzami“ do Stolicy Piotrowej, podarowanej mu przez świat, ciekawy tajemnicy zbawienia. Wjechał na białym słoniu — pod baldachimem z kwiatów -- w otoczeniu 12 magów swoich oraz przedstawicieli wszystkich narodów ziemi (z wyjątkiem jednego, który dźwigał krzyż na Golgotę).

We wszystkich kościołach biły wszystkie dzwony.

Tysiące dzieci, ubranych w białe szaty, rzucały przed nim kwiaty i wianki, śpiewając: „Hosanna ci, zbawicielu nasz, hosanna ci!“

Oto już stanął przed bazyliką św. Piotra. Zsiadł ze słonia i po stopniach kamiennych wstąpił do przedsionka. Zatrzymał się nagle na chwilę. Nieznacznie drgnął. Zbladł. Dał się bowiem słyszeć daleki, daleki huk — jakby odgłos burzy...

Wyprężywszy ramiona, pochyliwszy nieco głowę, ruchem, jakoby przezwyciężającym jakiś opór, poszedł naprzód. Za nim postępował tysiączny orszak wybranych.

Tuż przed samym tronem Namiestnika Chrystusowego, na który miał wstąpić i wolę swoją

światu ogłosić, nagle się zatrzymał — stanął, gdyby porażony, wzdrygnąwszy się całem ciałem. Z piersi jego wyrwał się okrzyk grozy i zachwytu zarazem...

Ujrzał albowiem na tronie, podarowanym dlań przez świat, postać Chrystusa tak piękną, że czuł się upiorem w blasku jej majestatu. Niewidzialny chór intonował hymn „Sanctus, sanctus, sanctus"... Chrystus patrzał nań łagodnie — tak, jak dobry ojciec patrzy na krnąbrne dziecko...

Nikt, oprócz niego, postaci Chrystusa nie widział. W orszaku wybranych powstało zamieszanie. Zdumienie i przerażenie ogarnęło wszystkich na widok bladej, obłędnie gdzieś zapatrzonej postaci „Mistrza nad mistrzami"...

Po chwili strasznego oczekiwania i naprężenia, Mistrz nagle rzucił się gwałtownie naprzód z otwartemi ramionami, padł na kolana przed samym tronem i zawołał zmienionym, szałem tchnącym głosem:

— „Jezu z Nazaretu! Kocham Cię od wieków! Czemużeś mnie odtrącił?"...

Chrystus powstał na tronie.

W kościele rozległy się przeraźliwe krzyki. Groza ogarnęła obecnych. Liczni z pośród orszaku wybranych uciekali z krzykiem przerażenia. Tylko garstka pozostała.

Chrystus stał na tronie, nie spuszczając łagodnych oczu z Mistrza. Podniósł prawicę i, czyniąc znak krzyża nad klęczącym Mistrzem, wyrzekł te słowa:

— „Czynię sąd nad kochaniem twojem! Świat chrzczę Miłością, obiecaną przeze Mnie na Golgocie, aby był wolny od grzechu pożądliwości!“

A rzekłszy te słowa, wzniósł się wraz z tronem w górę i zniknął w kopule...

— „Jezu, kochanku mój!“ — krzyknął rozpaczliwie Mistrz i padł martwy, porażony przez pierwszy z 12-tu piorunów, bijących godzinę nowej ery!...

. . . .

Antychrystem była... kobieta . . . .

PRZYPISEK — ZAKOŃCZENIE.

T. zw. „postęp“ polski cynicznie chlubi się najwstrętniejszym nałogiem, mianowicie: manią osądzania i oceniania katolicyzmu li tylko z n i s k i e g o, m i e r n e g o, p o d ł e g o „p u n k t u w i d z e n i a!“ Dla „postępu“ polskiego Kościół katolicki — to jakaś parafia w Pipidówce z niedouczonym, bez powołania wyświęconym, kapłanem na czele. Obskurantyzm i perfidya święci tryumf w „synagodze“ polskiego „postępu“. Trzeba być człowiekiem zaprawdę niskim, miernym i podłym, aby o Kościele katolickim mieć t y l k o niskie, mierne i podłe „pojęcie“... Chcąc poznać „prawdę o katolicyzmie“, trzeba wyjść z tej kabotyńskiej Pipidówki polskiego „postępu“ do Europy, trzeba chcieć rzetelnie i uczciwie poznać historyę kultury chrześciańskiej w narodach romańskich, trzeba chcieć zgłębić apologietykę katolicką, nie zaś popisywać się tandetną wiedzą, zaczerpniętą z cuchnącej, brudnej kadzi oszczerstw! Chińszczyznę polskiego „postępu“ wszak już nawet odradzające się Chiny kompromitują...

Być katolikiem nie znaczy jeszcze być klerykałem. Tej różnicy „postępowcy" polscy, niezdolni do historycznego myślenia, już nawet zrozumieć nie mogą. Iście pipidówczym obskurantyzmem chcą „oświecać ciemne, głupie" umysły katolickie. Arogancya iście semicka!...

Nie mam żadnej tendencyi do nawracania na katolicyzm. Niniejsza książka moja jest tylko konieczną reakcyą przeciwko cynicznie bezczelnej arogancyi „wolnego postępu", wymyślającego narodowym świętościom, o których nawet Nietzsche mówił, że „szargać nie wolno" („Dusza dostojna")... Wierząc w Kościół Tryumfujący, poświęcam moją dobrą wolę Kościołowi cierpiącemu i bojującemu o królestwo Boże na ziemi — o chwałę i tryumf Chrystusa! Oczywiście nie zamykam oczu na zło, które — gdyby wąż — pełza w suterenach i przedsionku Świątyni Bożej, kusząc do złego małodusznych wyznawców. W Kościele odróżniam Objawienie Boże od spraw czysto ludzkich, prywatnych, domowych. Wielka ilość „trędowatych" w Kościele nie przeraża mnie, kusząc do zwątpienia; wierzę albowiem, że „trędowaci" uleczeni będą, że zło wytępione będzie... Postęp w Kościele polega tylko na ciągłem doskonaleniu duszy w sferze Prawdy Objawionej — w tchnieniu Opatrzności Bożej. Nie Objawienie, jeno umysł człowieka się doskonali, aby Prawdę Objawienia mógł zrozumieć i w życie bohaterskie wcielić. Nie Kościół powinien się zniżyć do poziomu rozkapryszonego

umysłu współczesnego człowieka, jeno umysł człowieka współczesnego musi dojrzeć do zrozumienia Prawdy Kościoła! W tym sensie Kościół jest zaprawdę ciągle postępowym w bujnej żywotności swojej... Proszę wskazać mi człowieka, któryby myślał niedogmatycznie! Nauka, przeciwstawiona religii, jest jeszcze więcej dogmatyczną, niźli katolicyzm. Antydogmatyka wolnomyślicielstwa jest fanatyzmem dogmatyzmu. Niema wiedzy niedogmatycznej — niema! Nie dogmat ogranicza umysł, jeno tylko głupota, płynąca z lenistwa myśli. Dogmat jest prawdą in potentia — jest prawdą, słonecznie dojrzewającą w umyśle twórczym! Tylko wiedzę martwą (muzealną, archiwalną) przeraża dogmat. Wiedzę żywą, z życia płynącą, życie tworzącą, dogmat uświęca aureolą Idei. Nie wiedza dla wiedzy, lecz wiedza dla życia, dla czynu twórczego! Tą prawdę podkreśla nawet współczesny okkultyzm, który zgłębił wszystkie dogmaty „wiedzy tajemnej" i doszedł do przekonania, że mity i legendy ludzkości — to skarbiec duchowego rozwoju. Dogmaty „wiedzy tajemnej" nie ogłupiły okkultystów. Lecz za to dogmatyka Nietzschego ogłupiła nawet rozsądnych ludzi, którzy walcząc z dogmatyzmem, już „odkrywają" (jako nowość) dogmat Nabuchodonozora o „boskości" człowieka!...

Nie należę do małodusznych. Panoszące się zło w suterenach i przedsionku Kościoła nie nastraja mnie pessymistycznie. Przeciwnie, jestem nastrojony

na leit-motyw „Parsiwala“ (Wagnera) — na nutę hymnu Rycerza-bohatera-kapłana w jednej osobie. Tajemnica Miłości odkupującej i przebaczającej — oto sanctissimum tryumfu!... Tysiączne szczyty wież — krzyżów, tryumfalnie rosnących w niebo, — oto moja religijna radość!...

Czytając „Parsiwala“ Wagnera, jakże się wstydzę za Wyspiańskiego (Amfortasa nie potrzebuje zbawiać „dziewka bosa“) i za tych wszystkich „neowieszczów“, pomniejszających wielkie legendy narodu! Czytając „Kwiatki św. Franciszka“, jakże się wstydzę za Lutosławskiego! Czytając Ruisbrocka, jakże się wstydzę za Micińskiego! Czytając Norwida, jakże się wstydzę za całą t. zw. współczesną literaturę polską, której odrodzenie widzę tylko w koniecznym powrocie do tych źródeł poezyi, z których hojnie czerpali wielcy romantycy polscy...

Czytając zaś klerykalne kazania świeckich kaznodziejów, drżących o całość „katolickiej sprawy“ w Polsce, powtarzam genialne słowa Norwida:

„O! Katolicy szanowni... ta wasza
O Chrystusową potęgę obawa
To jeszcze resztki wnętrzności Judasza,
Co się po świecie rozwlekły, jak lawa,
To Piotrowego odłamek pałasza,
Co przed zaparciem się z pochew dostawa!“...

Kraków — w październiku.

SPIS RZECZY.

